

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

NAJDZIKSZE SERCA

Curwood James Oliver

1. NAJGORSZA RZECZ NA ŚWIECIE

Na przylądku Fullerton, o tysiąc mil na północ od cywilizacji, sierżant William Veigh zaciskając w palcach ołówki kreślił ostatnie zdania półrocznego raportu, przeznaczonego dla dowódcy północno-wschodniej królewskiej konnej policji w Regina.

"Donoszę, że uczyniłem wszystko, co leżało w mojej mocy, by schwycić Dawida Scottie Deane'a, mordercę. Nie zrezygnowałem bynajmniej z myśli ujęcia go, sądzą jednak, że porzucił on mój rewir i znajduje się obecnie na terytorium fortu Churchilla. Przetrzęsaliśmy okolicę na przestrzeni trzystu mil w kierunku południowym, idąc wzdłuż zatoki Hudsona aż do przylądka Eskimo; w kierunku północnym dotarliśmy do przesmyku Wagera. W ciągu trzech miesięcy trzykrotnie zapuszczaliśmy się ku wschodowi i przeszukawszy obszar tysiąca sześciuset mil, nie natrafiliśmy na Dawida Deane'a ani na żadną wieść o nim. Uprzejmie radzę roztoczyć przy pomocy patroli ścisły nadzór nad południową granicą barren."

— Tak! — odsapnął głośno Mac Veigh rozprostowując zgięty nad piśmem kark. — Skończyłem!

Na swym tapczanie w kącie małej chatki, smaganej wichrem i śnieżycą, Pelletier ciężko uniósł chorą głowę i wyszeptał:

— Bardzo się z tego cieszę, Mac! A teraz daj mi, proszę, łyk wody i poślij kulę w łeb przekłętego huski, co tak wyje pod drzwiami, jakby już węszył moją śmierć.

— Nerwy, tak? — spytał Mac Veigh przeciągając się całym gibkim, młodym ciałem. — No, a co byś dopiero zrobił, gdybyś tak jak ja, dwa razy do roku, musiał wymęczyć podobny raport?

— To wcale nie jest dłuższe od listów, któreś pisał do swej dziewczyny.

Urwał nagle. Zapadła chwila przykrego milczenia. Potem Pelletier rzekł ściszym głosem:

— Przepraszam cię najmocniej, Mac! To gorączka temu winna! Zapomniałem na chwilę, że ty i ona — zerwaliście!

— To nic! — mruknął drżąco Mac Veigh chyląc się nad beczułką z wodą. — Widzisz — kończył niosąc choremu napełniony już kubek — raport to zupełnie co innego. Gdy piszą bezpośrednio do Wielkiego Mogoła, działa to na nerwy. A ubiegły rok, Pelly, nie przyniósł nam powodzenia. Nie schwytaliśmy Scottie Deane'a i pozwoliliśmy ujść wielorybnikom... Ale, ale, nie wspominałem nic o wilkach...

— Napisz o tym w postscriptum — doradził Pelletier.

— Postscriptum do takiego dygnitarza! — wykrzyknął Mac Veigh, niedowierzająco spoglądając na kolegę. — Och, Pelly, nie warto już nawet brać cię za puls! Gorączka cię zre! Straciłeś głowę zupełnie!

Mówił serdecznym tonem, starając się wywołać uśmiech na bladą twarz chorego. Pelletier z głębokim westchnieniem opadł na poduszkę.

— Tak, nie warto brać mię za puls! — powtórzył smutnie. — To nie jest zwykła choroba, Mac! To coś, co tkwi w mym mózgu... Pomyśl tylko, od dziewięciu miesięcy jesteśmy tutaj i nigdy nie widziałem twarzy białego człowieka, prócz twojej... Dziewięć miesięcy bez dźwięku kobiecej mowy!... Od dziewięciu miesięcy patrzę na tę szarą, martwą krainę, a zorza polarna skrada się ku nam po nocach, sycząc jak stado żmij... I te czarne skały sterczą wokół nas, równie nagie i niewzruszone jak przed tysiącem lat! Być może, nasze czyny są chwalebne! Ale to wszystko! Jesteśmy bohaterami — *all right!* Któż jednak wie o tym prócz mnie i ciebie oraz naszych kolegów z konnej policji w liczbie sześciuset czterdziestu dziewięciu? Mój Boże! cóż bym dał za to, aby choć na chwilę ujrzeć twarz białej dziewczyny i na sekundę, na jedną sekundę dłoni jej dotknąć... To by

wyгнаło ze mnie gorączkę, bo gorączka ta pochodzi tylko z samotności... Och, Billy, szaleję i konam w tym szaleństwie!

— Cicho... cicho... — uspokajał Mac Veigh tuląc dłoń kolegi w swoich silnych dłoniach. — Uspokój się, Pelly! Pomyśl o przyszłości... Jeszcze tylko parę miesięcy podobnego życia i zlużują nas. Pomyśl, co za raj przyjdzie potem! I jak głęboko odczujemy ten raj, my, którzy teraz jesteśmy w piekle. A wkrótce przywiozę ci list od twojej dziewczyny, od twej małej kochanej dziewczuszki!...

Twarz chorego rozjaśniła się.

— Niech ją Bóg ma w swej opiece! — zawołał. — Tak, będzie od niej moc listów, cały tuzin! A mój list do niej schowałeś dobrze?

— Tak!

Mac Veigh zbliżył się znów do prymitywnego stolika i siadłszy przy nim uzupełnił raport tymi słowy:

Pelletier zapadł na dziwaczną mózgową chorobą. Chwilami obawiam się, że zwariuje, ale jeśli będzie żył, sądzę, że należy go czym prędzej wysłać gdzieś na południe. Idę do fortu Churchilla o dwa tygodnie wcześniej, niż należy, muszę bowiem dostać dla niego lekarstwa. Pozwalam sobie dodać parę słów do tego, co w ostatnim moim raporcie pisałem o wilkach. Niejednokrotnie napotykałyśmy wilcze hordy, liczące od pięćdziesięciu do tysiąca sztuk. Późną jesienią w tym roku jedna z takich hord zaatakowała wiekie stado karibu. Działo się to o piętnaście mil od wybrzeża, a na trzymilowej przestrzeni naliczyliśmy potem szkielety stu sześćdziesięciu pomordowanych zwierząt. Moim zdaniem, w tym okręgu wilki zabijają rocznie nie mniej niż pięć tysięcy sztuk karibu.

Łączę wyrazy szacunku

William Mac Veigh,

sierżant

Złożył raport, umieścił go wraz z innymi cennymi rzeczami w nieprzemakalnym ceratowym worku, który zawsze nosił ze sobą, i powrócił do łóżka chorego.

— Bardzo mi żal, Pelly, zostawiać cię tak samego! — rzekł. — Ale będę śpieszył, doprawdy! Czteryście pięćdziesiąt mil po lodzie to najwyżej dziesięć dni drogi. Z powrotem także dziesięć dni lub dwa tygodnie i już dostaniesz lekarstwa i listy. Hura!

— Hura! — zawtórował Pelletier.

Mac Veigh odwrócił głowę i po omacku szukał na kołdrze ręki chorego.

— Mój Boże, Billy! Czy widzisz słońce? — wykrzyknął naraz Pelletier.

Mac Veigh pochylił się ku małemu oknu chatynki. Chory zerwał się z posłania. Patrzyli razem przez szybę, obejmując wzrokiem południowo-wschodnią stronę nieba, gdzie na ołowianym tle znaczyła się wąska, purpurowozłota smuga.

— To słońce! — modlitewnie wyszeptał Mac Veigh.

— Pierwszy raz od czterech miesięcy! — westchnął Pelletier.

Patrzyli tak, jak konający z głodu ludzie patrzą na upragnione jadlo. Złoty błysk lśnił parę chwil ledwie i skonał. Pelletier chwiejnie powrócił do swego tapczanu.

W trzydzieści minut potem cztery psy, sanki i człowiek sunęli szybko poprzez martwą szarzynę podbiegunowego dnia. Sierżant Mac Veigh dążył do oddalonego o przeszło czterysta mil fortu Churchilla.

Droga, która wiedzie od śniegiem i wichrem smaganej chatynki na cyplu Fullerton do fortu Churchilla, jest chyba najbardziej pustynną drogą na świecie. Równie samotny jest tylko ów domek na wyspie Hershel, gdzie dwadzieścia jeden drewnianych krzyży znaczy dwadzieścia jeden grobów,

w których snem wiecznym śpią biali ludzie. Ale do wyspy Hershel zaglądamy czasem wielorybnicy. Jedynie katastrofa lub występki kierują wielorybnicze statki do przylądka Fullerton. I na przylądku Fullerton właśnie konają ludzie zabijani wieczną samotnością — najstraszliwszą rzeczą na świecie. W małej chatce mężczyźni dostawali obłąkania.

Ponury półmrok przygniał Mac Veigha, gdy wiódł swój psi zaprząg po lodzie w kierunku południowym. Bał się o Pelletiera. Modlił się, by chory mógł choć czasem ujrzeć słońce, Drugiego dnia podróży stanął przy tajnej skrytce, w której wczesną jesienią schował worek ryb na karmę dla psów. Na piąty dzień odnalazł nową skrytkę, a szóstą noc spędził w igloo eskimoskim na przylądku Eskimo. Dziewiątego dnia wieczorem dotarł do fortu Churchilla, robiąc przeciętnie pięćdziesiąt mil dziennie.

Ludzie, którzy się odważą odbyć zimną taką podróż, przybywają zazwyczaj do celu półmartwi. Twarz Mac Veigha spękana była od wiatru. Oczy miał zaognione; w nogach straszliwe kurcze. W ciepłym łóżku przespał całą dobę bez przebudzenia. Ocknąwszy się skłął dyżurnego oficera, że mu pozwolono tak długo spać, zjadł od razu trzy posiłki i błyskawicznie pozałatwiał wszelkie sprawy.

Serce rozgorzało w nim radością, gdy spośród przeznaczonej! na Fullerton poczty wydobyl dziewięć listów do Pelletiera, wszystkie adresowane jednakim drobnym kobiecym pismem, Ale do niego samego nie było nic. Nic, co by przypominało korespondencję otrzymaną dla towarzysza — i bolesna pustka w duszy Mac Veigha stała się prawdziwą męką.

Uśmiechając się dziwnie, wykroczył przeciwko prawu. Otworzył jeden z przeznaczonych dla Pelletiera listów — ten, co był wysłany najpóźniej — i przeczytał go. List był pełen czulej dziewczęcej miłości i w czerwonych oczach Mac Veigha błysnęły łzy. Siadł potem przy stole i napisał do nie znanej dziewczyny. Przyznał się, że otworzył jej ostatni list, i długo opowiadał o chorym koleźce.

Skończył zapewniając ją, że dla człowieka konającego w samotności (pisząc — samotność, myśląc — obłąkanie) będzie niezwykle radosną niespodzianką, gdy dowie się, że ta, którą kocha, ma zamiar przybyć najbliższej wiosny do fortu Churchilla, by wziąć z nim ślub. Potem zapieczętował swój list, wręczył dyżurnemu oficerowi, spakował żywność oraz lekarstwa i gotów już był do drogi.

Tegoż dnia przybył do fortu pewien Metys, który polował na białe lisy nie opodal przylądka Eskimo i służył nieraz policji jako wywiadowca. Przyniósł wieść, że widział dwoje białych, kobietę i mężczyznę, o dziesięć mil na północ od rzeki Maguese. Wiadomość ta zelektryzowała Mac Veigha.

— Zatrzymam się po drodze w obozowisku Eskimosów — rzekł do oficera. — Warto się tą sprawą zająć. Nie słyszałem nigdy, aby biała kobieta zaszła tak daleko na północ. Jest to może Scottie Deane w przebraniu.

— Wątpliwe — pokiwał głową oficer. — Scottie to wysoki, szeroko rozrośnięty drab. Coujag mówi, że kobieta była średniego wzrostu i szła mocno zgarbiona. Ale jeśli tam są istotnie biali ludzie, warto się dowiedzieć, skąd się wzięli.

Następnego ranka Mac Veigh ruszył na północ. Trzeciego dnia podróży, późnym wieczorem, odnalazł pół tuzina igloo, tworzących wieś Eskimosów. Bye-Bye, wódz plemienia, nie miał dlań żadnych dobrych nowin. W podziękę za funt słoniny, ofiarowany hojną dłonią gościa, oświadczył, że w okolicy nie spotykano od dawna białych ludzi.

Mac Veigh podarował mu jeszcze funt słoniny i Bye-Bye dodał, że o białych ludziach nikt tu nawet nie słyszał. Potem wódz gapił się z bezmyślnym wyrazem twarzy, a Mac Veigh tłumaczył mu, że nazajutrz rano wyrusza pomimo wszystko na poszukiwanie białych, którzy bezwzględnie powinni się w tych stronach znajdować. Też nocy, kiedy śnieżycy hulała w najlepsze, Bye-Bye wymknął się z obozu i przepadł.

O świcie, co był niemal równie mroczny jak noc, Mac Veigh, pozostawiwszy w igloo swoje psy i sanki, obuł rakiety śnieżne i ruszył na północo-wschód. Miał zamiar zatoczyć wielkie półkole i następnego nocy dopiero wrócić do obozu.

Śnieżyca od razu wzięła go w obroty. Już o sto jardów od chat stracił z oczu trop Bye-Bye'a. Szperał potem cały dzień w osłoniętych od wichru miejscach, szukając resztek ogniska lub śladów. Po południu wicher ustał, niebo się przetarło i chwycił mróz tak straszny, że drzewa pękały z hukiem rewolwerowych strzałów.

Chłodne światła gwiazd rozbłysły już na niebie, gdy Mac Veigh rozpaliwszy nędzny ogień zasiadł do wieczornego posiłku. Noc była cicha i jasna. Daleko na południu widniała ciemna smuga boru; najbliższy bór w kierunku północnym był oddalony o trzysta mil. Pośrodku leżało barren. Nie przebywały tu żadne żywe istoty, więc i głos się tu nie ozwał żaden. Ku wschodowi barren wydłużało się niezmiernie, niby potworny palec szeroki na dziesięć mil; tamtędy właśnie Mac Veigh zakreślił sobie powrotną drogę. Tam, jak sądził, najłatwiej będzie odnaleźć jakiś ślad.

Skończywszy kolację, zapalił fajkę i siadł w pobliżu ognia, obejmując wzrokiem barren. Nie wiadomo dlaczego, był zdenerwowany i podniecony; żałował nawet, że nie wziął ze sobą któregoś psa dla towarzystwa.

Przywykł co prawda do samotności; śmiał się żyjąc w takiej pustce, która innych ludzi doprowadzała do obłądzenia. Ale tej nocy uwzięła się na niego jakaś moc nieznaną i żarła mu duszę. Myślał o koledze złożonym niemocą, o Scottie Deane i o sobie. Prawdę mówiąc, trudno było orzec, który z nich trzech jest najbardziej pożałowania godny!

W płomieniu ogniska zamajaczył mu dziwny obraz. Widział oto Scottie Deane'a, jak walczy ratując zagrożoną stryczkiem szyję. Potem zjawił się Pelletier, konający w obłądzeniu samotności. A pomiędzy tymi dwoma ujrzął jeszcze jedną twarz, bladą i łagodną, twarz ukochanej dziewczyny. Wierzył kiedyś wbrew logice, że napisze do niego... Ale wiara ta go zawiodła!

Wstał i uśmiechnął się półradośnie, półsmutnie, myśląc o dziewczęcym sercu, które wiernie czeka powrotu Pelletiera. Przypiął narty i ruszył poprzez barren. Kroczył szybko i ostro badał oczyma widnokrąg. Gwiazdy lśniły coraz jaśniej. Chrzęst rakiet na śniegu łączył się z pierwszym, lekkim sykiem zorzy polarnej, przypominającym skrzyp płozy sań po wyslizganym lodzie.

Uboga w dźwięki noc ożyła upiornym życiem. Cień Mac Veigha tańczył przed nim, a gałęzie krzaków obok drogi czyniły tajemnicze znaki. Mac Veigh wyteżył wzrok. Rozsądek mówił mu, że nic nie dojrzy, ale instynkt w głębi duszy twierdził co innego. Niejednokrotnie przystawał, słał słuch na zwiady i węszył, czy nie dojdzie go woń dymu. Zachowywał się jak drapieżne zwierzę. Zarośla pozostały w tyle. Jak oko sięgło, leżała oświetlona gwiazdami równina śnieżna. Z północy wiatr przynosił dziwne szmery i szepty.

Staął raptem i mocniej ujął fuzję. W dali ozwał się jakiś obcy dźwięk. Uniósł futrzane nauszники i słuchał czujnie. Wyraźnie już rozróżniał słaby, śpiewny zgrzyt płóz po twardym śniegu.

Od równiny zbliżały się sanie i Mac Veigh jął się gotować do czynu. Zrzucił spiesznie futrzane rękawice, zatknął je za pas i wdział inne, lżejsze. Obejrzał rewolwer. Potem nieruchomy, milczący, czekał.

2. BILLY SPOTYKA KOBIETĘ

Z mroku bardzo wolno wynurzały się sanki. Kształt ich rysował się coraz wyraźniej i Mac Veigh stwierdził, że przejdą tuż obok niego. Rozróżniał kolejno: postać ludzką, trzy psy i sanie. Było coś niesamowitego w małym karawanie żywych istot, co wypływały z nocnej ciemni.

Płozy przestały teraz skrzypieć. Człowiek sunął naprzód bardzo wolno, z głową zwieszoną na piersi; psy i sanie wlokły się jak upiorna smuga. Ani samotny wędrowiec, ani jego zwierzęta nie podejrzewały nawet obecności Mac Veigha, podczas gdy on, oddalony o piętnaście kroków zaledwie, stał bez ruchu i bez słowa. Mijali go już, gdy postanowił działać.

Skoczył naprzód z głośnym — haloo! Odpowiedział mu głuchy okrzyk, psy stanęły w miejscu, a człowiek zawrócił i podbiegł do sań. Mac Veigh ujął rewolwer. W minutę był tuż. W migotliwym świetle gwiazd uniosła się ku niemu twarz bardzo blada. Mac Veigh cofnął się pełen zdumienia, bowiem wielkie przerażone oczy, które patrzyły nań z białej jak płótno twarzy, były oczyma kobiety.

Odjęło mu głos i możność ruchu, a kobieta uniosła ręce i odrzuciła z czoła futrzany kaptur, aż włosy jej zalśniły w mroku. Była to kobieta biała! Mac Veigh dostrzegł w jej źrenicach coś, co przejęło go dreszczem, i mimo woli spojrzął na ładunek sani. Stanowiła go długa skrzynia z ledwo ciosanych desek. Odstąpił krok wstecz.

— Mój Boże! — odezwał się — czy pani sama? Skłoniła głowę, a w głosie jej usłyszał łkanie.

— Tak, sama jestem! Przysunął się do niej szybko.

— Jestem sierżant Mac Veigh z królewskiej konnej policji — rzekł uprzejmie. — Proszę mi powiedzieć, dokąd pani idzie i dlaczego jest pani tu, w tej pustce, sama jedna?

Kaptur opadł jej całkiem na plecy, gdy zwróciła ku niemu twarz. W oczach jej lśniły gwiazdy. Oczy miała dziwnie piękne i pełne smutku. A Mac Veigh, od roku blisko nie widujący białych kobiet, uznał tę, którą miał przed sobą, za skończenie piękną. Była młodziutka; w poświacie nocnej wyglądała na dziewczynkę prawie, a w oczach jej, ustach i linii brody widniało tyle podobieństwa do tamtej, o której śnił, że mimo woli wyciągnął ręce i utulił jej drżące dłonie, pytając ponownie:

— Dokąd pani idzie? I dlaczego jest pani tutaj sama?

— Idę tam! — odrzekła zwracając głowę ku widniejącej w dali linii boru. — Idę z nim, moim mężem!

Wyrwała dłonie z jego rąk, odstąpiła ku saniom i patrzyła nań. W oczach jej zrodził się nieufny błysk; bała się, a jednocześnie gotowa była bronić zaciekle siebie i tego trupa. Psy tuliły się do jej nóg i Mac Veigh widział, jak lśnią w mroku ich obnażone kły.

— Umarł trzy dni temu — wymówiła kobieta spokojnie — więc wiozę go do swoich, nad Little Seal.

— To przecie dwieście mil drogi! — wybełkotał Mac Veigh patrząc na nią jak na wariatkę. — Pani zginie!

— Wędruję już dwa dni — odparła kobieta — i jakoś idę!

— Dwa dni przez barren?!

Mac Veigh rzucił okiem na skrzynię, dziwnie straszną w upiornym blasku zorzy polarnej. Potem znów spojrzął na kobietę. Zwiesiła głowę na piersi, a włosy opadły jej wokół twarzy lśniąco i spletaną gęstwą. Ramiona jej drgały raz po raz i Mac Veigh wiedział, że płacze.

Krew popłynęła szybciej w jego żyłach. Milczał. To cudne zjawisko, które przyszło ku niemu niespodzianie z głębi barren, odebrało mu mowę. Kobiety uosabiały dlań zawsze dobro i piękno. W okropnej samotności swego istnienia wyidealizował je i wzniosł do godności aniołów niemal. Teraz

widział przed sobą kobietę, co łączyła urok kochanki z najwyższą cnotą żony.

Drobna, wynędzniała istota, którą miał przed sobą, narażała się na śmierć z miłości do nie żyjącego już męża. Wiedział, że jest półoblakana. Ale obłęd ten płynął z kochania silniejszego niż lęk najgorszy; zrodziło go przywiązanie nie liczące się z niczym: ani z wichurą, ani z mrozem, ani z wyczerpaniem sił. I Mac Veigh uczuł ogromną chęć zbliżenia się do niej, gdy stała tak maleńka i zmęczona, plecami wsparta o trumnę. Chciał utulić ją w ramionach, rzec, że o takiej właśnie miłości on latami marzył i marzenie to jedynie utrzymywało go przy życiu. Spojrzała nań oczyma smutnego dziecka.

— Chodź, maleńka! — przemówił łagodnie. — Pójdziemy razem. Odprowadzę cię bezpiecznie do twoich nad Little Seal. Nie możesz przecie iść sama jedna! Umarłabyś w drodze. Mój Boże, gdybym to ja nim był...

Urwał, gdyż podniosła ku niemu bladą twarz i wylęknione oczy.

— Co? — spytała.

— Nic! — odrzekł. — Tylko że ciężko musi być skonać temu, co zostawia taką żonę jak pani. A teraz pani pozwoli, że posadzę ją na sankach?

— Psy nie mogą nawet temu poradzić... — zaprotestowała cicho. — Ciągnęłam wraz z nimi!

— One nie mogą, lecz ja mogę! — uśmiechnął się serdecznie Mac Veigh i ująwszy ją wpół, zręcznie posadził na sankach. Potem zdjął plecak i umieścił obok niej; wreszcie podał jej swój karabin. A kiedy kładł broń w poprzek jej kolan, kobieta uparcie szukała jego oczu.

— Może mnie pani zastrzelić, jeśli będę niegrzeczny! — zażartował Billy. Próżno starał się ukryć radość, którą budziła w nim jej obecność.

Urwał raptem, nasłuchując.

— Co to było?

— Nie słyszałam nic! — odrzekła kobieta. Twarz jej zbladła jeszcze bardziej, a oczy stały się zupełnie czarne.

Mac Veigh zwrócił się do psów ze słowami zachęty. Ujął rzemień, z którego pomocą kobieta wlokła uprzednio swój ponury ciężar, i ruszył poprzez barren. Zazwyczaj obecność nieboszczyka przygnębiała go, dziś jednak było inaczej. Dzielne znużenie znikło; czuł się radosny jak nigdy. Był w towarzystwie kobiety!

Raz po raz zwracał głowę i patrzył na nią. Czuł ją ciągle poza swymi plecami, a gdy przemawiała do psów, niski jej głos brzmiał mu w uszach jak muzyka. Chciało mu się śpiewać, ale opamiętał się i pogwizdywał tylko. Dziwił się, jak kobieta i psy mogły uciągnąć sanie. Płozy ryły głęboko miękki śnieg i czuł, że słabnie. Odpoczywał parokrotnie; wreszcie kobieta zeskoczyła z sań i stanęła u jego boku.

— Mogę już iść! — rzekła. — Panu zbyt ciężko!

— Śnieg jest bardzo miękki... — odparł Mac Veigh. — Chodźmy!

Wyciągnął ku niej rękę, a kobieta z dziwnym wyrazem oczu podała mu swoją. Zmieszana, spojrzała wstecz na trumnę; Mac Veigh zrozumiał. Ścisnął mocniej jej palce i przysunął się bliżej. Dłoń w dłoni szli teraz poprzez barren. Billy milczał, ale krew jak ogień buszowała w nim. Maleńka rączka w jego dłoni drżała i kurczyła się trwożnie; parokrotnie próbowała się wymknąć, ale miast puścić, trzymał silniej jeszcze; więc została posłuszna już, rozdygotana i ciepła. Patrząc w dół, mógł dojrzeć łagodny kobiecy profil.

Długie, lśniące pasmo włosów wyswobodziło się spod jej kapturka, a wiatr igrając nim rzucił je na ramię Mac Veigha. Przytulił je do swych warg niby skarb najdroższy. Kobieta nie odrywała oczu od linii horyzontu, gdzie wyraźnie już majaczył ciemny bór. Policzki mu płonęły ni to wstydem, ni to

bezmierną radością. Wreszcie przewyciężył słabość i stracił włosy ze swego ramienia.

W trzy kwadranse później dotarli do pierwszych chaszczy. Wciąż jeszcze trzymał ją za rękę. Nie puścił jej i wówczas, gdy raptem, nasrożywszy się, cały przemieniony w słuch, krzyknął:

— Co to takiego?!

— Nic — odrzekła kobieta. — Nie słyszę nic. Tylko wiatr szumi wśród gałęzi...

Odsunęła się od niego. Psy skomlać tuliły się do sań. Poprzez barren przeszło głuche tchnienie.

— Śnieżycyca nawraca ku nam! — rzekł Billy Mac Veigh. — Musiałem słyszeć jęk wiatru...

3. NA CZEŚĆ ŻYWEGO

Billy wymówił te słowa i milczał potem czas jakiś, łowiąc uchem dźwięk, który nie brzmiał wcale jak poświst wichru. Miał pewność, że słyszał coś, bardzo blisko nawet, prawie u swych stóp — a jednak nie umiał określić, co by to było właściwie. Spojrzał na kobietę. Uparcie patrzyła na niego.

— Teraz i ja słyszę — rzekła. — To wiatr! Przeraził mnie! Wydaje nieraz takie dziwne głosy hulając po zaspach. Przed chwilą przysięgłabym prawie, że dziecko płacze...

Billy widział jej ręce kurczowo zaciśnięte na piersi, a w oczach, co wciąż patrzyły mu w twarz, malowały się jednocześnie lęk i rozpacz. Zrozumiał, że lada chwila mogła się załamać pod wpływem przygniatającej atmosfery barren. Uśmiechnął się do niej i przemówił tak, jak się przemawia do dziecka.

— Zmęczona maleńka?

— Och tak, tak, zmęczona jestem!

— Głodna i zmarznięta?

— Tak...

— Więc zatrzymamy się tutaj.

Zrobili jeszcze parę kroków, aż stanęli w świerkowej gęstwie tak zwartej, że czyniła naturalną osłonę przed śniegiem i wichrem; pod stopami brunatne igły tworzyły miękki kobierzec. Gwiazdy znikły ponad sklepieniem konarów, a Mac Veigh, radosny, jał pogwizdywać w mroku. Wyładował plecak i rozesławszy na ziemi jedną ze swych der tuż obok trumny, drugą derką otulił ramiona kobiety.

— Proszę siedzieć tutaj — rzekł — a ja rozpalę ogień.

Na wierzch cennego strzępka brzozonej kory zgarnął kupkę igieł i skrzesał ognia. W chwiejnym świetle znalazł inne paliwo i póty dorzucał je na stos, aż płomień jał bić na dwa metry w górę. Kobieta zakryła twarz i zdawać by się mogło, że śpi. W ciągu pół godziny Billy gromadził chrust, aż zebrał go dostateczny zapas.

Wtenczas wygrzebał z zarzewia stos czerwonych węgli i wkrótce zapach kawy i przysmażanej wędzonki zbudził kobietę. Uniosła głowę i odrzuciła derkę, która okrywała dotąd jej ramiona. Zdjęła także kaptur i Mac Veigh uśmiechnął się ku niej poprzez żar ogniska. Kasztanowate włosy o rdzawym odcieniu opadły jej na ramiona i plecy, wijąc się i lśniąc w blasku płomieni; czas jakiś siedziała tak, z oczyma utkwionymi w twarz Billy'ego. Potem zebrała włosy oburącz, a on patrzył, jak zręcznymi palcami dzieli je na pasma i spleta w gruby warkocz.

— Kolacja gotowa! — rzekł. — Czy tu będzie ja pani jadła? Skinęła głową i uśmiechnęła się doń po raz pierwszy. Przyniósł kawę, suchary, wędzonkę i parę innych rzeczy z plecaka i ustawił wszystko na podosłanej w tym celu derce. Teraz siadł naprzeciwko niej. Zauważył, że ma niebieskie oczy i że lekki rumieniec barwi jej twarz. Gdy patrzył na nią, zarumieniła się bardziej jeszcze i uśmiechnęła się doń po raz wtóry.

Uśmiech jej i zmieszanie podziały na niego tak, że przez chwilę nie czuł nawet smaku jedzenia, które machinalnie łykał. Potem mówił o dalekiej placówce na cyplu Fullerton i o biednym Pelletier, który konał z samotności.

— Bardzo dawno nie widziałem kobiety takiej jak pani! — wyznawał szczerze. — Zdaje mi się, że jestem w niebie! Pani nie wie, jak wielką odczuwam samotność... — Głos mu drżał. —

Chciałbym, żeby Pelletier zobaczył panią choć na chwilkę. To by mu wróciło życie...

Pod wpływem jej łagodnych oczu coraz to nowe słowa cisnęły się mu na wargi.

— Możliwe, że pani nie pojmuje nawet, co to znaczy tak bardzo, bardzo długo nie widzieć białej kobiety. Pani nie sądzi chyba, że zwariowałem albo że mówię lub robię co złego? Doprawdy, staram się pohamować, ale jestem tak niezmiernie rad! Gdybyż Pelletier mógł panią widzieć!

Sięgnął raptem do kieszeni i wyjął paczkę listów.

— On ma tam na południu dziewczynę! — rzekł. — A ta dziewczyna jest podobna do pani! Jeśli w porę wręczone mu te listy, uzdrowią go. Jemu przecie nie lekarstw potrzeba! Jemu trzeba tylko białej kobiety, widoku jej, brzmienia jej głosu, dotknięcia ręki... Niczego więcej!

Wyciągnęła ramię i wzięła listy. W blasku ognia widział, że ręce jej drżą.

— Są małżeństwem? — spytała.

— Nie, ale pobiorą się prędko! — wykrzyknął pełen triumfu. — Ona jest najlepszą kobietą na świecie po...

Urwał. Ale ona dokończyła za niego:

— Najlepszą po tej, co na pana czeka.

— Nie, nie to chciałem powiedzieć! Pani się nie rozgniewa, gdy powiem prawdę. Chciałem powiedzieć, że jest najlepszą kobietą na świecie po... pani! Bo pani przyszła ku mnie w tej pustyni jak anioł... Przyniosła mi nadzieję i chęć do życia... A taki byłem nieszczęśliwy! Nawet gdyby pani znikła teraz na zawsze, zostałyby mi marzenia cudne i sny... Ach, tylko ten, co wegetował w pustyniach śnieżnych, zdolny jest pojąć, że radością życia nie są gwiazdy ani księżyc, ani słońce, ani to powietrze, którym oddychają płuca... Radością życia jest kobieta, tylko kobieta!

— Chował listy do kieszeni. Głos nieznanego ozwał się dźwięczny i łagodny. Wplątany w trzask ognia i szmer wiatru wydał się Billy'emu najczystsza muzyka.

— Mężczyzna taki jak pan powinien mieć kobietę, która by go kochała i dbała o niego. On właśnie był taki...

— On?!

Urwał i oczyma objął ponurą skrzynię. Skinęła głową.

— Tak!

— Wiem, o czym pani myśli... — rzekł Mac Veigh zwracając oczy w inną stronę. — Przeszedłem w życiu tyle... Miałem rodziców i siostrę — umarli! Matka najpóźniej, ale ja i tak byłem jeszcze dzieckiem... nie skończyłem lat osiemnastu. A nieraz mi się zdaje, że wszystko to stało się wczoraj. Gdy człowiek siedzi tutaj i miesiącami nie widuje słońca, a latami białych ludzi, czas prawie staje w biegu.

— I wszyscy pana bliscy... umarli?

— Jedna osoba żyje! Pisywała do mnie długo i myślałem, że dotrzyma słowa. Pelly, to jest Pelletier, myśli, że to tylko zwykłe nieporozumienie i że ona znów napisze... Nie mówiłem mu, że rzuciła mnie, by wyjść za innego. Bałem się, że i o swojej dziewczynie zwątpi... Gdy człowiek kona w samotności, łatwo staje się podejrziwy!

Oczy kobiety błyszczały. Pochyliła się ku niemu.

— Powinien się pan cieszyć! — rzekła. — Jeśli rzuciła pana, znaczy, że była mało warta. Nie zasługuje na miano uczciwej kobiety! Gdyby nią była, miłość jej nie wygasłaby dlatego tylko, że pan daleko odjechał. Trzeba się cieszyć, bo naprawdę stało się dobrze!

Włożył znów rękę do kieszeni i wyjął płaskie zawiniątko z koźlej skórki. Wyglądał jak rozbawiony chłopak.

— A jednak byłbym może stracił wiarę do reszty, gdybym nie spotkał pani! — rzekł. —

Chciałbym, żeby pani zrozumiała, jak wiele jej zawdzięczam... Jej i temu.

Otworzył zawiniątko. Wewnątrz znajdowały się duże, błękitne płatki i łądyżka uschłego kwiatu.

— Błękitny kwiat! — rzekła.

— Tak! Wie pani, co on oznacza? Indianie zwą go „I-o-wa-ka”, czy coś w tym rodzaju, i wierzą, że przebywa w nim dusza najpiękniejszej i najczystszej z ziemskich istot. Ja nazwałem go... kobietą!

Roześmiał się, a w śmiechu tym brzmiała radosna nuta.

— Pani doprawdy pomyśli, że zwariowałem trochę! Ale czy mogę opowiedzieć dzieje tego kwiatu?

Kobieta twierdząco skinęła głową. Kurcz zdławił jej gardło, ale Billy nie wiedział o tym.

— Byłem na dalekiej wyprawie około Jeziora Niedźwiedziego — mówił Mac Veigh — i dziesięć dni i dziesięć nocy obozowałem samotnie ze zwicniętą w kostce nogą. Okolica była ponura i dzika, obrzeżona górami porośniętymi jodłową gęstwą, a w gęstwie tej gnieździły się gromadnie olbrzymie sowy strasząc mnie po nocach. Drugiego dnia choroby znalazłem towarzystwo. Był to błękitny kwiat. Rósł na wysokiej łądyżce tuż przy mym namiocie i dniami całymi, ćmiąc papierosy, leżałem na derce rozesłanej u jego stóp. A błękitny kwiat kołysał się, kiwał ku mnie główką i gwarzył coś na migi...

Czasami kwiat stawał się tak figlarny i wesoły, że mimo woli wybuchałem śmiechem. A on jakby do tańca mnie zapraszał... Potem znów trwał cichy i piękny, nasłuchując poszumów leśnych. A parę razy myślałem, że się modli... Samotność, wiadomo, czyni człowieka głupim! Wraz z zachodem słońca mój kwiat tulił płatki i układał się do snu jak dziecko znużone zabawami dnia. A ja czułem się wówczas taki opuszczony...

Ale gdy wstałem rano, on się już także zbudził... Aż nadszedł dzień, gdy wyzdrowiałem na tyle, że mogłem ruszyć w dalszą drogę. Dziewiątego wieczora patrzyłem chciwie, jak po raz ostatni mój kwiat układa się do snu. Spakowałem rzeczy. Gdy odchodziłem następnego ranka, słońce już wzeszło; zrobiwszy kilkadziesiąt kroków przystanąłem i spojrzałem wstecz. Niemądry byłem i słaby, prawda, ale wyznaję, chciało mi się płakać... Błękitny kwiat wyjawiał mi tyle *rzeczy*, o których nie wiedziałem przedtem. Nauczył mnie myśleć... A gdy obejrzałem się, stał cały w słonecznej powodzi i wiał płatkami ku mnie...

Wydało mi się, że kwiat woła... Woła, bym wrócił! Podbiegłem, zerwałem go i nie rozstawałem się z nim odtąd... Był mi Biblią i towarzyszem wiernym... A ja wiedziałem, że tkwi w nim dusza najpiękniejszej i najczystszej z ziemskich istot — dusza kobiety! — głos mu drgnął. — Może... może to głupio z mojej strony, ale chciałbym, żeby pani go wzięła i schowała na pamiątkę po mnie.

Spojrzała nań i zauważył teraz, jak drżą jej wargi.

— Tak! Wezmę go! — rzekła. — Wezmę i zachowam na zawsze!

— Strzegłem go dla kobiety... dla jakiegokolwiek kobiety... — rzekł Billy. — Niemądry pomysł, prawda? I naopowiadałem pani tyle bredni, gdy właściwie miałem spytać, co się stało? i co pani zamierza uczynić, gdy odnajdzie swoich? Czy pani może mi to powiedzieć?

— Umarł, oto wszystko! — odrzekła. — Obiecałam mu, że go zabiorę do nas! A co potem, nie wiem...

Odetchnęła głęboko, niemal z jękiem.

— Więc pani nie wie, co dalej?

Głos Mac Veigha jemu samemu wydał się dziwny. Wstał i drżąc cały, zaciskał pięści w straszliwej walce, patrząc na jej wzburzoną twarz. Słowa, których nie mógł wymówić, rwały mu się na wargi. Od chwili gdy się spotkali, przeżył całą gamę wzruszeń. Kochał ją, kochał tak głęboko, jak tylko człowiek kochać jest zdolny.

Stał nad nią, a błękitne oczy pytająco patrzyły mu w twarz. I raptem zobaczył to, o czym chwilowo zapomniał — długą, ponurą skrzynię za plecami kobiety. Zacisnął pięści, aż mu paznokcie weszły w ciało, i z głębokim westchnieniem odwrócił się od niej.

O sto kroków dalej, pośród sosen, znalazł płytę skalną, porośniętą purpurowym pnączem. Uciał nożem całe naręcze, a gdy powrócił ze swą zdobyczą, pnącze zabłysły w świetle ognia jak pęk szkarłatnego kwiecica. Kobieta zerwała się na równe nogi i patrzyła milcząco, jak Mac Veigh otula trumnę szkarłatnym całunem. Zwrócił się ku niej i rzekł miękko:

— Na cześć zmarłego!

Zbladła, ale w oczach jej lśniły gwiazdy. Billy podszedł ku niej, wyciągając ręce. Naraz przystanął, nasłuchując. Po chwili spytał ponownie:

— Co to takiego?

— Słyszałam psy i wiatr! — odparła.

— Widocznie coś trzeszczy w mej głowie! — rzekł Mac Veigh. — To brzmiało jak...

Przesunął dłonią po czole i spojrzał na psy zwinięte w kłębki i śpiące głęboko w pobliżu sanek. Kobieta nie zauważyła dreszczu, który przeszedł mu po plecach. Roześmiał się wesoło i porwał siekiere.

— A teraz urządzę obóz — rzekł. — Za godzinę śnieżycy nas złapie!

Na trumnie leżał namiot kobiety; Mac Veigh ustawił go w pobliżu ognia i wysłał wewnątrz na dwie stopy głęboką warstwę sosnowych i cedrowych łąpek. Swój jedwabny, służbowy namiot umieścił daleko w gęstwie drzew. Gdy skończył, pytająco spojrzał na kobietę i na trumnę.

— Jeśli się zmieści, chciałabym mieć to ze sobą — rzekła. — I podczas gdy stała bez ruchu, z twarzą zwróconą ku ognisku, Mac Veigh zawlókł trumnę w głąb namiotu. Potem dorzucił świeżego paliwa na żarzące się główne i podszedł ku niej, życząc dobrej nocy. Miała twarz bladą i półprzytomną, ale uśmiechnęła się na jego widok i zdała mu się w tej chwili piękna jak nigdy. Ujął jej obie ręce, spojrzał w błękitne oczy i wyszeptał cicho:

— Niech mi pani przebaczy, jeśli czynię co złego! Pani nawet nie wie, jak bardzo byłem samotny i jak straszliwie samotny jestem nadal. I jakie to ważne dla mnie móc spojrzeć w twarz kobiety... Nie skrzywdzę pani, broń Boże! Ja... ja... — głos mu się załamał — wróciłbym mu życie, gdybym mógł, bo poznałem panią i... Kocham!...

Wstrząsnęła się i odetchnęła głęboko, niemal z jękiem.

— Przebacz mi, maleńka! — mówił dalej. — Być może, oszalałem trochę... Na pewno nawet tak jest!... Ale życie bym dał za ciebie; odprowadzę cię bezpiecznie do twoich i... i... pocałuj mnie, proszę, na dobranoc!

Nie spuszczała oczu z jego twarzy. W świetle ognia widział jej źrenice, oślepiająco błękitne. Wolno wysunęła palce z jego ręki, potem złożyła mu dłonie na ramionach, unosząc w górę twarz. Pełen namaszczenia schylił się i pocałował ją.

— Niech cię Bóg strzeże! — rzekł.

Długie godziny siedział później przy ogniu. Wiatr hulał coraz silniejszy; z północy gnała zamieć śnieżna; sosny i jodły gięły się wokół niego, a z otwartej przestrzeni barren szło ponure wycie huraganu. Ale dźwięki te brzmiały dlań niby pieśń lub muzyka. Patrzył na maleńki namiot, gdzie spała ta, którą kochał, a serce kołatało w nim i duszę wypełniała radość.

Wciąż jeszcze czuł ciepło jej warg; widział cudowny błękit oczu i korzył się przed Bogiem w podziękę za nowe szczęście, jakiego doznał.

O dzień drogi na północ leży obóz tuziemców. Zawiezie ją tam i wyśle do Pelletiera gońca z lekarstwami i pocztą. Sam pójdzie dalej, z nią razem, i... Tu zaśmiał się na myśl o radosnej wieści,

którą się z czasem podzieli z kolegą. Pocałunek palił mu bowiem usta, błękitne oczy lśniły ku niemu wśród płomieni, a nadzieja panowała wszechwładnie w jego duszy.

Późno było, północ chyba, gdy położył się wreszcie. Zasnął, a wiatr huczał i zawodził coraz donośniej. Zbudził się również bardzo późno. Las pełen był jęklanych dźwięków. Ogień przygasał. Skrzydła jej namiotu wciąż jeszcze zakrywały wejście, więc cichutko wstał i ostrożnie, by jej nie zbudzić, dorzucił drzewa. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że spał blisko siedem godzin. Zawrócił potem do swego namiotu po zapasy przeznaczone na ranny posiłek. I naraz stanął ze zdumienia jak wryty.

Nad wejściem, splecione w kształt girlandy, wisały purpurowe pnącze, które ściał ubiegłej nocy; powyżej, wypisane węglem na jedwabnej ścianie, widniały wyraźnie trzy słowa: „Na cześć żywego!”

Ze zdławionym okrzykiem skoczył wstecz, do drugiego namiotu; i naraz myśl równie szybka jak ten ruch olśniła jego umysł. Pojął znaczenie girlandy. Kobieta w ten sposób wyraziła to, czego nie chciała wypowiedzieć w słowach. Nocą, gdy spał, podeszła tutaj i ubrała w pnącze jego namiot, wiedząc, że dostrzeże to rankiem.

Krew wrzała w nim gorąca i radosna. Przeciągnął się z uśmiechem szczęścia i naraz dłoń jego padła na pochwałę, w której zwykle nosił rewolwer. Pochwa była pusta!

Przetrząsnął koce, ale broni między nimi nie znalazł. Zajrzał w kąt, gdzie z wieczora umieścił karabin; nie znalazł go również. Twarz jego stała się skupiona i groźna; zaczął zwolna okręzać ogień, idąc do namiotu kobiety. Przyłożył ucho do ściany i słuchał. Nie ułowił żadnego dźwięku. Ani ruch, ani oddech śpiącej istoty nie ozwał się wewnątrz. Pełen wahania, jak ten, co się obawia ujrzeć rzecz straszną, odrzucił skrzydło namiotu. Posłanie z wonnych igieł, które przygotował z wieczora, stało nie tknięte. Obok widniała trumna. Przystanął nad nią. Skrzynia była otwarta i pusta; zawierała jedynie trochę uschłej i zmiętej jedliny. W następnej chwili Mac Veigh pojął prawdę. W skrzyni ukrywał się ktoś żywy. A kobieta...

Coś zwróciło raptem jego uwagę. Na brzegu skrzyni, złożony we czworo i przypięty, widniał skrawek papieru, umyślnie przymocowany tak, że ktokolwiek wszedł do namiotu, musiał go dojrzeć. Billy wziął papier i wyszedł na światło dzienne. Zdławiony okrzyk wydarł mu się z gardła, kiedy zaczął czytać słowa kobiety:

Niech pana Bóg ma w swej opiece za to, żeś był dobry dla mnie. Szliśmy przez śnieżycę, mój mąż i ja. Wiedzieliśmy, że pan nas ściga, i ujrzeliśmy ogień na skraju barren. Tę skrzynię mój mąż zrobił dla mnie, bym nie cierpiała od chłodu i wichru. Gdy zobaczyliśmy pana, zamieniliśmy się na miejsca i dlatego spotkał mnie pan — z trumną. On mógł pana łatwo zabić, ale byłeś dobry dla mnie, więc żyjesz. Oby Bóg dał panu kiedyś uczciwą żonę, która by kochała pana tak, jak ja kocham jego. Zabił człowieka, to prawda, ale nie zawsze ten, co zabija, jest mordercą. Wzięliśmy broń pana, a śnieżycy zakryje nasz ślad. Zresztą pan nas nie będzie ścigał. Jestem tego pewna! Bo pan wie, co znaczy kochać kobietę, zatem wie pan również, jak bardzo ceni życie kobieta, która kocha mężczyznę.

Izabela Deane.

4. ŁOWCY LUDZI

Ogłuszony, półprzytomny, Mac Veigh przeczytał po raz wtóry list Izabeli Deane. Potem milcząc patrzył w ogień, aż nagły poryw wiatru wydarł mu papier z ręki i wraz z pyłem śnieżnym poniosł w dal.

To go zbudziło. Rzucił się w pogoń, ale raptem przystanął i roześmiał się. Śmiech był chropawy i gorzki, taki właśnie, pod którym nieraz mężczyzna ukrywa cierpienie. Wrócił do namiotu i zajrzał do wnętrza. Odrzucił skrzydła, by wpuścić dużo światła. Głęb skrzyni stała się widoczna. Przed paru godzinami w skrzyni tej ukrywał się Scottie Deane, morderca. A ona była jego żoną!...

Skręcił ku ognisku i ujrzał znów szkarłatne pnące na swym namiocie i słowa napisane przez kobietę. „Na cześć żywego!” Żywy to był on... Coś zdławiło go w gardle, a na oczach poczuł wilgoć, z którą śnieg i wiatr nie miały nic wspólnego. Kobieta — wygrała!

Przyszło mu teraz na myśl, że słowa jej listu mówiły prawdę i że Scottie Deane łatwo mógł go zabić. W następnej chwili zdziwił się, czemu tego nie zrobił. Scottie ryzykował wiele, pozwalając mu żyć. Wyprzedzali go zaledwie o parę godzin i śnieg nie mógł całkowicie zatrzeć ich śladów. Obecność żony opóźniała ucieczkę Deane'a. Ruszy ich tropem i doścignie ich. Zabrali mu broń, ale nie po raz pierwszy sierżant Mac Veigh gołymi rękoma aresztowałby mordercę.

Reakcja przychodziła szybko. Póty krążył wokół ognia, aż znalazł trop mknących w dal sanek. Odcisk płóz na śniegu widniał wyraźnie. W głębi boru łatwiej jeszcze będzie go rozpoznać.

Pod nogami zaszeleścił papier. Spojrzał. Był to list Izabeli Deane.

Podniósł go i oczy Billy'ego padły na ostatnie napisane przez nią zdania: „Zresztą pan nas nie będzie ścigał. Jestem tego pewna! Bo pan wie, co znaczy kochać kobietę, zatem wie pan również, jak bardzo ceni życie kobieta, która kocha mężczyznę!”

Oto była przyczyna, dla której Scottie Deane go nie zabił. Nie zrobił mu nic złego ze względu na żonę, która wierzyła w niego.

Mac Veigh złożył list i wsunął do kieszeni na to miejsce, gdzie dawniej nosił błękitny kwiat. Potem wolno wrócił do ogniska.

— Mówiłem jej, że gdybym mógł, to bym mu życie wrócił! — myślał głośno — i zdaje się, dotrzymam słowa... — Wracał mu stary zwyczaj mówienia sam ze sobą, nawyk, który się łatwo zdobywa żyjąc w samotności. Stał przed ogniem i śmiał się gorzko, nabijając fajkę. — Ej, gdyby tu nie szło o nią!...

Zapalił fajkę i wodził oczyma po mrocznej gęstwie jodeł, kędy w dali uciekała Iza z mężem. Cała policja tropiła Scottie Deane'a. Przeszło od roku wymykał się jej tak zręcznie, jak biały gronostaj wymyka się myśliwym. Wywiódł w pole najsprytniejszych ludzi i nie było człowieka w królewskiej policji konnej od Calgary po wyspę Hershel, który by nie myślał o nim.

Nałożono cenę na jego głowę i rozgłos czekał tego, kto go złowi. Ci, co śnili o awansach, śnili również o Scottie Deane. Billy myśląc o tych sprawach doznawał niemal braterskiego uczucia dla nieszczęsnego zbiega. Scottie Deane nie był dlań obecnie przestępcą, nie był nawet zwykłym człowiekiem. Tropiony jak szczur, pędzany to tu, to tam, musi mieć jakieś walory wewnętrzne, jeśli pomimo wszystko Izabela kocha go. Przypomniawszy sobie słodycz jej twarzy, łagodne wejrzenie błękitnych oczu i po raz pierwszy pomyślał, że ta kobieta nie mogłaby żyć z człowiekiem naprawdę złym.

A ona nie tylko z nim żyła! Kochała go! Pewnik ten wywołał w nim uczucie bólu, ale

jednocześnie radosny dreszcz. Cieszyła go jej bezgraniczna wierność. Zstąpiła ku niemu śród pustyni śnieżnej, niby anioł, i niby anioł — znikła. Promieniał!... Rzeczywistość zajęła w jego sercu miejsce złudy; poznał oto kobietę, która była tak piękna i czysta jak ów kwiat błękitny, noszony ongiś na piersi.

W tej chwili wyciągnąłby chętnie dłoń do Scottie Deane'a i uścisnął go za to, że jest mężem, że potrafił zdobyć jej miłość. Może to nawet Scottie Deane osobiście zawiesił mu girlandę na namiocie i węglem wypisał te kilka słów. W każdym razie Scottie znał treść listu Izy. W sercu Mac Veigha rosło poczucie braterstwa wobec tego człowieka, a zaufanie, jakie mu okazano, napełniło go dumą.

Płomień opadł, więc dorzucił paliwa do ognia. Błądząc wzrokiem to tu, to tam, ujrzał skrzynię stojącą w głębi namiotu i zbliżywszy się, wyciągnął ją na zewnątrz. Początkowo zamierzał to spalić, ale zmienił zamiar i zaczął starannie ją oglądać. Z jak daleka zbiegowie teraz szli, nie wiedział; przypuszczał jednak, że z drugiej strony barren, Deane bowiem sklecił skrzynię, by osłonić żonę przed hulającym na gołej przestrzeni wichrem.

Skrzynia była zrobiona z grubo ciosanych desek, a na rogach zamiast gwoździ wiązały ją rzemienie z reniferowej skóry. Sosnowa ściółka leżała jeszcze w głębi i Billy wyjmując igły odczuł żywsze bicie serca. To było przecie posłanie Izy. Wiedział, że tam, gdzie gałązki tworzyły grubszą warstwę, spoczywała jej głowa. I nagle z okrzykiem bólu rzucił skrzynię w ogień.

Nie czuł głodu, ale przyrzadził kubek kawy i wypił ją. Dotychczas jeszcze nie zauważył, że zawieja rośnie. Zwarte, nisko zwieszony konary powstrzymywały jej furję. Poza ścianą boru słyszał teraz ryk wichru, co hulał w chaszczach i na otwartej przestrzeni barren. I to mu przypomniało Pelletiera.

Podniecony obecnością Izy, a potem ogłuszony jej odejściem, zapomniał prawie o chorym koledze. Nim wróci do igloo Eskimosów, straci całe dwa dni. Te dwie doby mogą silnie zaważyć na losach Pelletiera.

Skoczył na równe nogi, pomacał kieszeń chcąc się przekonać, czy nie zgubił listów, i zaczął ładować plecak. Poprzez gałęzie wiatr niósł teraz lśniące tumany śnieżnego pyłu. Śnieg był ostry jak kryształki cukru. Zwarty biały kłęb uderzył go raptem po oczach, więc pozostawiwszy namiot i plecak Mac Veigh zaniepokojony mocno ruszył na skraj boru.

Już o paręset jardów od obozu musiał zgiąć głowę przed nawałą śnieżną i związać pod brodą nauszniaki. O sto jardów dalej przystanął, ukryty poza karłowatą sosną. Spojrzał przed siebie na barren. Kłębił się tam chaos wrzącej bieli tak zwarty, że wzrok nie przenikał nawet na odległość rewolwerowego strzału. Od igloo Eskimosów dzieliło go dwadzieścia mil podobnego piekła — i serce Billy'ego zmartwiało. Szaleństwem było puszczać się w taką drogę.

Nie mogąc wytrwać dłużej, wystawiony na wicher wiejący wprost z bieguna, Mac Veigh zawrócił do obozu. Ledwie ruszył z miejsca, usłyszał dźwięk jakiś płynący z wiatrem. Stanął znów twarzą do białej zawieruchy, machinalnie kładąc dłoń na wiszącym u pasa pustym futerale. Dźwięk powtórzył się i tym razem Mac Veigh go rozpoznał. Był to krzyk głos ludzki! Pomyślał wnet o Izie i jej mężu. Co za przypadek wiódł ich z powrotem?...

Z wirów śnieżnych wyłaniał się jakiś cień. Jednolity zrazu, szybko rozpadł się na poszczególne części: zaprzęg psów, sanie, troje ludzi. W chwilą potem psy, ujrzawszy Billy'ego, przystanęły zbite w wyjący kłęb. Billy ruszył naprzód. Nagle ujrzał lufę rewolweru wymierzoną w jego pierś.

— Daj temu pokój, Bucky Smith! — zawołał Billy. — Nie tego znalazłeś, kogoś szukał!

Tamten podszedł bliżej. Oczy miał zaczerwienione, a jednak badawcze. Ręka zbrojna w rewolwer opadła mu ku dołowi, gdy ujrzał twarz Mac Veigha.

— A do dia... To ty! To Billy Mac Veigh! — krzyknął. Roześmiał się. Śmiech ten był przykry i

nienaturalny. Bucky

był kapralem w policji. Gdy Billy słyszał o nim po raz ostatni, należał do garnizonu w Nelson House. Cały rok przesłużyli kiedyś w tym samym oddziale, lecz ich wzajemny stosunek był wrogi. W swoim czasie Billy nie powiadomił dowództwa o pewnej brzydkiej sprawie, która, ujawniona, spowodowałaby natychmiastową dymisję Smitha. Ale wyzwiał kaprała na uczciwy pojedynek i stłukł go wtenczas na kwaśne jabłko. Kaprał patrzył w twarz Mac Veigha i dawna nienawiść płonęła w jego oczach. Billy nie podjął wyzwania; spokojnie witał się z resztą wędrowców. Jeden był to poganiacz psów z Towarzystwa Zatoki Hudsona, drugi — konstabl Walker z fortu Churchilla.

— Myślałem już, że nigdy nie znajdziemy schronienia! — wrzeszczał Walker potrząsając prawicą Billy'ego. — Ścigamy Scottie Deane'a, każda minuta jest nam droga. Lada moment schwytamy go. Jego trop jest jeszcze ciepły! O Boże! Ależ się zmachałem!

Psy pod przewodnictwem poganiacza wlokły się już w stronę obozu. Billy spojrzał na kaprała, uśmiechając się ironicznie.

— Gdybyś był sam jeden, Bucky, byłoby już po mnie, co? — spytał półgłosem, tak, by inni nie mogli słów jego słyszeć. — Widzisz, pamiętam twoje groźby!

Pomimo uśmiechu głos jego brzmiał ostro. Wiedział, że Bucky Smith jest łotrem, mającym jednak to szczęście, że nigdy nie przyłapano go na gorącym uczynku. W jednej chwili uprzytomnił sobie ów dzień, gdy Rousseau, półkrwi Francuz, zwlókłszy się z posłania w czasie choroby, przyszedł mu wyjawić, że Bucky Smith zbezczęścił jego młodą żonę. Rousseau, przeziębivszy gorączkę, zmarł w dwa dni później.

Billy'emu wydało się, że słyszy wciąż jeszcze, jak Bucky drwiącym tonem odpowiada na postawiony mu straszliwy zarzut. Przypomniawszy sobie walkę, która nastąpiła na skutek tych drwin. Myśl, że taki człowiek jest na tropie Izabeli i jej męża, napęłała go wściekłością i korzystając z tego, że Walker się oddalił, Mac Veigh położył dłoń na ramieniu kaprała. — Myślałem o tobie często, Bucky! — rzekł. — Zastanawiałem się nad tą sprawą w Norway i byłem z siebie mocno niezadowolony, że dotychczas nie doniósł o niej władzom. Teraz złożę odpowiedni raport! Chyba że porzucisz natychmiast trop, po którym gonisz! Ja sam idę śladem Scottie Deane'a!

Już w następnej chwili dałby sobie chętnie uciąć język za nieoględnie wypowiedziane słowa. Błysk triumfu zajaśniał w oczach Smitha.

— Sądziłem stale, że jesteśmy na dobrej drodze — rzeki — chociaż podczas śnieżycy straciliśmy jego ślad. Szczęściem spotkaliśmy ciebie. Czy są daleko przed nami, on i ta *squaw*, co się z nim włóczy?

Ręce Billy'ego zacisnęły się wściekle. Nie odpowiedział nic i szybko ruszył za Walkerem. Mózg pracował gorączkowo. Gdy dotarł do obozu, ujrzał psy leżące w uprzęży, zziębnięte i zgonione do ostatka. Walker miał rozpaloną twarz, a powieki spuchnięte od mrozu i wichru. Poganiacz, półleżąc na saniach, wyciągnął stopy ku ognisku.

Jeden rzut oka przekonał Billy'ego, że zarówno ludzie, jak zwierzęta, walcząc z zamięcią, wyczerpali doszczętnie siły i energię. Spojrzał na Smitha i w głosie jego, gdy przemówił, nie było tym razem gniewu ani nienawiści.

— Mieliście, jak widzę, ciężki dzień! Proszę się rozgościć... Nie mam zbyt wiele żywności, ale jeśli dobędziecie swoje zapasy, przyrządzę wam posiłek, nim się rozgrzejecie przy ogniu.

Bucky ciekawie spoglądał na drugi namiot.

— Kto jest z tobą? — spytał.

Billy wzruszył ramionami. Głos miał zupełnie spokojny.

— Wstyd powiedzieć! — roześmiał się. — Przybyłem tu zeszłej nocy, półmartwy, i znalazłem

Metysa obozującego w tym właśnie namiocie. Bardzo miły i serdeczny chłopak. Przy tym młody, prawie dziecko... Gdy wstałem dziś rano — Billy wzruszył ramionami i palcem tknął pusty futerał u pasa — wszystko znikło! Psy, sanie, zapasowy namiot, nawet mój karabinki rewolwer! A jednak to nie był łotr, bo zostawił mi moją żywność. Poza tym zabawny jegomość. O patrz! Wskazał ręką pnącze, co wciąż jeszcze zdołały namiot.

— Na cześć żywego! — odczytał głośno. — Sądzę, iż rozumiał przez to, że mógł mi po prostu maczugą łeb roztrzaskać, gdyby tylko chciał.

Zbliżył się do Smitha i kończył uprzejmie:

— Zwyciężyłeś mnie tym razem, Bucky, o tak! Gdziekolwiek się znajduje Scottie Deane, nie mogę mu nic zrobić. Nie mam nawet fuzji!

— Musiał zostawić ślad! — przemówił Bucky patrząc nań badawczo.

— A jakże, zostawił! O, tam.

Podczas gdy Bucky oglądał półzawiany trop, Billy dziękował Bogu, że Scottie umieścił żonę na saniach przed opuszczeniem obozu. Teraz nic nie zdradzało jego obecności. Walker wypakował zapasy i Billy przyrządzał właśnie posiłek, gdy Smith wynurzył się spośród drzew. Wargi miał wykrzywione drwiąco.

— Nie wiedziałem, że tak łatwo cię nabrać! — rzekł. — I dziwię się, że pozostawił tu swój namiot. Piękny namiot, prawda?

Wszedł do wnętrza. Po chwili zjawił się u wejścia, wołając Mac Veigha.

— Spójrz tu! — mówił. Głos drżał mu podnieceniem, w oczach lśnił triumfalny błysk. — Twój Metys miał dość długie włosy, jak uważasz?

Wskazał palcem jeden z podtrzymujących namiot słupów. Serce Billy'ego drgnęło. Pasma pięknych włosów Izabeli zaczęło o szparę w drzewie i kilkanaście złotobrunatnych nici pozostało tu, zdradzając tajemnicę.

Mac Veigh zapomniał na chwilę, że Bucky Smith nań patrzy. Zobaczył Izę taką jaką widział po raz ostatni, gdy wchodziła do namiotu, w koronie włosów lśniących w blasku ognia i z oczyma pełnymi słodkiej podzięki. Raz jeszcze wyczuł ciepło jej warg i doznał drżenia dłoni w swoim ręku. Być może, wzruszenie uchroniło go od nieostrożnego słowa lub gestu. Opanował się prędko i spojrzął na kolegę z cichym chichotem.

— Istotnie, Bucky, kobiecy włos! Metys opowiadał mi dużo miłych rzeczy o dziewczynie, którą zostawił w domu. To musiała być prawda!

Oczy obu mężczyzn spotkały się. Bucky złośliwie wykrzywił wargi; Billy uśmiechał się obojętnie.

— Gdy tylko odpoczniemy trochę, pójdę śladem tego Metysa! — rzekł kapral, niezręcznie kryjąc podniecenie. — Scottie Deane ma ze sobą kobietę, białą kobietę, a na północ od fortu Churchilla nie widziano w obecnej chwili żadnej innej białej kobiety. Zresztą, chodzi ci zapewne o odebranie twojej broni?

— Oczywiście! — wykrzyknął Billy. Nie dał poznać po sobie lęku ani gniewu, które nim szarpały. — Nie mam bynajmniej ochoty narażać się na śmiech ludzki. Metys pójdzie przypuszczalnie gęstwą, dla ochrony przed wichrem, bez trudu zatem odnajdziemy jego ślad!

Z wyrazu twarzy kaprała poznał, że jest on nieco zaskoczony odpowiedzią. Nie dał mu się opamiętać i przyszedł do słowa, tylko co prędzej skoczył dopomagać Walkerowi w przyrządzaniu posiłku. Zagotował herbatę, usmażył słoninę i odgrzał zamaryły chleb wydobyty z własnych zapasów.

Podczas gdy tamci jedli, przyrządził jeszcze jeden imbryk herbaty i rozesał dery we wnętrzu swojego namiotu. W rozmowie wywiedziało się od Walkera, że podróżowali niemal całą noc.

— Zdrzemnijcie się parę godzin, nim pójdziecie dalej — zapraszał uprzejmie.

Poganiacz, nazwiskiem Conway, pierwszy przyjął propozycję Billy'ego. Walker skończywszy jeść udał się w ślad za nim do namiotu. Gdy obaj znikli, Bucky spojrzał ostro w twarz Mac Veigha.

— Co ty właściwie zamierzasz? — spytał.

— Chcę wziąć wet za wet, nic więcej! — odparł Billy podając mu uprzejmie woreczek z tytoniem. — Metys traktował mię serdecznie, był gościnny, a potem wybrał sobie zapłatę, jaką chciał. Uczynię to samo, co on.

— A co sobie wybierzesz potem?

Na podejrzliwy błysk oczu kaprala Billy odpowiedział zagadkowym zmruczeniem powiek.

— Doprawdy, Bucky — rzekł — sądziłem, żeś mądrzejszy! Włóczyć się tu bez fuzji, a siedzieć w ciupie, to jedno! Istna niewola! Mam nawet nadzieję, że ty lub Walker pożyczycie mi karabinu na czas pogoni za Metysem. Walker na pewno da, jeśli ty nie zechcesz. A teraz idź spać! Dopilnuję ognia...

Bucky, ponury, wstał. Wciąż jeszcze podejrzliwie traktował gościnność Billy'ego, ale musiał przyznać, że jego wywody są najzupełniej słuszne. Wszedł do namiotu, w którym poprzednio znikli Conway i Walker.

W piętnaście minut później Billy zbliżył się do namiotu i spojrzał w jego głąb. Trzej mężczyźni spali kamiennym snem doszczętnie wyczerpanych ludzi. Zachowanie Billy'ego uległo błyskawicznej zmianie. Poprzednio już wyrzucił z namiotu swe pakunki, rzekomo po to, by uczynić w nim więcej miejsca, teraz zaś szybko spakował żywność, zawijając ją w zapasową kołdrę. Potem zawrócił i wszedł do drugiego namiotu, a krew płynęła szybciej w jego żyłach i rumieniec barwił mu twarz.

— Być może, jesteś głupcem, Billy Mac Veigh! — śmiał się sam do siebie. — Być może, jesteś głupcem, zrobisz to jednak.

Delikatnie zdjął ze słupa złotobrunatne pasmo i oplótł włosy wokół palca, czyniąc z nich miękki, lśniący pierścień. Oto na zawsze jedyna pamiątka po Izabeli Deane! Przytulił pierścień do wichrem i mrozem spalonej twarzy i chwilę oddychał szybciej. Potem zawinął go troskliwie w jej list i schował do kieszeni. Zawrócił później do namiotu, w którym spali trzej wędrowcy; żaden z nich się nie ruszył.

Futerał z bronią Walkera leżał prawie tuż u wejścia. Na krótko uczył chęć przywłaszczenia sobie fuzji. Opanował się. Wygra walkę bez kradzieży! Szybko narzucił plecak na ramiona i ruszył tropem pozostawionym przez Deane'a. Mając narty posuwał się szybko naprzód. O sto jardów od obozu przystanął na chwilę i obejrzał się. Potem powędrował dalej, z twarzą ponurą i smutną.

— Jeśli masz być schwytany, mister Scottie Deane, to w każdym razie nie przez tego ananasa! — mruzczał sam do siebie. — Chcę ci pomóc! A Billy Mac Veigh należy do ludzi, którzy nawet bez fuzji dają sobie radę w życiu!

5. BILLY DĄŻY TROPEM IZY

Billy wyczuł natychmiast, jak ciężko musiały pracować psv Deane'a i on sam, by posuwać się naprzód poprzez naniesione wichrem zasypane śnieżne. Miejscami, tam gdzie drzewa stały rzadziej, Scottie brnął na czele, ciągnąc sanki razem ze sforą. W ciągu pierwszej mili Iza zesła z sań raz tylko i to w takim miejscu, gdzie wśród gałęzi wywróconego drzewa plątały się wszelkie ślady.

To, że Scottie nie pozwala żonie iść pieszo, wzbudziło w sercu Billy'ego nową falę sympatii dla zbiega. Najprawdopodobniej Iza była tak znużona wędrówką przez barren, że nie spała wcale dzisiejszej nocy i aż do chwili wyruszenia w dalszą podróż snuła wespół z mężem plany ucieczki. Billy myślał, że gdyby Iza mogła iść w raketach, Deane porzuciłby psy i sanie, bowiem w głębokim, miękkim śniegu najszybciej idzie się pieszo, nie mówiąc już o tym, że wiatr dawno by już zatarał ślady raket.

Na razie jednak trop leżał tak widoczny, że nie podobna było go przeoczyć. Mac Veigh nie miał czasu do stracenia, jeżeli chciał z całą pewnością pobić Bucky Smitha i jego ludzi. Podejrzliwy kapral nie pozwolił sobie na zbyt długi sen. Będąc stosunkowo dobrze wypoczęty, Billy szybko chłonał przestrzeń, pocieszając się, że tamci nie zrobią w odpowiednim czasie ani pół mili więcej. Był pewien, że Bucky nie zaniecha pogoni. Zwęszył już, że Scottie spędził noc w obozie i że włosy znalezione w szparze słupa należą do żony zbiega. A Scottie jest zbyt cenną zwierzyną, by z lekkim sercem rezygnować z pojmania go.

Billy pędził tropem coraz szybciej; umysł jego pracował z wytężeniem. Bucky mógł teraz postąpić dwojako. Albo ruszyć w pościg z Walkerem i poganiaczem, albo zostawiwszy tamtych w obozie, zdać się na własne siły. Jeśli zjawią się wszyscy trzej razem, walka bezwzględnie będzie uczciwa i zwycięży ten, kto pierwszy nałoży zbiegowi kajdanki. Ale jeśli Bucky ruszy w pogoń sam jeden...

Myśl ta nie była pocieszająca. Przez chwilę trapił się nawet, że nie wziął karabinu Walkera. Jeśli Bucky pozostawi towarzyszy w obozie, to oczywiście dlatego tylko, aby bez względu na przeszkody zapewnić sobie posiadanie jeńca.

Billy był pewien, że trafnie ocenia charakter kaprala i że ten bez wahania zakończy dawne porachunki za pomocą kuli. Śnieg zasypie wszelkie ślady, a Scottie Deane będzie nagrodą mordercy. Chyba że Deane okaże się dobrym graczem i w ogóle nie da się schwytać!...

Na myśl o zbiegu Billy parsknął śmiechem. Jak dotąd nie zajmował się nim zbyt, aż raptem zauważył, że w sytuacji, która się wytworzyła, prócz tragedii jest spora doza komizmu. Szczerze przyznał, że na razie Deane robi wrażenie człowieka porządniejszego niż on sam i Bucky, i choć ścigany, jest niemal panem położenia.

Ma dobrą broń. Jest chytry jak lis i nie da się zaskoczyć we śnie. Myśl ta nie zaniepokoiła Mac Veigha, lecz ucieszyła go raczej. Bucky niełatwo poradzi sobie ze zbiegiem, jeśli nawet wygra wyścig! Tak, ale przede wszystkim on nie pozwoli mu wygrać!

Zagryzł wargi i rzucił wstecz ponure wejrzenie. Nie dość, że pobije Smitha, ale złowi również Scottie Deane'a. Będzie walczył podstępem i wygra. Nikt się nigdy nie domyśli, o co mu właściwie szło. Bucky także nie! I w głównej komendzie nie odgadną! Tylko — głęboko w sercu krył tę nadzieję — tylko ona, Iza, zrozumie...

By ocalić Izę i jej męża, musi wyrwać ich z rąk Bucky Smitha; by zaś tego dokonać, musi ich przede wszystkim uwięzić. Okropne zadanie! Oczyma duszy ujrzał Izę z twarzą bladą i smutną, a

błękitne jej źrenice, zamiast dawnej ufności i słodyczy, przepojone były nienawiścią i zgrozą. Wiedział jednak, że teraz potrafi i to znieść. Jedna, jedyna chwila, ta właśnie, w której ona zrozumie jego czyny i to, że pozostał uczciwy do końca — wynagrodzi mu wszelkie cierpienia.

Godzinę całą szedł energicznie; przystanął tylko na chwilę, w miejscu gdzie półzatarły trop opadał ku zastygłym moczárom. Tu Iza wysiadła z sań i brnęła czas jakiś ich śladem. W miejscach gdzie jodły i sosny osłoną konarów powstrzymywały napór zawiei, Billy rozróżniał w śniegu odciski jej stóp obutych w mokasyny. Scottie Deane wyruszył z obozu nocą, w mroku spotęgowanym śnieżycą; toteż Billy niejednokrotnie odnajdywał zwęglone zapalki, którymi zbieg posługiwał się snadź dla rozróżnienia igły kompasu. Uciekał wciąż na zachód.

Na skraju błot szlak wparł się w jezioro pokryte lodową warstwą i poprzez to jezioro Scottie Deane powiódł swój psi zaprząg. Zameć już się skończyła. Wiatr wziął kierunek południowo-wschodni, a drobny, ostry śnieg ustąpił miejsca dużym łagodnym płatkom. Billy zadygotał na myśl, co działo się na tej płaszczyźnie przed paroma godzinami, wówczas gdy Iza i jej mąż brnęli tędy, walcząc z huraganem i śnieżycą.

O pół mili od brzegu trop znikł zupełnie. Billy nie tracił czasu na szukanie go wśród otwartej przestrzeni, tylko dotarłszy na przeciwległy kraniec, szperał w jodłowej gęstwie porastającej brzegi jeziora. Bez trudu odnalazł pożądany ślad. W pół godziny potem przystanął znowu. Sosny i jodły rosły tu zwartą gęstwą, tworząc zaciszny kącik. Scottie Deane urządził tu postój i rozpałił ogień. Tuż obok osmalonych głowni leżał stos miękkich gałązek, na których odpoczywała Iza. Scottie zagotował garnek herbaty i wyprysnął potem fusy na śnieg.

Ciepłe ciała psów wyżłobiły w śniegu krągłe wgłębienia i Billy osądził, że postój trwał dobrych parę godzin. Zbiegowie zrobili przecie osiem mil drogi, nocą, wśród śnieżycy i wichru, i serce Billy'ego ścisnęło się boleśnie na myśl o cierpieniach Izy. I on także był częściowo ich przyczyną. Ogarnął go wstręt do tak zwanego prawa, którego był przedstawicielem.

Niejednokrotnie już zastanawiał się nad tym, że w tym wypadku kara większa była od zbrodni. Iza cierpiała i cierpi jeszcze teraz bez porównania silniej, niż gdyby mąż jej został schwytany przed rokiem i zaraz stracony na szubienicy.

A Scottie Deane przeżył bez wątpienia mękę gorszą od śmierci, stając się przyczyną cierpień ukochanej kobiety. Patrząc na wygasłe głownie i posłanie z jodłowych gałązek, Billy współczuł zbiegom z głębi duszy.

Gdyby mógł, darowałby im zaraz życie, wolność i radość. Kurczowo zaciskał pięści, myśląc, że dla ukochanej kobiety poświęci wszystko, nawet własną cześć.

W kwadrans po odnalezieniu ich obozowiska ruszył w dalszą pogoń. Był podniecony widząc, że trop zbiegów idzie teraz zupełnie prosto, a sanki nie zahaczają już o skryte w śniegu pnie lub krzaki. Dowodziło to, że są lekkie. Widać Iza szła pieszo, przez co ucieczka stała się o wiele szybsza. Billy podwoił krok, a w paru otwartych miejscach ruszył nawet biegiem. Szlak był coraz świeższy i po godzinie dalszego pościgu Mac Veigh upewnił się, że dogania ich prawie. Przebył teraz pasmo zamarzłych torfowisk, wdrapał się na brzeg dość urwisty i stanął.

Iza odbywała tę drogę ostatkiem sił. Ku końcowi Deane pomagał jej iść, a jednak padła wreszcie i leżała długo na podestanej przez męża derce. Oboje pili potem herbatę, na śniegu bowiem widniało parę ciemnych bryzgów. Bryzgi te nie zamarzyły jeszcze. Stwierdziwszy to Billy instynktownie kucnął za pobliską skałą, spoglądając w głąb lesistej doliny leżącej poniżej. Po chwili energicznie ruszył w dół.

Spuścił się już niemal do połowy zbocza, gdy nagle skoczył wstecz ze zdławionym okrzykiem. Przed nim ziała głęboka wyrwa. Błyskawicznie pojał, co zaszło. Iza i Scottie stąpili na zawianą

śniegiem szczelinę górską i polecili w dół na skały.

Mgnienie oka przetrwał bez ruchu; raptem daleko w tyle ozwał się dźwięk, który szarpnął całym jego jestestwem. Był to skowyt psa. Bucky wyruszył w pogoń z towarzyszami i zaprzęgiem i zbliżał się już.

Mac Veigh skoczył w lewo, by uniknąć śnieżnej pułapki, i pędem runął w dół zbocza. Odetchnął dopiero odnalazłszy miejsce, w którym opadła lawina niosąca zbiegów. Otarł wtenczas pot z czoła i chłonał oczyma znów widoczne odciski jej stóp. Poznał, że tu właśnie przygotowywano sanie do dalszej wędrówki, i raptem zauważył na śniegu liczne plamki krwi. Ktoś był ranny! Ale rana mogła się okazać powierzchowna o sto jardów od miejsca upadku sanki zatrzymały się ponownie, a gdy ruszyły w dalszą drogę, Deane jechał, a Iza brnęła pieszo.

Szedł coraz ostrożniej. Jeszcze sto jardów i przystanął węsząc. Przed nim sosny i jodły tworzyły zwarty gąszcz i z tej gęstwy szła bezsprzecznie jakaś niejasna woń. Na razie sądził, iż jest to aromat żywicy. W chwilę potem jednak wyczuł wyraźnie dym!

Z przyzwyczajenia sięgnął po rewolwer. Namacał pusty futerał i ze zdwojoną ostrożnością jął sunąć ku gęstwie drzew.

Wyzyskując niskie ośnieżone chaszczce, zboczył w prawo i zataczał wielki łuk. Szedł energicznie. Za pół godziny lub trzy kwadransy Bucky stanie na krawędzi wyrwy. Nim tam dotrze, tu wszystko musi być skończone. W pięć minut po opuszczeniu tropu ujrzał smugę dymu i wnet wziął kierunek na domniemany obóz.

- Męczyła go panująca w krąg cisza. Zbliżał się coraz bardziej, nie słyszał jednak ani ludzkich głosów, ani skowytu psów. Wreszcie dotarł do miejsca, z którego, kucnąwszy poza karłowatą sosną, mógł dostrzec ogień. Był oddalony od niego zaledwie o trzydzieści stóp.

To, co ujrzał dech mu zaparło. Na kocu, rozesłanym tuż przy ognisku, spoczywał Scottie Deane, z głową opartą o wór podróżny. W pobliżu nie było Izy ani sań, ani psów. Billy zerwał się na równe nogi, a serce tłukło się w nim jak oszalałe. Nie zastanawiał się wcale nad tym, gdzie znikła żona zbiega.

Deane znajdował się sam i zwrócony doń plecami. Trudno było zaiste o lepszą okazję, toteż obute w mokasyny stopy Billy'ego stąpały po śniegu chyżo a bezgłośnie. Zbliżył się do zbiega na dwa metry, gdy ten dopiero go usłyszał; a nim Scottie zdołał wykonać najmniejszy ruch, Mac Veigh siedział mu już na karku. Zdziwiła go łatwość, z jaką obezwładnił Deane'a i nałożył mu kajdanki. Ale zaledwie ukończył swą czynność, pojął wszystko. Głowę więźnia opasywał skrwawiony bandaż; członki miał półomdlale. Spojrzał zamglonymi oczyma w twarz sierżanta i zrozumiał wreszcie, co się stało, wydał cichy pomruk.

W jednej chwili Mac Veigh klęczał już przy nim.

Poprzednio widywał Deane'a dwukrotnie w forcie Churchilla, ale nigdy nie oglądał go z tak bliska. Twarz jeńca była okropnie wyniszczona moralnym i fizycznym cierpieniem. Policzki mu zapadły, a siwe oczy poczerwieniały wśród długich wędrówek poprzez gryzące mrozy i wichry. Nie była to jednak twarz przestępcy, lecz człowieka, któremu Billy chętnie by zaufał; twarz ozdobiona jasnym wąsem, odważna i energiczna, wieszcząca charakter szczery i otwarty.

Billy pojął natychmiast, dlaczego Deane nie zamordował go, mając po temu wspaniałą okazję. Deane nie należał do tych, co uderzają w mroku lub w plecy. Darował mu życie, wciąż jeszcze wierzył bowiem w ludzkość człowieka; i na myśl o tym, jak płaci za ową wspaniałomyślność, Billy uczył gryzący wstyd. Ujął oburącz jedną z dłoni Scottie Deane'a.

— To, co czynię, czynię wbrew swojej woli! — wykrzyknął prędko. — Diabelska rzecz, nakładać kajdanki rannemu! Ale tak trzeba! I w ogóle nie byłbym tutaj, gdyby nie to, że kapral Bucky

Smith i dwaj inni odnaleźli wasz trop w starym obozowisku. Schwytaliby was na pewno! A to byłoby straszne dla niej... Rozumiesz? Jej groziłoby niebezpieczeństwo! Więc postanowiłem wyprzedzić ich i sam was pojmać!

Chcę, żebyś zrozumiał! I sędzę, uwierzysz mi... Zresztą słyszałeś wszystko leżąc w tej skrzyni, gdy ja myślałem, że tam leży trup. Klnę się na Boga, mówiłem szczerą prawdę! Nie ścigałbym was! Cieszyłem się, że zdołaliście umknąć. Ale ten Bucky to łotr i łajdak! Gdy będziecie moimi więźniami, może z czasem zdołam wam dopomóc... Oni tu zaraz nadejdą...

Mówił prędko, a głos drżał mu podnieceniem. Oczy rannego nie schodziły wcale z twarzy Mac Veigha. Gdy ten umilkł, Ignęły do niej jeszcze, z wyrazu jej wnioskując o prawdzie słyszanych słów. I nagle dłoń więźnia zacisnęła się na rękę Billy'ego.

— Porządny z ciebie chłop, Mac Veigh! — rzekł Scottie Deane krótko. — To, co stało się dziś, i tak musiało się stać prędzej czy później. Cieszę się, że ty mnie schwytałeś, nie kto inny. Będziesz się opiekował nią?

— Będę! Choćbym miał walczyć i zabijać dla niej! W oczach rannego zapłonął nagły błysk.

— Właśnie to uczyniłem! — zawołał, kurczowo ściskając rękę sierżanta. — Zabiłem — dla niej! Tamten to był także łotr i łajdak. Na moim miejscu postąpiłbyś tak samo!

Spojrzał znowu w twarz Billy'ego.

— Cieszę się, żeś mówił o różnych takich rzeczach, gdy leżałem w tej skrzyni... — dodał. — Gdyby Iza była nie tak czysta i niewinna, uczułbym może pewną zazdrość... Teraz wiem, że zaopiekujesz się nią jak brat. Niewielu ludziom ufałem w życiu, tobie — ufam!

Billy pochylił się nad nim. Na twarzy miał rumieniec, głos mu drżał.

— Niech ci Bóg da zdrowie za te słowa! — wyszeptał. Dźwięk z głębi boru zelektryzował obu mężczyzn.

— Wzięła psy i poszła po drzewo — rzekł Scottie. — Teraz? wraca.

Billy skoczył na równe nogi i spoglądał wstecz, ku zbocz. On także usłyszał dźwięk, dźwięk inny i płynący z innej strony. Zwrócił się do rannego i roześmiał się smutno.

— I oni również idą! — odparł. — Suną w dół pochyłości. Wezmę twoją broń, stary. Być może, dojdzie do walki!

Włożył do swego futerału rewolwer Deane'a i szybko wypróżnił magazyn jego fuzji.

— Gdzie mój karabin? — spytał.

— Rzuciłem go po drodze — rzekł Scottie. — Nie ma tutaj innej broni!

— I Billy czekał, podczas gdy Izabela Deane wiodła sanie i psy wśród nisko zawieszonych jodłowych gałęzi.

6. UCIECZKA

Brnąc poprzez gąszcz drzew iglastych, po kolana w śniegu, na czele swojego zaprzęgu, Izabela Deane uśmiechała się do męża. Naraz ujrzała Mac Veigha i uśmiech na jej twarzy zastygł. Gdy wynurzyła się na polankę, dzieliło ją od obu mężczyzn zaledwie dwadzieścia stóp i Billy wyraźnie usłyszał jej zdławiony okrzyk. Stała się i uniosła ręce ku piersi.

Deane poruszył się, a na jego bladej i znużonej twarzy promieniał pogodny uśmiech; z okropnym krzykiem Iza skoczyła ku niemu, padła na kolana tuż obok i oburącz szarpnęła kajdanki. Billy odwrócił się. Słyszał jej płacz i słyszał stłumiony, krzepiący głos Scottie Deane'a. Jęk bólu wyrwał mu się z ust, zacisnął pięści, myśląc o tej strasznej chwili, gdy będzie musiał spojrzeć w twarz nade wszystko umiłowanej kobiety.

Oprzytomniał na dźwięk jej głosu. Zerwała się na nogi i stała teraz przed nim, dysząc jak ścigane zwierzę. Ujrzał w jej oczach to, czego obawiał się bardziej niż śmierci. Wzrok jej nie promieniał już słodyczą i ufnością. Źrenice miała zimne i straszne, pełne takiego obłędu, że sądził, iż lada chwila skoczy mu do gardła.

W oczach tych, w drzeniu obnażonej szyi, w łkaniu piersi malowały się ból i rozpacz, i strach. Billy trwał przed nią milcząc, bez słowa, z twarzą bladą i chłodną jak śnieg u jego nóg.

— I pan... pan po tym wszystkim ścigał nas?

Nie dodała nic więcej. Ale ton i znaczenie słów zabolowały go bardziej, niż gdyby otrzymał fizyczny cios. W głosie jej nie było oburzenia i wyrzutu. Słowa padały cicho, szeptem niemal, i godziły prosto w duszę. Zamierzał uprzednie powtórzyć jej to, co powiedział jej mężowi — być może, więcej. Ale samotne życie w pustkowiach nie nauczyło go szybkiego odpierania zarzutów. Serce łkało w nim; Iza tymczasem wróciła znów do posłania rannego. Wnet też stało się to, czego oczekiwał od dawna.

Po zboczu w dół sypnął tuman śniegu i dobiegło ujadanie psów. Mac Veigh wysunął nieco z futerału rewolwer i trwał w pogotowiu, gdy Bucky Smith, wyprzedzając swych ludzi, wbiegł na polankę. Na widok twarzy wroga, wykrzywionej rozczarowaniem i wściekłością, wrócił Billy'emu cały jego zwykły spokój.

Kapral jednym skokiem znalazł się u boku Scottie Deane'a. Spojrzał w dół, na jego ręce zakute w kajdanki, na kobietę, która gwałtownie szarpała stalowy łańcuszek — i błyskawicznie zwrócił się do Billy'ego.

— Jesteś kłamca i wąż! —, dyszał. — Odpowiesz za to w głównej komendzie! Rozumiem teraz dlaczego wpierw dałeś mu ujść! O nią szło! Zapłaciła ci, zapłaciła ci własną monetą, byleś go puścił wolno. Ale to się już nie powtórzy, o nie!

Deane drgnął, jakby go pszczoła ukąsiła. Billy zobaczył bladą twarz Izy. Bucky Smith nie zdołał wymówić nic więcej. Billy zwał się nań jak piorun. Trzasnął pięścią raz, drugi, i Bucky runął przez ognisko w śnieg. Billy nie czekał, aż przeciwnik wstanie. Miał przed oczyma purpurowe błyski. Zapomniał, że inni ludzie są wokół. Wiedział tylko, że łajdak, którego ma przed sobą, śmiertelnie obraził Izę — i nim Conway lub Walker zdołali zrobić najmniejszy gest, runął znów na Bucky Smitha.

Nie pamiętał wcale, jak długo bił, lecz gdy wreszcie Conway i Walker zdołali go odciągnąć, Bucky leżał na wznak na śniegu, rzygając krwią z nosa i ust. Walker pochylił się nad nim. Z trudem łowiąc ustami powietrze, Billy poszukał oczyma Izy. Łkał prawie. Nie mógł słowa wymówić. Ale w jednej chwili poznał, że to, czego się najbardziej obawiał, minęło.

Iza patrzała nań, a w oczach jej była znowu dawna ufność. Zrozumiała wreszcie! Skute ręce Deane'a były zaciśnięte mocno; miał w źrenicach serdeczny błysk. I gdy przed chwilą jeszcze ból i rozpacz panowały w duszy Mac Veigha, teraz przepełniała ją ogromna radość. Wierzyła mu!...

Walker uniósł kaprała do siedzącej pozycji i omywał mu twarz z krwi; gdy Billy podszedł ku nim, Bucky z wysiłkiem sięgnął po rewolwer. Billy wybił mu go z ręki i odrzucił precz. Potem przemówił do Walkera.

— Wiesz o tym, prawda, że jestem sierżantem? — spytał. Głos miał szorstki, oficjalny. Brzmiała w nim nuta komendy. Walker zrozumiał w lot.

— Tak, wiem.

— I znasz prawa dotyczące niesubordynacji wobec przełożonych będących na służbie oraz nieodpowiedniego zachowania się wobec nich?

Walker skinął głową.

— Zatem, jako zwierzchnik, w imieniu Jego Królewskiej Mości aresztuję kaprała Bucky Smitha i polecam odprowadzić go do fortu Churchilla. Wręczysz także dowodzącemu tam oficerowi list, który napiszę. Przybędę sam później nieco i złożę dowody, które wystarczą, by kaprała zwolniono ze służby. Proszę mu nałożyć kajdanki!

Walker, oszołomiony, usłuchał bez słowa sprzeciwu. Billy zwrócił się do poganiacza.

— Deane jest ciężko ranny i nie może iść — tłumaczył. — Postaw tuż przy ogniu swój namiot dla niego i jego żony. Gdy będziesz wracał, zabierz w zamian mój.

Z plecaka dobył ołówek i papier. W kwadrans potem wręczył Walkerowi list, w którym wymienił parę faktów dotyczących kaprała, o tyle ważnych, że miały bezwzględnie wystarczyć do tymczasowego osadzenia go w areszcie. Tymczasem Conway ustawił namiot i pomógł rannemu schronić się w nim. Iza poszła w ślad za mężem.

Billy miał później krótką poufną rozmowę z Walkerem i gdy konstabl wydawał potem Conwayowi rozkazy dotyczące podróży, w oczach jego, ilekroć spojrzał w stronę kaprała, świecił się wrogi błysk. W ciągu tych paru minut bowiem wysłuchał opowieści o Francuzie Rousseau i o jego młodej żonie, której zbyt łatwowierność wpędziła go do grobu. Zresztą Walker nienawidził Bucky Smitha tak, jak nienawidzili go wszyscy. Toteż Mac Veigh był pewien, że rozkazy jego zostaną skrupulatnie wykonane.

Sanie i psy były już gotowe do odjazdu, a Bucky wciąż milczał. Straszliwe ciosy Billy'ego ogłuszyły go na czas dłuższy. Teraz jednak, odzyskawszy zwolna zdolność czynu i myśli wstał raptem, nie czekając komendy Walkera, i ruszył wprost na Mac Veigha. Przystąpił doń zupełnie blisko. W okrwawionej twarzy oczy lśniły mu złowieszczym blaskiem; przemówił tak cicho, że Walker i Conway słyszeli tylko niewyraźny szept. Słowa kaprała były przeznaczone jedynie dla Mac Veigha.

— Za to wszystko zabiję cię, Mac Veigh! — wycharczał Bucky. I pomimo wzgardy, jaką w nim budził ten człowiek, Billy uczuł przykry dreszcz. — Możesz mię wyrzucić ze służby, ale przypłacisz to własną skórą!

Mac Veigh milczał; Bucky zresztą nie czekał odpowiedzi. Ruszył pierwszy, a Conway z saniami poszedł za nim w trop. Billy towarzyszył Walkerowi do stóp zbocza. Tam podali sobie ręce i Billy patrzył w ślad małej karawany, aż znikła za szczytem wzgórza.

Wolno wracał do obozu. Deane, wsparty na ramieniu żony, wyszedł właśnie przed namiot. Czekali na niego, a w oczach Scottie Deane'a jaśniał ten sam błysk, co przepełnił jego źrenice po zwycięskiej walce Billy'ego z kapralem. Mac Veigh nie śmiał na razie spojrzeć w twarz Izy. Zauważyła to i ciemny rumieniec oblał jej policzki. Deane chciał wyciągnąć ku niemu ręce, ale

trzymała je kurczowo w swoich dłoniach.

— Wejdz lepiej do namiotu i połóż się — doradził Billy. — Nie miałem czasu zbadać twojej rany, czy poważna...

— Głupstwo! — zapewnił Deane. — Uderzyłem się o skałę lecąc w dół i zamroczyło mnie na krótko.

Billy czuł, że wzrok Izy nie schodzi z jego twarzy, i nie patrząc widział zawarte w nim pytanie. Jął ściągać drzewo z przywiezionych przez nią sanek i dorzucać paliwa do ognia. Wolałby, aby ona i Scottie jeszcze czas jakiś pozostali w namiocie. Policzki mu płonęły i wydawało się, że ma ogień w zyłach, gdy pochwycił ukradkiem błysk stalowych kajdanków na rękach więźnia.

Poprzez dym ogniska widział, jak palce Izy wciąż jeszcze obejmują wstrętny łańcuch — i nagle skoczył ku nim i spojrzał im w twarze. Nie bał się już wyrazu ich oczu. Promieniał cały ogromną radością i mówiąc wyciągnął ku nim ręce, jak gdyby chcąc w tej chwili oboje przycisnąć do piersi.

— Wiecie już, wiecie, dlaczego to uczyniłem! — wołał gorączkowo. — Słyszałeś, Deane, com mówił wtedy, gdy leżałeś zamknięty w tej skrzyni. Wszystko to była prawda! Ona pojawiła mi się w mroku jak anioł i będę o niej zawsze myślał jak o aniele prawdziwym... Mało co wiem o Bogu, tym, którego czczą tutaj, biorąc oko za oko, ząb za ząb i mordując tego, który zabił. Ale w tutejszych pustkowiach jest coś, co zmusza do myślenia i każe czynić jedynie rzeczy dobre, uczciwe... To, co wiem o Bogu, zawarłem w mojej Biblii, w tym kwiecie błękitnym — i dałem go jej...

Dałem go jej i ona sama, na zawsze, stała się mym kwiatem błękitnym. Nie wstydzę się, Deane, mówić o tym wobec ciebie, gdyż słyszałeś to już dawniej i wiesz, że w myślach moich nie ma grzechu. Będzie mi lżej, gdy odejdziecie, widzieć oczyma duszy jej twarz, słyszeć jej głos i pamiętać, że istnieje na świecie miłość taka jak wasza. Bo pozwolę wam odejść, stary! Po to przyszedłem, by wyrwać cię z rąk innych i zwrócić — jej. Sądzę, że teraz wreszcie zrozumiecie wszystko, co czuję...

Głos mu się załamał. Jasne oczy Izy zaglądały mu w głąb serca; odpowiedział jej długim wejrzeniem i w błękitnych źrenicach znalazł hojną dla siebie zapłatę. Zwrócił się do Scottie Deane'a. Klucz zgrzytnął w zamku i gdy kajdanki opadły na śnieg, zwały się ich dłonie, a na surowych twarzach obu odmalowało się uczucie braterskiej miłości.

— Cieszę się, że wiesz wszystko, Scottie! — przemówił miękko Mac Veigh. — Byłoby nieuczciwie, gdybyś nie wiedział... Mogę teraz myśleć o niej i nie będzie to ani podłe, ani grzeszne. A gdybyś kiedy potrzebował pomocy, gdziekolwiekbyś się znalazł: w Afryce czy w Południowej Ameryce, napisz tylko — przyjadę! Najlepiej jedź do Południowej Ameryki. Tam dobrze... Zamelduję w głównej komendzie, że umarłeś z ran odniesionych podczas ucieczki. Skłamię!... Ale błękitny kwiat uczyniłby to samo! A czasem, wiesz, ten przyjaciel, który umie kłamać, jest jedynym właśnie szczerym przyjacielem... Ona skłamałaby dla ciebie tysiąc razy!

— I dla pana także! — cichutko szepnęła Iza. Wyciągnęła ku niemu ręce, z oczyma pełnymi łez szczęścia i przez chwilę Billy trzymał w swych dłoniach jej małą dłoń. Patrzył na jej głowę, gdy mówiła:

— Bóg zapłaci panu kiedyś! — tu łkanie złamało jej głos. — Da ci to szczęście, to właśnie, o którym marzysz! Znajdziesz błękitny kwiat, słodki, czysty i uczciwy, i wówczas dopiero zrozumiesz naprawdę, czym jest dla mnie życie z nim!

I nagle rozplakała się jak dziecko, zakryła twarz dłońmi i uciekła w głąb namiotu.

— O Boże... — wyszeptał Billy oddychając głęboko. Spojrzał w oczy Deane'a, a Deane uśmiechnął się serdecznie.

Rozmawiali później we dwóch dość długo, po czym Billy wyjął z kieszeni sakiewkę.

— Będziesz potrzebował pieniędzy, Scottie — rzekł. — Chcę, byś co prędzej ten kraj opuścił.

Ruszaj na Vancouver. Mam tu trzysta dolarów... Weźmiesz to albo palnę ci w łeb!

Wepchnął mu pieniądze w garść, w chwili gdy Iza wychodziła właśnie z namiotu. Oczy miała czerwone, ale uśmiechała się niosąc coś w ręku. Pokazała to obu mężczyznom. Był to błękitny kwiat dany jej przez Mac Veigha. Teraz jednak płatki były pooddzielane każdy z osobna i w liczbie dziewięciu leżały na jej dłoni.

— On nie może należeć tylko do jednej osoby — rzekła miękko, a uśmiech zamarł na jej wargach. — Tu jest dziewięć płatków, po trzy dla każdego z nas!

Dała Billy'emu trzy i trzy mężowi i przez chwilę mężczyźni przyglądali się płątkom leżącym na ich dłoniach spękanych i twardych. Potem Billy wyjął z kieszeni list, w który przedtem zawinął pasmo włosów Izy, i schował wraz z nimi jej dar. Deane włożył swoje płatki do starej koperty. Billy przemówił doń półgłosem:

— Chciałbym zostać sam na chwilę, do obiadu. Może byś wszedł do namiotu z nią?

Gdy oboje znikli, Billy zawrócił ku miejscu, gdzie zostawił plecak, nim zaczął się skradać do ogniska. Uniósł pakunek z ziemi i nie przestając iść, umocował go na ramionach. Kroczył szybko dawnym śladem, a serce przepelniała mu okropna, bolesna pustka. Gdy dotarł do stóp zbocza, próbował gwizdać, ale wargi miał jakby obrzmiałe i gardło dziwnie ściśnięte. Ze szczytu wzgórza spojrział w dół. Cienka smuga dymu tryskała z jodłowej gęstwy. Wilgotna mgła przesłoniła mu oczy i z łkaniem wymówił imię Izy. Potem ruszył dalej, wracając do dawnej swej niedoli i życiowej pustki.

— Idę już, Pelly! — śmiał się wymuszenie. — Idę! Straci łem szmat czasu, ale pośpieszę teraz i nadrobię to!

Wicher zrywał się ponownie i wył wśród szczytów drzew. Mac Veigh ucieszył się. Szła zawieja. A zawieja pokrywa wszelkie ślady.

7. OBLĄKANIE PELLETIERA

Daleko na cyplu Fullerton, wśród zgiełku wichru i podbiegunowych mroków — Pelletier walczył z gorączką z dnia na dzień silniejszą, oczekując powrotu Mac Veigha. Na razie był pełen wiary. Pierwszy błysk słońca, oglądany przez małe okienko w dniu wyjazdu Billy'ego, pojawił się w samą porę, by uchronić mózg samotnika od ostatecznego obląkania. Przez trzy dni z rzędu spoglądał potem w okno o tej samej porze, zanosząc w myślach gorące modły o ponowny przebłysk rajskiego objawienia na północnym niebie.

Ale ten sam huragan, z którym walczyła Iza idąc przez barren, hulał nad jego głową i wokół chaty — dzień po dniu, wyjąc, rycząc i jęcząc, podczas gdy w dali z hukiem pękały pola lodowe i panował jeszcze głębszy mrok podbiegunowych nocy, który przyprawił go już o początki oblędu. Starał się myśleć o Billy'm, o jego śmiałej wyprawie na południe, o cennych listach, co wnet nadejdą — i liczył dni, robiąc ołówkiem znaki na drzwiach, które wiodły ku staloworudej płaszczyźnie morza.

Aż przyszedł dzień, gdy wiara w nim zamarła. Osądził, że zbliża się ku niemu śmierć. Przeliczył znaki na drzwiach i przekonał się, że jest ich szesnaście. Przed szesnastu dniami właśnie Billy ruszył w drogę. Jeśli wszystko poszło dobrze, Billy już wraca, a za tydzień będzie w domu.

Na wychudłej, zżartej gorączką twarzy Pelletiera ukazał się tragiczny uśmiech. Pomyślał, że na długo przed upływem tego tygodnia umrze... Lekarstwa i listy nadejdą za późno. Ostatni znak na drzwiach wyciągnął ołówkiem w długą linię i na końcu jej nagryzmolił prawie nieczytelnie:

Drogi Billy, zdaje mi się, że dzień ten jest dla mnie ostatni!

Potem, zataczając się, pobrał od drzwi ku oknu.

Tam, zewnątrz, było to, co przyprawiało go o śmierć: pustka oblędna, samotnia, kraina bez życia, sięgająca setki mil dalej, niż sięgał jego wzrok. Na północy i wschodzie nie widniało nic prócz lodu; lodowe góry i zwaliska, białe w pobliżu, stalowe dalej nieco, purpurowoczarne w głębi.

W powietrzu drżał nieustanny warkot prądów podwodnych, które wciąż walcząc o miejsce szły aż do Oceanu Lodowatego; czasami ozwał się grzmot gór lodowych, co pękały raptem, niby przecięte nożem na pół. Dźwięki te obijały się mu o uszy już od pięciu miesięcy, a prócz nich nie słyszał innych głosów, tylko swój własny i Mac Veigha oraz bełkot pewnego starego Eskimosa. W ciągu czterech miesięcy raz jeden oglądał słońce, tego ranka właśnie, gdy Billy wyruszał na południe. Stał się więc półobląkanym. Inni przed nim stawali się obląkani zupełnie.

Przez szybę przywarł oczyma do pięciu prostych drewnianych krzyży, znaczących mogiły tamtych. Śród kolegów z królewskiej konnej policji zwano ich bohaterami. W krótkim czasie on, konstabl Pelletier, powiększył to grono. Mac Veigh opíše całą historię i pošle pismo jej, wiernej małej dziewczynie, która czeka daleko na południu; a ona na zawsze zachowa w pamięci swego bohatera i nie zapomni o jego grobie na cyplu Fullerton, najbardziej na północ wysuniętym posterunku sprawiedliwości.

Ale grobu tego nie ujrzy nigdy! Nigdy też nie złoży na nim kwiatów, tak jak kładła je na grobie matki. Nie dowie się wszystkiego o nim! Nie dowie się połowy nawet! Jak bezbrzeżnie tęsknił do dźwięku jej głosu, do dotknięcia ręki, do błysku błękitnych oczu. Jak marzył o niej przed śmiercią... Mieli się pobrać w sierpniu, po ukończeniu jego służby. Obiecała nań czekać... A w sierpniu lub w lipcu dostanie wiadomość, że konstabl Pelletier — umarł!

Z okropnym łkaniem odwrócił się od okna, siadł przy stole stojącym tuż obok łóżka i po raz tysięczny, czerwonymi, pełnymi gorąco czki oczyma spojrzął na fotografię narzeczonej. Zdaniem

Tommy Pelletiera dziewczyna była cudownie piękna, w koronie kasztanowatych włosów i z oczyma, które zdawały się mówić wciąż o miłości. I po raz tysięczny odwróciwszy fotografię, wyczytał słowa napisane jej ręką:

Mój złoty, jedyny chłopcze! Pamiętaj, że zawsze jestem przy Tobie, zawsze o Tobie myślę, zawsze się za Ciebie modlą — i wiem, drogi, że zawsze będziesz postępował tak, jakbyś postąpił mając mnie przy sobie.

— Mój Boże... — jęknął Pelletier — nie mogę przecie umrzeć, nie mogę!... Powinienem żyć, by ją zobaczyć!

Wyczerpany, opadł na tapczan. W mózgu czuł ogień. Zaczął majaczyć i zdało mu się, że słyszy jej głos, to znów, że sam do niej przemawia — ale wydawał jedynie nieartykułowane dźwięki, aż Kazan, jednooki pies eskimoski, unosząc z ziemi kudłaty łeb, podejrzliwie węszył. Od dnia wyjazdu Mac Veigha Kazan niejednokrotnie słyszał majaczenie biednego Tommy, toteż uspokoił się wkrótce i złożywszy łeb na łapach, zadrzemał znowu.

Upłynęło wiele minut, gdy znów uniósł głowę ku górze. Pelletier milczał. Ale pies, wciągając nozdrzami powietrze, wstał, podszedł do drzwi, zaskomlił cicho i wróciwszy do łoża chorego, tknął go nosem w zwieszoną dłoń. Potem siadł na zadzie i z gardła wydarło mu się żalosne, płaczące wycie, przeciągłe a straszne, takie właśnie, jakim indiańskie psy żegnają zmarłych panów. Dźwięk ten zbudził chorego. Pelletier uniósł się na łóżku i poczuł, że ból i gorączka raz jeszcze znikły.

— Kazan... Kazan... — prosił słabym głosem. — Za wcześnie płaczesz... Przecie nie umarłem dotąd!

Kazan podszedł do okna wychodzącego na wschód i stanął oparty łapami o parapet. Pelletier uczył przykry dreszcz.

— Wilki znów... — wyszeptał. — A może tylko lis!

Tommy przyzwyczał się mówić sam do siebie; jest to powszechnym nałogiem mieszkańców Dalekiej Północy, gdzie często jedynym dźwiękiem przerywającym monotonną ciszę jest brzmienie własnego głosu. Mówiąc podszedł do okna i wyjrzał razem z psem.

Od wschodu słało się pustynne barren, olbrzymie i martwe, bez chaszczy nawet lub skał, przywodząc zawsze na myśl Pelletierowi widziany kiedyś, pełen grozy obraz — *Piekło Dorego*. Niebo wisiało nisko, ciężkie jak złom granitu, tu i ówdzie barwione purpurą, w każdej chwili, zda się, gotowe sypnąć śniegiem. Pomiędzy niebem a ziemią leżał nędzny świat, o którym Mac Veigh wyraził się kiedyś, iż jest to dom obłąkanych pod wezwaniem Boga.

Mimo że jednooki Kazan i wyczerpany gorączką Pelletier nie sięgali wzrokiem zbyt daleko, to jednak po chwili rozróżnili obaj jakiś bliżej nie określony kształt, sunący zwolna ku ich chacie. Pelletier osądził najpierw, iż jest to lis; potem — wilk; wreszcie, gdy kształt rósł coraz bardziej — samotny łos. Kazan warknął krótko. Sierść na karku zjeżyła mu się groźnie. Pelletier patrzył ze wzrastającym natężeniem, przyciskając twarz do chłodnej szyby — i naraz wydał podniecony okrzyk.

To coś, brnące przez śnieg ku chacie, to był człowiek! Zgięty niemal w pół, chwiał się i zataczał, postępując jednak naprzód. Pelletier z trudem dotarł do drzwi, cofnął zasuwę i uchylił je nieco. Potem, zmęczony chorobą, padł znowu na brzeg łoża.

Zdawało mu się, iż wiek cały minął, nim wreszcie usłyszał kroki. Szły chwiejne i nierówne, a wnet potem w szparze drzwi pojawiła się obca twarz. Była straszna, zarośnięta, z dziko patrzącymi oczyma, ale jednak twarz białego człowieka. Pelletier spodziewał się ujrzeć tuziemca; toteż skoczył na równe nogi, cudem odzyskując siły.

— Jeść! Daj mi cokolwiek jeść... W imię boże, błagam...

Obcy zwałił się na podłogę i wpił w twarz Pelletiera dwoje oczu pełnych zwierzęcego pożądania

i chciwości. Pelletier podał mu flaszkę whisky i przybysz jął pić wielkimi łykami. Potem z trudem wstał, a Tommy opadł na stojące opodal krzesło.

— Jestem chory... — rzekł. — Sierżant Mac Veigh udał się do fortu Churchilla, a ze mną, zdaje się, źle. Musi pan sam sobie zaradzić. Oto chleb i mięso.

Whisky dodała sił obcemu. Spojrzał na Pelletiera i uśmiechnął się, łyskając żółtymi zębami śród gęstego zarostu. Spojrzenie to wywołało u chorego przyływ energii. Odruchowo dotknął prawą ręką biodra, w miejscu gdzie zawsze nosił rewolwer. Nie znalazł go tam jednak i uprzytomnił sobie, że broń leży obecnie pod poduszką.

— Gorączka, co? — spytał marynarz. Pelletier poznał, że nieznajomy jest marynarzem.

Przybysz zdjął ciężki płaszcz i rzucił go na stół. Potem, zgodnie ze wskazówkami gospodarza, zaczął szukać zapasów żywności; nie minęło pięć minut, jak już chciwie jadł. Pelletier usiadł przy stole naprzeciwko niego i wtedy dopiero odezwał się.

— Kim pan jest? I skąd pan, u Boga, idzie? — spytał.

— Blake Jim. Blake — to moje nazwisko. Idę z miejsca, które nazywam Przesmyk Głodowych Igloo. Znajduje się ono o trzydzieści mil w górę wybrzeża. Przed pięcioma miesiącami pozostawiono mnie o sto mil stąd, dla pilnowania skrytki należącej do wielorybnika Johna Sydneya. Tymczasem napór lodów zniszczył schowek; wtedy ruszyliśmy na południe, polując i przymierając głodem, ja i ona.

— Ona?! — wykrzyknął Pelletier.

— Eskimoska *squaw*! — rzekł Blake wyciągając z kieszeni czarną fajkę. — Kapitan kupił ją, aby dotrzymywała mi towarzystwa. Zapłacił jej mężowi czterema workami mąki i nożem. Czy ma pan tytoń?

Pelletier wstał, by przynieść tytoń. Zdziwiony był czując, że nogi noszą go znacznie pewniej, a słowa Blake'a jakby rozświetlają mu umysł. Obaj, Mac Veigh i on, zwalczali zaciekle niemoralne transakcje dokonywane przez białych, kupujących i sprzedających eskimoskie dziewczęta — a oto Blake sam się przyznaje do podobnego występku. Bliskość czynu chwilowo stłumiła chorobę Pelletiera. Przyniósł tytoń i siadł.

— Gdzie jest ta kobieta? — spytał.

— Tam, w igloo... — wyjaśnił Blake. — Zbudowaliśmy lodową chatę i złowiliśmy morsa. Całe mięso poszło. W każdym razie w obecnej chwili nie ma przypuszczalnie nic! — roześmiał się chrapliwie, nabijając fajkę. — Dobrze jest wleźć znowu w skórę białego człowieka!

— Ale ona żyje jeszcze?! — nalegał Pelletier.

— Wątpię! — odparł Blake. — Była tak osłabiona, że gdy odchodziłem, prawie nie mogła się ruszać. Chociaż te bydlaki eskimoskie mają twardy żywot, szczególnie kobiety...

— Oczywiście wróci pan po nią?

Tamten patrzył przez chwilą w zarumienioną twarz konstabla, potem roześmiał się, jakby usłyszał dobry kawał.

— Ani myślę, mój chłopcze! Nie przeszedłbym ponownie tych trzydziestu mil, tam i z powrotem, za cenę wszystkich Eskimosek!

Oczy Pelletiera błysnęły silniej, gdy pochylał się nad stołem.

— Słuchaj, ty — rzekł. — Pójdiesz po nią zaraz, rozumiesz?! Pójdiesz po nią!

Nagle urwał. Wlepił wzrok w kurtkę marynarza i sięgnąwszy, błyskawicznie chwycił z niej coś palcami. Zdumiony okrzyk dobył się z jego warg. Trzymał w ręku włos; włos dość długi i nie należący do tuziemki. W szarej pomroce, idącej z zewnątrz, jedwabista nić lśniła złotem.

Pelletier wpił groźne oczy w twarz Blake'a.

— Kłamiesz! — rzekł twardo. — To nie jest Eskimoska!

Blake uniósł się z krzesła, oburącz wsparty na stole, wysuwając do przodu brutalną gębę. W postawie tej była tak wyraźna groźba, że Pelletier uskokzył odruchowo poza zasięg jego ramion. Z przekleństwem na ustach Blake rzucił stół o ziemię i runął wprost na chorego.

— Zabiję cię! — ryczał. — Zabiję i wsadzę tam, gdzie ją wsadziłem! A gdy twój koleżka przyjdzie...

Ręce jego chwyciły gardło Pelletiera; ale nim zacisnęły się dostatecznie mocno, z warg chorego wyszedł krzyk:

— Kazan! Kazan! Kazan!

Z wilczym charkotem stary, jednooki pies skoczył na marynarza i we trójkę zwalili się na łóżko. Atak Kazana oderwał na chwilę jedną z dłoni Blake'a od gardła Pelletiera; wyzyskując ten moment, Pelletier zdołał wsunąć rękę pod poduszkę. Blake zamierzył się właśnie na psa ogromnym, wydobytym zza pasa nożem, gdy Pelletier strzelił. Chwył marynarza osłabł. Bez jęku osunął się na ziemię, a policjant, z trudem uniósłszy się, wstał. Zęby Kazana szarpały wciąż jeszcze nogą trupa.

— Dosyc, stary — rzekł Pelletier odciągając psa na bok. — Ale walka była ostra!

Siadł i spojrzał na Blake'a. Wiedział, że ten już nie żyje. Kazan, jeżąc sierść na karku, obwąchiwał głowę marynarza. I raptem smuga światła wpadła przez okno do wnętrza. To było słońce! Słońce, od czterech miesięcy oglądane po raz drugi. Radosny okrzyk wyrwał mu się wprost z serca. Urwał go jednak w połowie. Na podłodze obok Blake'a lśniło coś w słonecznym blasku i — Pelletier w jednej chwili padł na kolana.

Był to złotawy włos znaleziony poprzednio na kurtce marynarza; w połowie przykrywała go fotografia, która spadła ze stołu, gdy ten się przewrócił w czasie walki. Z fotografią ukochanej w jednej ręce, a tym kobiecym włosem w drugiej, Pelletier wstał i spojrzał w okno. Słońce znikło. Ale jego krótki błysk dodał nowych sił choremu. Radośnie zwrócił się do Kazana.

— To coś znaczy, stary! — rzekł niskim, zdławionym głosem. — Słońce, fotografia i to! Ona nam to przysłała, słyszysz! Ona przysłała!... Zdaje mi się, że mówi do mnie i każe iść, szukać... Tommy — mówi ona — nie byłbyś mężczyzną, gdybyś nie poszedł, choćby ci nawet przyszło skonać w drodze! Możesz jej zanieść trochę żywności — to ona mówi, stary! — a czy umrzesz tu, czy w eskimoskim igloo, to przecie wszystko jedno! Zostaw parę słów do Billy'ego, a kobiecie daj tyle zapasów, by przetrwała, nim on się zjawi! Billy zabierze ją stamtąd, a ciebie pochowa. Oto jak mówi ona, Kazan! Idziemy zatem!

Obejrzał się w krąg, na pół przytomnie.

— Wprost w górę wybrzeża! — wybełkotał. — Trzydzieści mil! Damy temu radę, stary!

Zaczął ładować żywność do worka. W śniegu za drzwiami stały małe sanki. Gdy włożył już podróżną odzież, przytroczył wór do sań, umieszczając obok trochę drzewa, naftę i koce. Skończywszy napisał parę słów do Mac Veigha i przypiął papier do drzwi. Potem zaprzął Kazana do sanek i ruszył w drogę, pozostawiając zmarłego tam, gdzie padł.

— Byłaby zadowolona z nas! — zwrócił się ponownie do psa. — Cieszyłaby się, Kazan! Niech Bóg ma w swej opiece to złote, małe serduszko!

8. MALEŃKA TAJEMNICA

Pelletier posuwał się skrajem skutego lodem wybrzeża. Szedł wolno, przecierając szlak dla psa, który nateżał wszystkie mięśnie starczego ciała, aby uciągnąć załadowane sanki. Podniecony nadzwyczajnym zdarzeniem Tommy odzyskał na krótko stracone siły, teraz jednak słabł na nowo. Ale dawna niemoc nie wracała z poprzednią grozą. Na razie najslabiej dopisywał mu wzrok.

Długie tygodnie gorączki zmęczyły mu oczy do tego stopnia, że świat wokół wydawał się nowy i dziwny. Widział jedynie na paręset kroków przed sobą, a poza tą granicą krajobraz szarzał i mętniał. Zauważył raptem, że sytuacja zawiera w sobie jednocześnie wiele tragizmu i komizmu — Kazan bowiem ma tylko jedno oko, podczas gdy on sam jest nieomal ślepcem. Roześmiał się więc i głośno przemówił do psa:

— Przypomina mi to ciuciubabkę! Wiesz, stary, bawiliśmy się w tę grę będąc dziećmi. Wiązała mi chustkę na oczach i ganiałem za nią po starym sadzie, a gdy schwytałem wreszcie, zgodnie z zasadą gry, pozwalała się pocałować! Raz wleciałem na jabłonkę...

Końcem rakiety śnieżnej zaczepił o szczelinę w lodzie i padł twarzą w śnieg. Wstał prawie natychmiast i mówił dalej:

— Bawiliśmy się w tę grę, stary, nawet wtedy, gdy byliśmy już prawie dorośli. Ostatnim razem miała już siedemnaście lat. Włosy nosiła splecione w ciężkie warkocze, ale się jej w biegu rozplotły, tak że gdy ją złapałem i zdjąłem chustkę, zobaczyłem tylko oczy i usta śmiejące się wśród zwichrzzonej gęstwy. I wtedy właśnie przygarnąłem ją ku sobie bliżej niż kiedykolwiek i powiedziałem, że stworzę dla nas dom... A potem przywędrowałem tutaj!

Stanął i pięścią przetarł oczy. Gdy w chwilę później ponownie ruszył naprzód, zaczął pleść rzeczy, których ani Kazan, ani żaden inny żywy stwór nie mógłby pojąć. Ale chociaż obłąd kładł mu w usta dziwne słowa, w duszy pozostała niezmiennie chęć czynu. Igloo i zgłodniała kobieta, którą Blake porzucił, tworzyły wyraźny i niezatarty obraz. Musi znaleźć igloo, a igloo leży nad morzem. Nie wolno mu przegapić lodowej chaty, jeśli tylko starczy sił na trzydziestomilową wędrówkę. Nie brał wcale pod uwagę, że marynarz mógł zełgać i chata znajduje się, być może, znacznie dalej lub znacznie bliżej.

Dochodziła druga, gdy zatrzymał się, by zagotować herbatę. Zdawało mu się, że przebył najmniej osiemnaście mil; w rzeczywistości pokrył nieco więcej niż połowę tej przestrzeni. Nie czuł głodu i sam nie jadł nic, ale Kazana hojnie nakarmił mięsem. Gorąca herbata z dodatkiem whisky wzmocniła go na razie bardziej niż jakiegokolwiek jedzenie.

— Najwyżej piętnaście mil! — rzekł do Kazana. — Damy sobie radę! Dzięki Bogu, damy sobie radę!

Gdyby miał lepszy wzrok, dojrzałby i rozpoznał olbrzymią, śniegiem pokrytą skałę, zwaną Ślepy Eskimos, a położoną o dziewięć mil od ich chaty, lecz będąc na pół ślepcem, ruszył pełen nadziei naprzód. W głowie czuł ostry ból i z trudem włókł nogi. Krótko po drugiej dzień się skończył; ale że o tej porze roku w tamtych stronach jest mała różnica między dniem a nocą, więc Pelletier prawie jej nie zauważył. Wizerunek igloo i konającej w nim kobiety to ginął, to pojawiał się znów w jego mózgu. Czasem zupełna ciemność pochłaniała wszelką myśl. Zmysł czynu i wytrwania ginął z wolna; wreszcie Pelletier zachwiał się i padł na sanki. — Dalej, Kazan! — zawołał słabo. — Dalej! Idź naprzód!

Kazan, rozwarłszy pysk, szarpnął i głowa Pelletiera opadła na wór z żywnością.

Po chwili Kazan usłyszał stęknienie; wówczas stanął i obejrzał się, cicho skomlać. Czas jakiś

siedział na śniegu, wężąc dziwną woń, która spływała ku niemu z powietrza. Potem ruszył dalej, wlokąc sanki nieco sprawniej i skowycząc bez ustanku. Gdyby Pelletier był przytomny, pognałby psa wprost przed siebie. Ale stary Kazan, pozostawiony własnej inicjatywie, zmienił kierunek. W ciągu następnych dziesięciu minut dwukrotnie przystawał, wężył i za każdym razem wybierał odmienny kurs. W pół godziny potem dotarł do białego kopca, który wzbijał się ponad śnieżną pustkę. Tam siadł na zadzie, uniósł kudłaty łeb ku ciemnym niebiosom i po raz drugi tego dnia wydał przeciągły, płaczliwy skowyt, wietrząc w pobliżu śmierć.

Dźwięk ten zbudził Pelletiera. Siadł, przetarł oczy, powstał z trudem i o kilkanaście kroków ujrzał biały kopiec. Dzięki odpoczynkowi ponownie wróciła mu jasność myślenia. Poznał, że ma przed sobą igloo. Rozróżnił wejściową wnękę i wzięwszy w dłoń latarnię, poczłapał ku niej. Zmarnował pół tuzina zapalek, nim mu się udało zapalić światło. Potem wlaźł do wnętrza, a stary Kazan deptał mu po piętach.

W śniegowej chacie panował przykry odór pleśni. Nie było słychać żadnego dźwięku, nie widać żadnego ruchu. Latarnia oświetlała małą izbę; Pelletier ujrzał na ziemi stos koców i skórę niedźwiedzia. Ani śladu życia! Instynktownie obejrzał się na psa. Łeb Kazana prężył się w stronę koców, uszy mu drgały, oczy płonęły dziko, a cichy skowyt bełkotał w gardle.

Pelletier raz jeszcze zwrócił uwagę na stos kołder i jał wolno stąpać ku niemu. Odrzucił na bok niedźwiedzie futro i znalazł to, o czym Blake mu wspominał — kobietę! Czas jakiś patrzył na nią osłupiały, potem padł obok na kolana, a cichy okrzyk wydarł mu się z piersi. Blake mówił prawdę! To była Eskimoska! Nie żyła już... Ale nie umarła z głodu. Marynarz ją zabił!...

Pelletier zerwał się znów na nogi i spojrzał w krąg. Więc ten złoty włos, włos białej kobiety, nie znaczył nic?! Ale co to! Skoczył wstecz, do swego psa, przejęty do głębi schorowanych nerwów dźwiękiem i ruchem, który doszedł go niespodziewanie z najdalszego i najciemniejszego kąta igloo. Kazan szarpnął się u jego stóp, drząc i skomląc, trzymany na uwięzi przez sanie, które ugrzęzły w zbyt wąskim otworze wejściowym. Dźwięk ozwał się ponownie: ludzki, żaloszny głos!

Z latarnią w dłoni Pelletier skoczył wprost na ten głos. Na podłodze leżał nowy zwój kołder, ale ten zwój się poruszał. W jednej chwili odrzucił koce, tak samo jak odrzucił poprzednie, a gdy opadły na boki, serce zadygotało w nim jak szalone.

Blask latarni oświetlił drobną, szczupłą twarzyczkę i złote włosy małego dziecka. Ogromne, wylękłe oczy patrzyły w górę, a gdy ukląkł obok, w obliczu tego cudu nie mogąc słowa wykrztusić, oczy się przymknęły, ozwała się natomiast żaloszna skarga, którą Kazan usłyszał pierwszy, gdy podchodzili do igloo. Pelletier odepchnął koce i porwał dziecko w ramiona.

— To dziewczynka! Malutka dziewczynka! — krzyknął do psa. — Prędeż, stary! Wyłaż stąd! Cofnij się!

Złożył dziecko na kołdrach i pchnął Kazana wstecz. Zdawać by się mogło, iż wstąpiła weń siła dwu ludzi, gdy rozwijał derki i wysypywał na śnieg zawartość wora.

— To ona posłała nas, stary — wołał łkając prawie. — Gdzie jest mleko i maszynka?

W chwilę potem był już ponownie we wnętrzu igloo, niosąc puszkę skondensowanego mleka, garnek i spirytusową maszynkę. Palce drżały mu tak silnie, że z trudem zapalił knot, a gdy otwierał nożem puszkę, zobaczył, jak oczy dziecka rozszerzają się nadmiernie, a po chwili zamykają się znowu.

— Jeszcze tylko minutę! Pół minuty tylko! — błagał lejąc mleko do garnczka. — Głodne maleństwo, co? Zgłodniałe bardzo?...

Trzymał garnczek tuż nad błękitnym płomieniem i patrzył ze zgrozą na maleńką, wybladłą twarz. Milczenie dziecka przerażało go. Umaczał palec w mleku i uznał, że jest dość ciepłe.

— Kazan! Dlaczego nie przynieśliśmy filiżanki? Wyskoczył znowu przed chatę i powrócił niosąc blaszany

kubek. W następnej chwili trzymał już dziecko w ramionach i przemocą wlewał mu w usta pierwsze krople mleka. Dziewczynka otworzyła oczy. Zda się, życie weszło w jej drobne ciało i piła już sama, głośno ciągnąc wargami płyn, a chudziutką rączką trzymając opiekuna za rękaw.

Pelletier dygotał cały z bezmiernego szczęścia. Napoił maleństwo połową mleka, a potem zawinął troskliwie w ciepły, rządowy koc, tak że jedynie twarz i złota splatana czupryna wyglądała z powijaków. Przez chwilę trzymał ją tuż obok latarni. Patrzyła na niego szeroko rozwartymi, pełnymi ciekawości oczyma, bez cienia strachu jednak.

— Niech cię Bóg błogosławi, kruszynko! — wołał coraz bardziej zdumiony. — Kto jesteś i skąd się tu wzięłaś? Masz najwyżej trzy lata, to fakt! Gdzie są twoi mama i papa?

Posadził ją znów na derach.

— A teraz, Kazan — rozpalimy ogień!

Uniósł latarnię nad głowę i znalazł wnet ciasny komin, który Blake zrobił w lodowym suficie. Potem wyszedł po drzewo, a po drodze uwolnił Kazana z uprzęży. W chwilą później niewielki, prawie bezdymny płomień oświecał i ogrzewał wnętrze igloo. Gdy Pelletier zbliżył się do dziewczynki, znalazł ją śpiącą. Poglądził dziecko po główce, a wzięwszy na ręce ciało zmarłej Eskimoski, wyniósł je na zewnątrz i złożył w śniegu, o sto metrów mniej więcej od igloo.

Przystanął potem na chwilę, zdziwiony własną siłą. Przeciągnął ramiona nad głowę i głęboko wchłonał mroźne powietrze. Zdało mu się, że zaszła w nim jakaś głęboka zmiana, a mózg uwolnił się od gniotącego ciężaru. Kazan podążył za swym panem aż tutaj; Pelletier pochylił się i spojrzał na psa.

— Już minęło, Kazan! — zawołał półgłosem, sam swemu szczęściu nie wierząc. — Nie jestem już chory!

Zawrócił w stronę igloo. Latarnia i ogień łagodnie oświeślały wnętrze chaty. Robiło się ciepło. Zrzucił więc ciężką kurtkę, przysunął niedźwiedzie futro bliżej płomieni i usiadł z dzieckiem na ręku. Maleńka wciąż jeszcze spała. Jak konający z głodu człowiek patrzy na zastawioną ucztę, tak Pelletier patrzył na jej wychudzoną twarzyczkę.

Szorstkimi palcami ostrożnie musnął złote włosy. Uśmiechnął się. Oczy mu lśniły. Zniżył głowę bardzo wolno i nieco lękliwie. Wreszcie wargi jego musnęły policzek dziecka. A potem ciemną, wichrami i mrozem spaloną twarz przytulił do maleńkiej twarzyczki tajemniczej istoty, znalezionej tak nie spodzianie na krańcu świata.

Kazan, siedząc na zadzie, przyglądał się temu uważnie. Potem skulił się w kłęb przy ogniu i zasnął. Pelletier trwał tak długi czas, trzymając dziecko w ramionach; kołysał je, chwielejąc się to w przód, to w tył, a radość rosła w nim i potężniała z każdą chwilą. U swej piersi czuł leciutkie "bicie maleńkiego serca; twarz mu ogrzewał oddech dziewczynki, a drobna rączka trzymała go za palec.

Setki pytań cisnęło mu się do mózgu. Kim była ta opuszczona kruszynka? Kim byli jej matka i ojciec i gdzie się znajdowali teraz? W jaki sposób znalazła się w towarzystwie Blake'a i Eskimoski? Blake nie był jej ojcem. Eskimoska nie była jej matką. Co za dramat rzucił ją w te kraje?

Ogarniała go radość niezmierna, czuł bowiem, że nikt nie zdoła zagadek tych rozwiązać. Należała do niego! Znalazł ją! Nikt nie przyjdzie mu jej zabrać! Nie budząc małej wsunął rękę do kieszeni na piersi i wyjął fotografię dziewczyny o łagodnym spojrzeniu, która miała zostać jego żoną. Już mu wywietrzały z głowy myśli o śmierci. Dawny strach i choroba — pierzchły! Wiedział, że będzie teraz żył!

— Mojaś ty... — szepnął — wszystko to za twoją sprawą... I wiem, będziesz się cieszyć, gdy ci

ją przywiozę...

A potem do śpiącej dziewczynki:

— A ty, jeśli nie masz innego imienia, będę cię musiał nazwać — Tajemnica! Jak uważasz, moja Maleńka Tajemnico?,,.

Gdy uniósł znów wzrok znad fotografii, oczy Maleńkiej Tajemnicy były szeroko rozwarte i uparcie patrzyły mu w twarz. Rzucił co prędzej fotografię narzeczonej i schylił się po garnczek z mlekiem stojący przy ogniu. Dziecko piło równie żarłocznie jak przedtem, a Pelletier szeptał do jej uszka pieszczotliwe słowa. Gdy skończyła, wziął znów fotografię do ręki, wierząc, że dziecko pojmie jej treść.

— Patrz! — zawołał. — Ładna?

Ku jego zdumieniu i radości Maleńka Tajemnica, wysunawszy rączki, oparła paluszek o twarz dziewczyny. Potem spojrzała w górę, w źrenice Pelletiera.

— Mama? — spytała cichutko.

Pelletier chciał przemówić, ale coś mu zawadzało w gardle. Płomień przeleciał mu po ciele; radość, zbudzona tym jednym słowem, napełniła oczy falą gorących łez. Gdy wreszcie zdołał się odezwać, głos mu drżał stłumionym łkaniem.

— Tak, maleńka... — wyszeptał. — Masz rację, to twoja mama!

9. SEKRET ZMARŁEGO

W tydzień później, o szarym brzasku, Billy Mac Veigh nadjechał ze swymi psami o boleśnie podbitych łapach, przywożąc listy i lekarstwa. Całą ubiegłą noc spędził na szlaku i nogi dolegały mu porządnie. Miał duszę pełną trwogi, gdy ujrzał wreszcie, ponad zwałami lodowców, ciemne skały cypla Fullerton. Bał się otworzyć drzwi chaty. Co znajdzie wewnątrz?... W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin myślał wciąż o swym koledze i doszedł do wniosku, że zostanie go raczej martwego niż żywego.

Ale jeśli się myli, jeśli Pelletier żyje, co za dziwne rzeczy opowie mu dziś jeszcze. Wiedział bowiem, że musi się przed kimś zwierzyć — a Pelletier potrafi dochować tajemnicy i zrozumie wszystko... Dzień po dniu wędrując wprost na północ, Billy czuł w sercu coraz większy smutek i samotność. Starał się usunąć Iżę poza obręb swych myśli, ale okazało się to niemożliwe.

Stawała mu w oczach tysiącem wizji i z każdą milą, gdy oddalenie między nimi rosło, duchowa bliskość zaznaczała się coraz wyraźniej. Cierpiał ogromnie, ale mimo to czekał, pełen niepojętej wiary, że radosna nagroda przyjdzie...

I już się cieszył na myśl, że darował życie i szczęście tym dwojgu. Co dnia myślał o tym, którą wiedzie ich tajemniczy szlak. Z eskimoskiej wsi wysłał gońca do fortu Churchilla z długim raportem dla dowódcy. W raporcie tym skłamał. Doniósł, że Scottie Deane zmarł od ran odniesionych w czasie upadku. Ani chwili nie żałował tego kłamstwa. Obiecywał również, iż jak tylko postawi Pelletiera na nogi, wróci do fortu, by złożyć zeznania w sprawie Bucky Smitha.

Przyśpieszał znużony chód, podczas gdy psy darły się z lodowej gładzi na wyniosły brzeg — i patrzył przed siebie bystro. Psy ciągnęły z napięciem, woń domu bowiem łechtała im nozdrza. Wreszcie ukazał się dach chaty. Oczy Mac Veigha lśniły radośnie.

— Pelly, stary chłopie! — mrucał ucieszony. — Pelly, Pelly...

Wpatrzył się uważniej. Potem rzucił sforze krótki rozkaz i stanął. Otarł pot z twarzy. Westchnienie ulgi wydobyło się z jego warg.

Z komina chaty bił w niebo wyniosły pióropusz dymu.

Szedł teraz zwolna ku drzwiom, dziwiąc się, dlaczego Pelletier go nie dojrzał i dlaczego nie usłyszał paru krótkich szczęknięć sfory. Zrzucił narty, chichocząc na myśl o niespodziance, jaką sprawi koledze. Położył dłoń na klamce i znieruchomiał. Uśmiech zastygł mu na wargach. Ogromne zdumienie legło na jego twarzy, gdy pochylał się ku drzwiom nasłuchując, a serce biło w piersi oszalałe trwogą. Przybył za późno, o dzień, być może o dwa... Pelletier zwariował!

Słyszał jak bredzi wewnątrz chaty, jak śmieje się głośno — i wstrząsnął nim dreszcz przerażenia. Wariat! Łkanie wyrwało mu się z piersi i zwrócił wzrok ku niebu. W chacie rozbrzmiała teraz piosenka. Była to pieśń o miłości, ta właśnie, którą, zgodnie ze słowami Pelletiera, śpiewała mu jego ukochana, gdy siedzieli razem w świetle gwiazd. Nagle pieśń umilkła, zerwana w połowie, i nowy głos ozwał się zamiast niej. Z krzykiem otwarłszy drzwi, Billy skoczył do chaty.

— Jezus, Maria, Pelly! Pelly!

Pelletier klęczał pośrodku izby. Ale nie na jego rozradowaną twarz padło pierwsze spojrzenie Mac Veigha. Wytrzeszczył oczy na małą złotowłosą istotkę, siedzącą na podłodze. Odbył długą, niezwykle ciężką podróż i przez chwilę wydawało mu się, że majaczy. Nim zdołał wyrzec słowo czy uczynić jakiś ruch, Pelletier stał już przed nim, ścisnął go za ręce i krzyknął z radości. W twarzy jego nie było teraz śladu gorączki lub obłąkania. Niby we śnie Billy słuchał jego mowy.

— Niech cię Bóg błogosławi, Billy! Takem rad, żeś przyszedł! — wołał Tommy. — Czekaliśmy

na ciebie i wyglądali, a niedalej jak przed minutą staliśmy w oknie, patrząc przez lunetę na brzeg morski. Byłeś pewnie ukryty za pochyłością! Mój Boże, tak niedawno jeszcze myślałem, że umieram, myślałem, że jestem sam na świecie, sam — zupełnie! Ale patrz Billy, o, patrz, znalazłem rodzinę!

Maleńka Tajemnica uniosła się z podłogi i stanęła na nóżkach. Patrzała wielkimi oczyma w twarz Mac Veigha, złote loki wiły się wokół jej ładnej twarzyczki, a w rączce trzymała parę starych listów. Nagle uśmiechnęła się do Billy'ego i podała mu listy. Błyskawicznie puścił dłonie kolegi i chwycił ją na rękę.

— Pelly! Mam dla ciebie w kieszeni pocztę! — wołał. — Ale najpierw musisz mi powiedzieć, skąd ją wzięłeś, tę małą, i kim ona jest?

Pelletier powiedział krótko o pojawieniu się Blake'a, o walce z nim i o znalezieniu Maleńkiej Tajemnicy.

— Umarłbym, gdyby nie ona! — kończył. — Ona wróciła mi życie! Ale nie wiem, skąd się wzięła ani jak jej na imię! Ani w jej kieszonkach, ani w igloo nie było nic, co by mogło tę sprawę wyświecić. Marynarza pochowałem tam, dość płytko; jeśli chcesz, możesz do niego zajrzeć!

Rzucił się na listy, które Mac Veigh dobył z kieszeni, jak konający z głodu człowiek rzuca się na jadło. Podczas gdy czytał, Billy usiadł i wziął Maleńką Tajemnicę na kolana. Dziewczynka śmiała się i kładła mu na twarzy drobne, ciepłe rączki. Oczy miała błękitne, jak Iza — i nagle przygarnął ją ku sobie tak mocno, że aż się trochę złąła. Nieco później Pelletier uniosł głowę znad listów. Żrenice miał pełne blasku, a szczupła twarz promieniała mu radością.

— Niech Bóg ma w swej opiece najśłodszą moją dziewczynę! — wyszeptał. — Pisz, że tęskni do mnie! Mówi, bym śpieszył, śpieszył do niej! Mówi, że jeśli nie wrócę dość prędko, ona tu przyjedzie! Masz Billy, czytaj!

Zamilkł, śledząc pełen zdumienia zmianę, jaka zaszła w twarzy kolegi. Billy wziął machinalnie listy i położył je na krawędzi łóżka.

— Przeczytam je później! — rzekł wolno.

Maleńka Tajemnica spelzła z jego kolan i podbiegła do Pelletiera. Billy patrzył ostro w twarz kolegi.

— Jesteś pewien, Pelly, żeś mi powiedział wszystko? Marynarz nie miał nic szczególnego w kieszeniach? Szukałeś pilnie?

— Tak, i nie znalazłem nic!

— Ale... byłeś chory?

— I dlatego właśnie wykopałem płytki grób — przerwał Pelletier. — Leży bliźutko ostatniego krzyża, tuż pod lodem i śniegiem. Chciałbym, żebyś sam wszystko sprawdził.

Billy wstał. Wziął znów w ramiona Maleńką Tajemnicę i z bliska zajrzał jej w twarz. Oczy jego miały dziwny wyraz. Dziewczynka roześmiała się, ale on jakby wcale tego nie zauważył. Po chwili podał małą koledze.

— Pelly, czyś patrzył kiedy z bliska w czyjeś oczy? — spytał. — W oczy błękitne?!

Pelletier gapił się zdumiony wielce.

— Moja Janka ma błękitne oczy!

— A czy są w głębi ich źrenic drobne brunatne plamki jak u fiołków leśnych?

— Nieee!

— Żrenice są błękitne, tylko błękitne, nic więcej! Prawda?

— Tak!

— A ja myślę nawet, że większość błękitnych oczu nie posiada takich plamek!

— O co ci wreszcie chodzi, na miłość boską! — wybuchnął Pelletier.

— Chciałem tylko, byś zwrócił uwagę, że jej oczy mają w głębi małe brunatne plamki! — odparł Mac Veigh. — W całym moim życiu widziałem tylko jedno oczy takie same...

Zwrócił się do drzwi.

— Pójdę oporządzić psy i wykopać Blake'a — dodał. — Nie spocznię, nim go sam nie obejrzę!

Pelletier postawił dziecko na podłodze.

— Nakarmię chętnie psy — rzekł. — Ale nie mam wcale zamiaru oglądać Blake'a!

Wyszli obaj i podczas gdy Pelletier wiodł psy do szopy ustawionej obok chaty, Billy, uzbrojony w siekiere i łopatę, zabrał się do pracy w miejscu wskazanym przez kolegę. W dziesięć minut później wygrzebał Blake'a. Ponad fizycznym wstrętem górowało ogromne podniecenie, gdy wyciągał z grobu sztywne, zlodowaciałe cielsko marynarza. Zmarły wyglądał okropnie, z najeżoną brodą i lśniącymi w strasznym uśmiechu zębami.

Billy znał wiele ludzi spośród tych, którzy odwiedzali kraj powyżej fortu Churchilla, ale Blake'a nie widział nigdy przedtem. Najprawdopodobniej zmarły częściowo powiedział prawdę; był istotnie marynarzem i porzucił go na wybrzeżu jakiś statek wielorybiczny. Mac Veigh dygotał przeszukując kieszenie trupa. Z każdą minutą rozczarowanie w nim rosło. Znalazł parę drobiazgow: nóż, dwa klucze, trochę drobnej monety, krzemień — ale nie było śladu listu, nawet żadnego świstka papieru, a o to przecie głównie szło. Nic nie mogło rozwiać mroku tajemnicy. Spuścił więc trupa z powrotem do mogiły, pokrył warstwą śniegu i lodowych brył, a potem zawrócił ku chacie.

Pelletier, jak to czynił teraz niemal zawsze, spacerował na czworakach po podłodze, a Maleńka Tajemnica siedziała mu na karku. Gdy Mac Veigh wszedł, Tommy zatrzymał się i wznosił ku niemu badawczy wzrok. Dziewczynka wyciągnęła rączki do nowego przyjaciela i Mac Veigh, porwawszy ją w ramiona, podniósł prawie pod sufit; potem przytulił ją do siebie, dotykając surową twarzą gęstwy złotych loków. Tommy zerwał się na równe nogi; Billy wpatrywał się w niego ponad złotą główką dziecka i twarz Pelletiera spoważniała.

— Nie znalazłem nic! Nic zupełnie, co by miało jakąkolwiek wagę — wymówił zwolna Mac Veigh.

Posadził Maleńką Tajemnicę na tapczanie i patrzył w twarz kolegi oczyma pełnymi zadumy.

— Żałuję, że miałeś gorączkę w dniu tej walki! — rzekł. — Nie wątpię, że jednak wymknęło mu się coś, co by nas mogło naprowadzić na ślad.

— Możliwe — odparł Pelletier, z drzeniem spoglądając na drobiazgi, które Mac Veigh kładł na stole. — Ale po co się tym martwić! Nie wierzę, by miała tu gdzie krewnych. Jesteśmy o sześćset mil oddaleni od najbliższego osiedla białych. Jest moja, bom ją znalazł! Jest moja, więc zatrzymam ją i już!

Usiadł przy stole, a Mac Veigh siadł naprzeciwko niego, ze współczuciem patrząc mu wprost w oczy.

— Wiem, że chcesz ją mieć!... że bardzo chcesz ją mieć, Pelly... — rzekł miękko. — I wiem, że twoja dziewczyna kochałaby ją. Ale maleńka ma gdzieś rodzinę i naszym obowiązkiem jest tę rodzinę znaleźć. Nie mogła przecież spaść z balonu. Czy sądzisz, Pelly, że tamten człowiek był jej ojcem?

Po raz pierwszy poruszył tę kwestię i zauważył, jak Pelletier drgnął, pełen wstrętu.

— Myślałem o tym, ale to nie może być! Tamten był zwierzęciem, a ona... ona to prawdziwy aniołek! I matka jej musiała być prześliczna... A jednak właśnie dlatego ogarnia mnie czasem lęk!

Zmieszany potarł dłonią czoło i obaj mężczyźni czas jakiś patrzyli sobie w oczy. Mac Veigh pochylił się ku przodowi, jak gdyby chcąc zaznaczyć, że słucha.

— Myślałem o tym wszystkim dzisiejszej nocy, bo nie mogłem spać — mówił Pelletier. — I proszę cię, Billy, jako jedyne przyjaciela, nie szukaj dalej. Ona jest moja! Janka będzie ją kochać

jak rodzoną córkę i wychowamy ją słicznie. Ale jeśli uprzesz się prowadzić śledztwo, jestem pewien, Billy, że znajdziesz coś przykrego... Doprawdy, jestem pewien!

— Wiesz cokolwiek?

Nic pewnego nie wiem! Zgaduję tylko! — przerwał tamten. — Słyszałeś pewno, że nieraz zwierzę, takie ludzkie zwierzę, zakocha się w kobiecie... Myślę, że właśnie Blake zrobił coś takiego. Przypominam sobie, jak dwa lata temu pewien marynarz uciekł z żoną jednego kapitana... Więc...

I znów obaj mężczyźni zagłądali sobie w głąb źrenic. Mac Veigh wolno obrócił się do dziecka. Maleństwo usnęło i złote włoski rozsypały się jak puch świetlisty na poduszce Pelletiera.

— Biedna mała! — westchnął z politowaniem.

— Sądzę, Billy, że ta kobieta była matką Maleńkiej Tajemnicy — mówił dalej Pelletier. — Nie mogła zostawić dziecka odchodząc z Blake'em, więc zabrała je ze sobą; kobiety nieraz tak czynią. A po pewnym czasie zmarła. Wtenczas Blake wziął sobie Eskimoskę. Wiesz, co się stało potem. Nie chcę, by ona, gdy dorośnie, znała ponurą przeszłość. Lepiej niech nic nie wie. Zbyt mała jest, by coś zapamiętać. Prawda?

— Pamiętam ten statek — rzekł wolno Mac Veigh — to była *Srebrna Foka*. Kapitan zwał się Thompson.

Nie patrzył na Pelletiera, ale wyczuwał niemal szybki, podniecony oddech tamtego. Chwilę trwała cisza. Wreszcie Pelletier przemówił głuchym, nienaturalnym głosem.

— Nie będziesz go szukał, Billy, prawda? To by nie było uczciwie ani względem mnie, ani względem dziecka. Moja Janka będzie ją kochać i może, kto wie, pewnego dnia twój syn z nią się ożeni...

Mac Veigh zerwał się raptem. Pelletier nie dostrzegł nagle go smutku, który osiadł w jego źrenicach.

— I cóż ty na to, Billy?

— Zastanów się nad tym, coś mówił, Pelly — zabrzmiał ochryply głos Mac Veigha. — Zastanów się dobrze! Nie chcę ci robić przykrości... Wiem, jak ogromnie zależy ci na tej małej, a jednak mówię raz jeszcze, zastanów się! Nie chciałbyś przecie okraść jej ojca. A po żonie nie zostało mu nic, tylko to dziecko! Pomyśl o tym, Pelly, uczciwie i poważnie... A ja się położę i będę spał cały tydzień chyba!

10. NAPAD

Billy przespał cały dzień i całą noc, a Pelletier go nie budził. Ocknął się sam z tego długiego snu nieco przed świtem następnego ranka i po raz pierwszy mógł przebiec myślą wszelkie zdarzenia ostatnich kilkudziesięciu godzin.

Przede wszystkim przypomniał sobie kolegę i Maleńką Tajemnicę. Słyszał, jak Pelletier oddycha głęboko na sąsiednim tapczanie, i znów jął się zastanawiać nad tym, czy Tommy istotnie wszystko mu wyznał. Czyż możliwe, aby Blake nie powiedział nic, co by pozwoliło ustalić pochodzenie dziewczynki. Czyż możliwe, by igloo i trup Eskimoski nie dały rozwiązania zagadki? Wierzył zresztą w uczciwość kolegi. Był pewien, że Pelletier nie zdoła przed nim niczego ukryć, choćby szło nawet o posiadanie dziecka.

Myśl jego pobiegła teraz ku Izabeli Deane. Miała oczy błękitne, usiane brunatnymi cętkami — tak jak Maleńka Tajemnica. Takie oczy rzadko się spotyka, a przyjrzał się im dobrze, gdyż były niezwykle piękne. Czy możliwe jest, pytał sam siebie, by istniała jakaś łączność pomiędzy Maleńką Tajemnicą a Izabelą Deane? Przyznał niezwłocznie, iż jest to prawie wykluczone, a jednak nie mógł się pozbyć natrętnej myśli.

Nim Pelletier się zbudził, ustalił już plan dalszej akcji. Nie wyzna nic z tego, co mu się przytrafiło w barren; na razie przynajmniej zachowa wszystko w tajemnicy. Nie opowie o spotkaniu z Izą i jej mężem ani o tym, co później zaszło. Nim nie nabierze całkowitej pewności, że Pelletier niczego nie ukrywa, nie powierzy mu szczegółów własnej zdrady. Wobec prawa bowiem jest zdrajcą! Pojmował to doskonale. Gdy ruszą już w kierunku fortu Churchilla, wyjawি mu częściowo swe przygody, podając fikcyjne zakończenie.

Kiedy Pelletier ocknął się, Mac Veigh był już na nogach i przyrządzał śniadanie. Maleńka Tajemnica spała jeszcze, toteż obaj mężczyźni stąpali po izbie cichutko jak duchy, stopami obutymi w mokasyny. Tego ranka słońce zalsniło wspaniale ponad lodowymi polami Północy, więc Pelletier zbudził wreszcie dziewczynkę, by mogła się nacieszyć złotym blaskiem, nim zniknie. Świetlany dysk stał na niebie przeszło godzinę, aż zapadł wreszcie poza biały horyzont. Po śniadaniu Pelletier odczytał znów swe listy, a po nim czytał je Mac Veigh. Do jednej koperty dziewczyna włożyła pasmo lśniących włosów i Tommy, nie krępując się wcale obecnością kolegi, ucałował je serdecznie.

— Pisz mi, że szyje właśnie suknię, w której ma iść do ślubu, i jeśli przybędę dopiero wówczas, gdy suknia stanie się niemodna, nigdy już za mnie nie wyjdzie! — wrzeszczał radośnie Pelletier. — Patrz, tu na tej stronicy rozwodzi się na ten temat! Będiesz na naszym ślubie, prawda Billy?!

— Jeśli mi się uda, to tak.

— Jeśli ci się uda?! Byłem pewien, że razem porzucamy służbę.

— Zmieniłem decyzję.

— I zostaniesz tu?

— Możliwe, że jeszcze trzy lata...

Od tego dnia życie w samotnej chacie zmieniło się ogromnie. Pelletier i Maleńka Tajemnica radowali się wszystkiemu, a Billy chodził chmurny, zwalczając z trudem coraz to większy smutek i rozpacz. W walce z przygnębieniem dopomagało mu słońce. Z każdym dniem wstawało nieco wcześniej i dłużej patrzyło z nieba, a wkrótce ciepłe promienie jęły zmiękczać zastygły śnieg. Powietrze drżało nieustannie hukiem pękających lodów, zwiastując nadejście wiosny.

Szkliste góry ruszały z miejsc i koło brzegów łśniła woda. Z dalekiej północy potężne prądy gnały z łomotem zwaliska lodowych brył. Minął jednakże cały miesiąc, nim Mac Veigh się upewnił, że Pelletier odzyskał siły na tyle, by móc odbyć długą podróż na południe. Potem czekał na wszelki wypadek jeszcze cały tydzień.

Pewnego popołudnia, o dość późnej godzinie, Mac Veigh wyszedł z chaty sam jeden i stanął na przybrzeżnej skale, patrząc i nasłuchując, jak z grzmiotem straszliwym płyną lodowe olbrzymy. Wiatr dał ostro, a szare niebo, zwisając niezmiernie nisko nad szarą ziemią, zamykało widnokrąg w ciasnym kolisku.

Dnia tego serce miał ciężkie jak ołów. Czuł pod nogami drzenie ziemi powtarzające wiernie dygoty pękających lodowców. Uszy wypełniał mu stale głuchy łoskot — niby grzmot daleki, przerywany raz po raz ostrym trzaskiem. W powietrzu szycowały łkania i szlochy, dźwięki syczące i wycia niby potępieńców. Przed dwoma dniami, polując na karibu w odległości dziesięciu mil od brzegu, Mac Veigh słyszał jeszcze te same odgłosy.

Dziś jednak puszczał je prawie mimo uszu. Patrzył na kipiące pola lodowe, ale nie widział ich. Ciężył mu nie tyle panujący wokoło mrok i szara monotonia krajobrazu, ile dźwięki raz po raz dobiegające z chaty: śmiech Maleńkiej Tajemnicy i śmiech Pelletiera. Parę dni jeszcze i straci ich oboje! Cóż mu potem zostanie? Piers jego uniosła się w bolesnym łkaniu i gestem pełnym rozpaczycy załamał ręce. Będzie zupełnie sam! W tym dalekim kraju, dokąd radośnie wracał Pelletier, nie czekał na niego nikt, ani ukochana dziewczyna, ani matka, ani ojciec! Zgoła nikt...

Roześmiał się boleśnie, zwracając twarz ku chłodnym wichrom północy. Ból sprawiany mroźnym powiewem był jakby odzwierciedleniem tej męki, którą nosił w sobie całe życie. Jak długo chadzał po świecie, nie zaznał nic prócz niedoli i samotności. Nagle wspomniawszy słowa Pelletiera: „Kto wie, pewnego dnia twój syn...” Ciepła fala przebiegła mu po żyłach; w chwili radosnego zapomnienia zwrócił oczy na południo-wschód i ujrzał w myśli słodką twarz i pełne wargi Izabeli Deane.

Roześmiał się głośno, odpychając bezsensowne złudy, i zwrócił wzrok na północ, ku pękającym lodom. Mrok nocy zacieśnił widnokrąg jeszcze bardziej. Łomot i trzask wód i lodowców płynęły z purpurowego chaosu, który w oddaleniu nabierał granatowoczarnych barw.

Wiedział, co się tam dzieje, i mógł niemal zmierzyć siłę niewidzialnych ramion natury. W gamie dźwięków nie było zazwyczaj żadnej nuty, której by nie znał. Obecnie jednak w szalonym rozgwarze znalazł się jakiś dźwięk nie słyszany dotychczas i obcy. Zaniepokojony, sprężył się w sobie, patrzył i słuchał. Trwał tak minutę, potem skręcił w miejscu i pognał z powrotem do chaty

Pelletier zapalił już lampę i w jej świetle ukazała się twarz Mac Veigha, blada i wzburzona.

— Na miłość boską! — krzyczał już od drzwi. — Pelly, chodź no tutaj!

Zaledwie Pelletier wypadł na dwór, Billy chwycił go za ramiona.

— Słyszysz! — mówił zdyszany. — Słyszysz ten dźwięk?

— Wilki?

— Nie, nie wilki!... — gorączkował się Mac Veigh. — **Nie** słyszałem nigdy, by wilki odzywały się w ten sposób. Słuchaj dobrze!

Ścisnął ramię kolegi, bowiem nowy powiew wiatru przyniósł z mrocznej dali dziwaczny a ponury dźwięk. Dźwięk ten zbliżał się coraz hałaśliwszą gamą dzikich głosów, jak gdyby zgraja wilków mknęła krwawym tropem rannego zwierza. Z tym gwarem łączył się inny, przeraźliwszy jeszcze, niby wrzask ludzkich istot ginących pod kłami rozżartych bestii. Podczas gdy Pelletier i Mac Veigh stali oczekując rozwiązania zagadki, usłyszeli jeszcze jeden ton, przeciągły a zgiełkliwy, podobny zarówno do bicia w bęben, jak i do uderzeń dzwonu.

— To nie wilki! — wykrzyknął Mac Veigh — bo i ludzie są tam z pewnością! Prędzej, Pelly, psy

i sanie należy ukryć w chacie. To, co słyszymy, to psy — psy, które wyją czując obcych. Sfora liczy setki sztuk! Gdzie psy, tam i ludzie! Ale co to za jedni?...

Wciągnął sanie do chaty, podczas gdy Pelletier uwalniał psy z uwięzi. Gdy wszedł wraz z nimi do wnętrza, Mac Veigh zamknął drzwi na klucz i zasuwę.

Potem do rusznicy grubego kalibru Billy włożył pełen ładunek naboju. Umieściwszy ją na stole, spojrzął na Pelletiera, który stał obok, niepewny, co ma czynić — i wyjąwszy spod poduszki dwa rewolwery, jeden z nich podał koledze. Twarz miał bladą i skupioną.

— Lepiej być na wszystko gotowym, Pelly — rzekł spokojnie. — Żyłem w tych stronach dość długo i mówię ci, to są psy i ludzie. Słyszałeś bęben? Zrobiony jest z pęcherza foki, a po bokach ma uwieszone dwie kołatki. To Eskimosi! A tej zimy najbliższa wieś eskimoska oddalona jest od nas o dwieście mil! To Eskimosi i nie na polowanie jadą teraz... Chyba że polują na nas!

W jednej chwili Pelletier założył pas pełen naboju i przypiął rewolwer. Uśmiechał się spoglądając na stalowego potworka.

— Mam nadzieję, Billy, że się nie mylisz — rzekł radośnie. — To będzie pierwsza awantura od roku.

W twarzy Mac Veigha nie było krzty entuzjazmu.

— Eskimos walczy dopiero wtenczas, gdy go obłąd ogarnie — rzekł krótko. — A wiesz chyba, co to są ludzie obłąkani... Nie pojmuję zresztą, o co im chodzi! Może o naszą żywność! Ale jeśli naprawdę zechcą się bić...

Ruszył ku drzwiom z karabinem w ręku.

— Bądź gotów, Pelly, by w razie czego osłonić mi odwrót. Ale nie strzelaj, nim ja nie wystrzelę.

Otworzył drzwi i wyszedł. Wycie na razie ustało, ale zamiast niego coraz bliżej brzmiał okropny skowyt, zmieszany z przeraźliwym świstem długich eskimoskich batogów. Postąpił naprzód na spotkanie drobnych, źle widocznych cieni, które nadbiegały już z mrocznej dali — i wydał głośny okrzyk. Stojąc w drzwiach Pelletier ujrzał kolegę pośród olbrzymiego kłębowiska ludzi, sanek i psów, toteż uniósł karabin do góry. Ale nie strzelił, bo i rusznica Mac Veigha milczała jeszcze.

Wokół Billy'ego gęstwa sań zacisnęła zwarte kolisko, a kilkunastu drobnych mężczyzn trzaskało z batów, podczas gdy psy, zziajane, padały na brzuchy w śnieg. Billy bez trudu poznał, że i ludzie, i psy są znużeni długim, męczącym biegiem. Maleńcy mieszkańcy Północy okrążyli go wnet ze wszystkich stron; na ich pospolitych, krągłych twarzach o tępym wyrazie lśniły źrenice bardzo czarne, w otoku śnieżnych białek.

Stwierdził, że jest ich do pół setki, a wszyscy dobrze uzbrojeni, to w krótkie, do oszczepów podobne harpuny, to w dzidy, to w karabiny nawet. Z gromady dziwacznie odzianych i wstrętnych z wyglądu postaci wysunął się jeden człowiek i zaczął przemawiać do Mac Veigha mową, której brzmienie przypominało chrzest kości.

— Kogmolloki!... — mruknął Billy i uniósł ku górze obie ręce na znak, że nic nie rozumie. Potem natężył głos. — Nuna talmute! — krzyknął. — Nuna talmute! Nuna talmute! Czy jest między wami ktoś, co rozumie tę gwarę?

Zwracał się wyraźnie do wodza, a ten, czas jakiś milcząc, patrzył mu w oczy, potem ręką wskazał oświetlone okna chaty.

— Chodź! — rzekł Billy. — Złapał małego Eskimosa za ramię i wiódł go odważnie poprzez rozstępującą się przed nimi horde. Wódz prędko coś zagadał, wydając dźwięki podobne do ostrych psich skowytów, i wnet sześciu wojowników ruszyło w trop.

— Kogmolloki, najgorsze diabły pod słońcem, jeśli chodzi o handel kobietami i o walkę — odezwał się Mac Veigh do Pelletiera, gdy się dostatecznie zbliżyli do chaty. — Pilnuj drzwi, Pelly,

wprowadzę ich do wnętrza.

Wkroczył do chaty, a Eskimosi weszli w ślad za nim.

Siedząc na łóżku Maleńka Tajemnica patrzyła na dziwacznych gości oczyma rozszerzonymi pod wpływem nagłej radości i zdumienia, a w następnej chwili wydała najdziwaczniejszy okrzyk, jaki kiedykolwiek wyszedł z jej warg. Zaledwie głos ten rozbrzmiał po izbie, już jeden z Eskimosów skoczył do dziewczynki. Ciemnymi rękoma chwycił małą wpół, gdy nagle Pelletier z dzikim wrzaskiem runął na niego i odrzucił go gwałtownie wstecz, ku grupie towarzyszy. W następnej chwili obaj policjanci celowali z rewolwerów w ciasny kłęb tuziemców.

— Jeśli będziesz strzelał, to rań, nie zabijaj! — skomenderował Mac Veigh.

Wódz wyciągniętym palcem wskazywał Maleńką Tajemnicę, podnosząc jednocześnie głos tak, że aż krzyczał prawie. Naraz cofnął się i zamachnął dzirytem. Jednocześnie dwie smugi ognia wytrysnęły z rewolwerowych luf. Dziryt opadł na podłogę; z wrzaskiem ni to bólu, ni to komendy wódz skoczył do drzwi, a struga krwi spływała mu ze zranionej ręki Reszta bandy, wyprzedzając go, runęła na dwór, Pelletier zaś szybko zaryglował za nimi drzwi.

Tymczasem Mac Veigh barykadował oba okna. Maleńka Tajemnica patrzyła w zdumieniu na obu przyjaciół.

— Więc to o ciebie im chodzi! — Billy zbliżył się do dziewczynki i oddychał szybko, w podnieceniu. — Ciebie chcą mieć! Ale nie pojmuję dlaczego?

Z twarzy Pelletiera nie schodził silny rumieniec. Nabijał teraz rewolwer. Na pytający wzrok Mac Veigha odpowiedział spojrzeniem pełnym dumy.

Nasłuchiwali obaj. Słyszeli jedynie monotony łomot pękających lodów; nie dobiegał do nich żaden głos ludzki ani wycie psa.

— Daliśmy im dobrą nauczkę — rzekł chełpliwie Pelletier. Uśmiechał się, pewny siebie jak typowy żółtodziób

Billy wskazał ręką drzwi.

— Moim zdaniem, jest to jedyny słaby punkt — przemówił, jak gdyby nie słysząc wywodów kolegi. — Uważaj, aby nie stać wprost drzwi. Wątpię, by ich kule zdołały przebić belki ścian. W każdym razie twój tapczan znajduje się w zupełnie bezpiecznym miejscu.

Zbliżył się do Maleńkiej Tajemnicy i twarz mu poweselała, gdy dziecko wyciągnęło ku niemu rękę.

— Więc o ciebie chodzi, tak? — pytał ponownie, ujmując w obie dłonie ciepłą twarzyczkę okoloną gęstwą złotych loków. — Chcą ciebie mieć, nawet bardzo. Otóż mogą dostać nasze zapasy i moją skórę na dodatek, ale — tu spojrzał w oczy Pelletiera — ciebie nie dostaną, maleńka!

Ostry grzmot karabinowych strzałów przerwał naraz ciszę nocną. Słysząc było, jak terkoczą kule po drewnianych ścianach chaty. Jeden pocisk trafił w drzwi i odłupał drzazgę wielkości ludzkiej dłoni. Patrząc na tę szczerbę Mac Veigh roześmiał się. Pelletier dawniej już słyszał podobny śmiech. Wiedział, co on oznacza. Wiedział, co oznacza śmiertelna bladość na twarzy Billy'ego. Nie był to strach, ale zjawisko wręcz przeciwne. Twarz Pelletiera nabiegła krwią. Te same uczucia uwydatniają się nieraz w różny sposób.

Mac Veigh przemknął zwinnie przez niebezpieczny szlak na drugą stronę chaty.

— Jeśli o to wam chodzi, no to zbliżcie się! Zbliżcie! — ryknął. — Chcecie walki, więc będziecie ją mieli, łotry!

Billy Mac Veigh kłębł zawsze przed rozpoczęciem jakichś działań.

11. NOC PEŁNA GROZY

Pelletier poruszał niewielką drewnianą zasuwą, wpuszczoną między bale ściany. Zewnątrz kanonada ucichła w tej właśnie chwili, gdy obaj mężczyźni otwierali strzelnice panujące nad morskim wybrzeżem. Wnet błyski wskazały wyraźnie pozycje Eskimosów. Krajowcy usunęli się na szczyt wzgórza wznoszący się opodal. Billy wystrzelił pięć ostatnich naboí, otworzył magazyn i spojrzał na kolegę, który również nabijał karabin.

— Nie chcę wcale krakać, Pelly — rzekł — ale coś mi się zdaje, że giną przedstawiciele prawa na cyplu Fullerton. Spójrz no tu!

Lufą karabinu tknął jedną z belek ponad swoją głową; Pelletier dojrzał wyraźnie świeże odpryski drzewne.

— Mają grube kalibry — kończy! Billy. — A ukryli się za zboczem, gdzie mogą tkwić śmiało choćby tysiąc lat. Gdy zrobi się jaśniej, podziurawią nam chałupę, że będzie wyglądała jak stary ser.

Jakby na potwierdzenie jego słów kula przebiła belkę tak blisko głowy Pelletiera, że odłupana drzazga uderzyła go w twarz.

— Znam tych małych diabłów, Pelly — mówił dalej Mac Veigh. — Gdyby to byli Nuna talmute, odpędziłbyś ich lada kijem. Ale to są Kogmolloki. Wymordowali już mieszkańców pół tuzina osad wielorybnych i wcale bym się nie dziwił, gdyby w ten właśnie sposób zdobyli to dziecko. Bo najwidoczniej kiedyś należało do nich. Teraz już nas nie wypuszczą, choćbyśmy im nawet darowali małą. Wolą, by prawo nie miało przeciwko nim żadnych dowodów. Gdy zabiją nas, a chatę spalą, kto będzie przeciw nim świadczył?! Pozostają nam jedynie dwie rzeczy...

Nowa salwa huknęła ze szczytu wzgórza i jeszcze jedna kula wdarła się do chaty.

— Dwie rzeczy jedynie — kończył Billy gasząc zupełnie ledwo tłącą się lampę — możemy tu zostać i zginąć albo możemy uciec.

— Uciec? !

Było to słowo zupełnie nie znane w kadrach policji, toteż w głosie Pelletiera zabrzmiały jednocześnie zdumienie i pogarda.

— Tak, uciec! — spokojnie powtórzył Billy. — Uciec ze względu na dziecko.

Wewnątrz chaty panował niemal zupełny mrok. Pelletier zbliżył się do towarzysza.

— Myślisz więc...

— Ze to jedyna droga ratunku dla niej. Moglibyśmy co prawda najpierw wydać ją, a potem starać się odebrać, ale ryzykujemy, że nie odnajdziemy już jej nigdy. Eskimosi i psy są zmachani doszczętnie. My mamy świeży zapas sił! Jeśli się nam powiedzie opuścić chatę, wymkniemy się im!

— Ruszajmy więc! — zgodził się Pelletier.

Zbliżył się do małej, która milcząc siedziała na łóżku, i wziął ją na rękę, własnymi plecami chroniąc dziecko przed ewentualną kulą.

— Uciekamy, kochana... — wyszeptał z uśmiechem, tuląc twarz do jej złotych kędziorów.

Billy zabrał się do pakowania rzeczy, a Pelletier posadził małą z powrotem na łóżku i zaczął zaprzęgać psy ustawiając je rzędem, tuż pod ścianą, z jednookim Kazanem na czele. Zewnątrz kanonada ustała. Najwidoczniej Eskimosi postanowili oszczędzać amunicji aż do nadejścia dnia.

W kwadrans ładunek sań był gotów. Teraz Pelletier oporządzał uprzęż, a Mac Veigh otulał Maleńką Tajemnicę w ciepłe, futrzane okrycie. Rękaw futerka zawinął się na lewą stronę i Billy starannie go poprawiał, gdy nagle wzrok jego padł na podszewkę. Dojrzał tam coś, co sprawiło, że nagle upadł na kolana tuż obok małej. Pelletier obejrzał się na krzyk przyjaciela i zobaczył go, jak

patrzy półprzytomnie w uniesioną ku górze twarz dziewczynki. — O Boże... — dyszał Mac Veigh — więc ona jest...

Opamiętał się i nie kończąc zdania przytulił dziecko do siebie, a dopiero po dłuższej chwili usadowił je na sankach.

— To najmilsza kruszynka na świecie! — dodał jeszcze, a niezwykle brzmienie jego głosu zdziwiło Pelletiera.

— O co chodzi, Mac? — zagadnął trwożnie. — Czy tak tę o nią boisz?

— Nie! — odparł Billy nie unosząc głowy znad sanek. — Jeśliś gotów, Pełty, to otwieraj drzwi.

Zerwał się na nogi i ujął w dłoń karabin. Był bardzo zmieniony, ale że psy targały uprząż i skomlały niecierpliwie, więc Pelletier nie miał czasu na zadawanie pytań.

— Wyjdę pierwszy, Billy — rzekł Pelletier. — Sądzę, że Eskimosi czatują tuż i że jak tylko ujrzą nasz zaprząg, rzucą się na nas. Nie możemy przecie małej narażać na kule! Dlatego też cofnę się nieco wzdłuż wybrzeża i otworzę do nich ogień tak szybki, jak tylko będę mógł. Skoczą ku mnie. A ty wtenczas ruszaj! Za pięć minut dopędzę was.

Mówiąc to uchylił drzwi i podczas gdy Mac Veigh milczał, wysliznął się na zewnątrz. Ledwo znikł, a już Billy padł na kolana obok dziecka i w panującym wokoło mroku przytulił surową twarz do ciepłego ciała.

— Więc to ty! To ty!... — szeptał tkliwie, a potem plótł rzeczy, których mała nie mogła wcale pojąć.

Zerwał się nagle i skoczył ku drzwiom, rzucając słowa komendy przodownikowi sfory.

Daleko, ze śnieżnych szczytów pobrzeżnych pagórków dobiegał gorączkowy trzask karabinu Pelletiera.

Mac Veigh czekał chwilę z dłonią na klamce drzwi, pozwalając Eskimosom zwrócić całą uwagę na towarzysza. Wreszcie dał znak i sfera z Kazanem na czele wywlokła sanie na zewnątrz, w mrok nocy. Z ludzką niemal inteligencją stary Kazan rwał na południo-wschód tuż za swym panem, reszta zaprzęgu gnała w jego ślady jak błyskawica, wydając ostry, przeraźliwy skowyt, od którego niesposób oduczyć żadnego huski.

Biegając Billy spojrzał za siebie. Na przestrzeni stu jardów dzielących chatę od śnieżnych zboczy dojrzał trzy ciemne plamy poruszające się chyżo jak wilki. W jednej chwili pojął znaczenie nieoczekiwanej taktyki Eskimosów. Tuziemcy chcieli odciąć Pelletierowi drogę ucieczki.

— Leć, Kazan! — huknął wściekle, chyląc się tuż nad przodownikiem. — *Moo-hoosh! moo-hoosh! moo-hoosh!* stary! — I Kazan wyciągnął się w szalonym cwale, skomląc i naszczekując w cichym powietrzu.

Billy stanął w miejscu i odwrócił się. Dwie nowe postacie zaczerniały obok trzech poprzednich i Mac Veigh rozpoczął ogień. Jeden Eskimos zatrzymał się i zwałił na twarz z ostrym wrzaskiem, który wśród huku i trzasku pękających lodowców zabrzmiał niezwykle. Czterej pozostali padli płasko w śnieg, kryjąc się przed gradem ołowiu przelatującym tuż nad ich głowami.

Spoza białych wzgórz ozwała się gwałtowna strzelanina i samotna postać wychynawszy na równinę skoczyła pędem w kierunku Mac Veigha. Billy wiedział, iż jest to Pelletier, toteż biegnąc wolno tropem sań, wsunął spokojnie nowy zapas ładunków do magazynu swej rusznicy. Czarne postacie w śniegu zerwały się znów na nogi i Pelletier, biegnąc wciąż, dał ku nim parę strzałów rewolwerowych. Gdy znalazł się u boku Billy'ego, oddychał ciężko.

— Kazan powiózł małą, jak należy! — krzyknął ku niemu Mac Veigh. Niech Bóg strzeże starego łotra! Myślę nieraz, że człowiek w nim siedzi.

Ruszyli szybko naprzód i mrok nocy zakrył wkrótce wszelkie ślady Eskimosów. Na przedzie

wolno sunęły sanki i znalazłszy się obok nich, obaj mężczyźni złożyli karabiny pod przykrycie der. Potem, ulżywszy sobie w ten sposób, wysforowali się naprzód.

— *Moo-hoosh! moo-hoosh!* — zachęcał Billy.

Spojrzał na kolegę. Tommy biegł z jedną ręką uniesioną dla zachowania swobodnego oddechu, drugie ramię bezwładnie zwisało ku ziemi. Targnął nim nagły lęk. Zbliżył się i milcząco dotknął ramienia Pelletiera.

— Któryś z tych małych diabłów ranił mnie! — odkrzyknął Tommy. — Ale to nic złego.

Dyszał ciężko, jak gdyby ów krótki bieg wyczerpał już jego siły. Billy milcząco podbiegł do Kazana i wstrzymał zaprząg. Potem, nim Pelletier zdołał wykonać gest sprzeciwu, nożem przeciął mu rękaw kurty.

Pelletier krwawił i to krwawił mocno. Twarz miał zmienioną bólem. Kula przebiła mięśnie przedramienia, nie naruszając na szczęście głównej arterii. Ze zręcznością, właściwą ludziom przywykłym do życia w dzikich krajach, Billy zwarł mocno brzegi rany i silnie owiązał ramię chustką swoją i Pelletiera. Potem pchnął kolegę ku saniom.

— Pojedziesz, Pelly — rzekł. — Jeśli tego nie uczynisz, osłabiesz do reszty i wszystkim nam przyjdzie zginąć.

Daleko poza nimi zerwało się ujadanie i skowyt psiarni.

— Gonia nas! — warknął Pelletier. — Nie mogę jechać. Muszę biec i walczyć!

— Siądziesz na sanie albo cię tam wpakuję głową na dół! — rozsierdził się Mac Veigh. — Twarzą do napastników, Pelly, i wal w nich! Mamy trzy karabiny. Strzelaj, a ja będę popędzał psy. I osłaniaj ją... — kończył wskazując otuloną w futra dziewczynkę.

12. MALEŃKA TAJEMNICA ODNAJDUJE SWOICH

Przekonawszy kolegę o konieczności jazdy, Mac Veigh wybiegł na czoło zaprzęgu i psy ruszyły wlokąc cięższe sanki.

— Teraz na skraj boru! — krzyknął Billy do Kazana. — Pięćdziesiąt mil drogi, a musimy tam stanąć o świcie. Bo jeżeli nie, to...

Urwał w połowie zdania, ale Kazan ruszył szybciej jeszcze, jak gdyby usłyszał i zrozumiał wszystko. Sanie wpłynęły teraz na martwą pustynię barren i Mac Veigh poczuł, że wiatr dmie mu prosto w twarz. Wiew szedł z północo-wschodu i drobne płatki śniegu polatywały razem z nim. Po chwili więc Mac Veigh odwrócił się, aby się upewnić, czy twarzyczka Maleńkiej Tajemnicy jest zupełnie osłonięta.

Pelletier siedział skulony na saniach. Rana i przykre uczucie, że jedzie wstecz, przyprawiły go o zawrót głowy, toteż nie był pewien, czy ruchome plamy, odcinające się poza nimi w mroku, są majakiem tylko czy też rzeczywistością. Żaden dźwięk nie dochodził z oddali. Ale w promieniu jego wzroku wyrastał nieraz jakiś ciemny punkt i zdawał się przybliżać, to znów zanikał zupełnie. Dwukrotnie unosił broń do ramienia, dwukrotnie zniżał ją, przekonany, że działa tu jedynie imaginacja. Było bardzo prawdopodobne, że w głuchej nocy pogoń traci ich ślad — więc nie strzelał.

Nie spuszczał jednak z oczu tajemniczych zjawisk; nagle w dali błysnął drobny ognik i kula gwizdnęła tuż koło sanek. Strzał był wspaniały. Śród tuziemców znajdował się prawdziwy mistrz! Pelletier odpowiedział tak szybko, że oba strzały zlały się niemal w jeden huk. Pięciokrotnie naciskał cyngiel i pięć kul posłał w mrok nocy. Za piątym strzałem dał się słyszeć bolesny skowyt.

— Hura! — wrzasnął Billy. — Jeden zaprząg unieruchomiony. Możemy wygrać wyścig.

Usłyszał ostry trzask wrzucanych do magazynu ładunków, ale prócz tego dźwięku, zdyszanego oddechu psów i świstu wichru nie odzywał się teraz żaden głos. Ponura cisza zapadła w dali. Milkł huk pękających lodów. Ziemia przestała drżeć pod stopami, oddając wstrząsy walących się gór. Wiatr natomiast rósł i powstawała kurzawa śnieżna. Billy nie obracał się już wstecz. Patrzył przed siebie i na boki tak daleko, jak tylko mógł dojrzeć. Po upływie pół godziny zziajane psy zwolniły biegu, więc i on także zwolnił i szedł obok sań.

— Zrezygnowali z pogoni — mruknął słabo Pelletier. — Cieszę się z tego, Mac, bo mi okropnie szumi we łbie.

Leżał teraz na sankach, z głową wspartą o stos der.

— Czy wiesz, Pelly, jak polują wilki? — zagadnął Mac Veigh. — Półksiężycem lub jeśli wolisz, półkolem, które się zamyka wokół ściganego zwierza. Otóż Eskimosi czynią to samo. I tak sobie myślę, że starają się nas teraz obejść z tej i z tamtej strony... — Wskazał dłonią północ i południe.

— Nie potrafią... — wybełkotał Pelletier, z trudem unosząc się na łokciu. — Psy mają zmachane. Pozwól mi teraz iść, Mac, już mogę...

Opadł w tył z półgłośnym okrzykiem:

— O Boże, ależ słaby jestem!

Mac Veigh zatrzymał psy i podczas gdy zwały się na brzuchy, dysząc ciężko i łykając śnieg, ukląkł obok Pelletiera. Mrok pokrywał strach panujący w jego oczach. Głos miał pewny siebie i serdeczny.

— Leż spokojnie, Pelly — przemówił poprawiając koce tak, by ranny kolega mógł wygodnie

spocząć. — Dostałeś paskudny postrzał i lepiej będzie dla nas wszystkich, jeśli się prędko z tego wyłizesz. Masz rację co do Kogmolloków i ich zaprzęgów. Są wyczerpani zupełnie i zaprzestali pogoni — po co więc mamy się niepotrzebnie męczyć? Spij, Pelly, razem z małą, jeśli potrafisz usnąć... Jej się zdaje, że leży w kołysce...

Wstał i ruszył psy z miejsca. Długi czas był sam zupełnie. Maleńka Tajemnica spała, a Pelletier nie odzywał się wcale. Mac Veigh od czasu do czasu kładł dłoń na łbie Kazana, a stary, wierny przodownik skomlił cicho pod tym dotknięciem. Reszta sfory zachowywała się inaczej. Za zbliżeniem się człowieka psy dziko szczękały kłami, toteż Mac Veigh trzymał się od nich z daleka. Szli tak godzinami i Billy czasem tylko zatrzymywał zaprząg, dając mu chwilę wypoczynku. Za każdym razem zapalał zapałkę i spoglądał na kolegę. Pelletier oddychał szybko i oczy miał przymknięte. Raz, daleko po północy, rozwarł je i spojrzał błędnie w nikły płomyk i w bladą twarz Billy'ego.

— Czuję się zupełnie dobrze... — szepnął. — Pozwól mi iść, Billy.

Mac Veigh łagodnie ułożył go z powrotem i znów ruszył naprzód. Szary brzask świtu zastał go jeszcze na nogach. Rankiem przystanął, dał każdemu psu po jednej zmarzłej rybie i wiezionym na saniach paliwem rozniecił mały ogieniek. Zgarnął śnieg na herbatę i zawiesił imbryk nad ogniem. Smażył właśnie wędzonkę i przypiekał twarde chleb, gdy Pelletier zbudził się i usiadł. Billy, odwróciwszy głowę, dojrzał go.

— Dzień dobry, Pelly! — uśmiechnął się. — Czy drzemka była smaczna?

Pelletier poruszył się niespokojnie.

— Chciałbym mieć kij pod ręką! — warknął. — Dałbym ci po łbie! Pozwoliłeś mi tak długo spać...

Wyciągnął zdrową rękę i obaj mężczyźni podali sobie dłonie. Zaledwie parę razy przedtem czynili to w równie serdeczny sposób — i zawsze w godzinie próby. Nie był to bowiem zwykły uścisk.

Billy wstał. O pół mili przed nimi czerniał w mroku skraj wielkiego boru; tam właśnie wiódł ich szlak.

— Gdybym był wiedział, że to tak blisko — wskazał ręką Mac Veigh — obozowalibyśmy pod osłoną drzew. Pięćdziesiąt mil, Pelly. Nieźle, co?

Poza nimi szare barren nasycalo się dziennym światłem. Obaj mężczyźni zjedli i wypili herbatę. W ciągu paru minut żaden z nich nie zważał na to, co się dzieje wokół. Billy był wściekle głodny. Pelletier pił bez końca. Potem pochłoneła ich uwagę Maleńka Tajemnica, która zbudziła się protestując głośno przeciwko zmiętym kocom zasłaniającym jej twarzyczkę. Billy wziął małą na ręce i podniósł do góry, ukazując zmiany zaszłe od wczoraj w otoczeniu. I wtenczas właśnie Kazan, przestając na razie jeść rybę, wydał przeciągłe, żalosalne wycie.

Obaj mężczyźni spojrzeli w kierunku lasu. W pół drogi jakaś chwiejna postać sunęła ku nim. Był to mężczyzna. Billy krzyknął zdumiony.

Ale Kazan spoglądał teraz na siwą pustynię barren i zawył ponownie, z akcentem groźby w głosie. Reszta sfory pochwyciła zew. A gdy Pelletier i Mac Veigh zwrócili się w danym kierunku, skamienieli obaj.

O milę zaledwie równina czerniała pół tuzinem szybko mknących sań i tłumem biegnących ludzi. Las był teraz jedynym ratunkiem.

W podobnej chwili ludzie pokroju Pelletiera i Mac Veigha nie tracą czasu na próżne słowa. Myśl ich działa szybko i składnie, bez minuty zwłoki wprowadzają ją w czyn. Milcząc Billy posadził Maleńką Tajemnicę w jej gniazdku, nie napoiwszy nawet dziecka gorącą herbatą, a gdy się

wyprostował, psy stały już w uprzęży i Pelletier podawał mu karabin.

— Nastawiłem celownik na trzysta pięćdziesiąt jardów — mówił. — Nie warto marnować prochu i kul, nim się nie zbliżą na tę odległość.

Ruszyli kłusem. Pelletier biegł obok sań. Naraz samotna postać pomiędzy nimi a lasem znikła. Padła w śnieg, gdzie czerniała jedynie niby drobna plamka. Po chwili zresztą człowiek ów powstał i znowu szedł naprzód. Billy i Pelletier widzieli potem, jak zwałił się po raz drugi.

— Trudno się po nim spodziewać pomocy — rzekł. — Kimkolwiek jest, kona prawie.

Człowiek gramolił się w śniegu i zdołał zaledwie unieść się na kolana i łokcie, gdy sanie, podjechały tuż. Był to biały. Głowę miał odkrytą, a twarz trupa niemal. Wiatr chłostał go po obnażonym karku i ku wielkiemu zdumieniu obu przyjaciół wędrowiec nie miał futra i był tylko w ciemnej, flanelowej koszuli. Oczy płonęły mu dziko wśród splątanej gęstwy czupryny i zarostu, a dyszał tak, jakby zamiast paruset jardów przebył dziesiątki mil.

Billy objął to wszystko jednym wejrzeniem i raptem wydał okrzyk pełen zdziwienia. Zaczerwienione oczy samotnego wędrowca wpiły się w jego źrenice. Billy patrzył i bełkotał w kółko dwa słowa, a Pelletier gapił się obok, nie dowierzając własnym uszom.

— Scottie Deane! Scottie Deane! — powtarzał Mac Veigh.

Pelletier spojrział teraz na Mac Veigha, swego przełożonego. Nie czekając rozkazu postąpił naprzód, ale Billy go wyprzedził. Rzucił w śnieg karabin i w jednej chwili ukląkł obok Deane'a, unosząc w ramionach jego wychudłe ciało.

— O Boże, co to znaczy, stary? — krzyczał zapominając o obecności kolegi. — Co się stało? Dlaczego tu jesteś? i gdzie... gdzie ona?

Pochwycił dłoń Deane'a; tulił ją serdecznie i Deane patrząc mu w oczy pojął, że nie przedstawiciel prawa jest przy nim, lecz brat. Uśmiechnął się słabo.

— Chata... tam, na skraju lasu... — wyszeptał. — Ujrzałem was z daleka. Bałem się, że ominiecie... Więc wyszedłem... Bo ja już umrę!...

Odetchnął głęboko i gdy Billy pomógł mu wstać, próbował utrzymać się na nogach. Cichutki płacz rozległ się z sanek. Zdumiony Deane zwrócił oczy w kierunku tego płaczu.

— O Boże!... — wykrzyknął.

Wyrwał się z ramion Mac Veigha i padł na kolana obok Maleńkiej Tajemnicy; łkał i plótł coś bez sensu, tuląc ku sobie wystraszone dziecko. Potem, z dziewczynką na rękę wstał, jakby na nowo odzyskawszy siły.

— Ona jest moja! moja! — krzyczał nieprzytomnie. — Dla niej wróciłem tutaj! Po nią szedłem! Gdzie znaleźliście ją? W jaki sposób?

Nagle z równiny nadleciał ku nim dziki chór głosów eskimoskiej psiarni. Usłyszeli go wszyscy i spojrzeli w tamtym kierunku. Gromada tuziemców była oddalona o pół mili zaledwie i szybko zdążyła naprzód. Billy pojął, że nie ma chwili do stracenia. Błyskawicznie przyszło mu na myśl, że Scottie Deane, żona jego i dziecko muszą być złączeni jakimiś węzłami z mściwą hordą, więc co prędzej opowiedział ojcu Maleńkiej Tajemnicy ubiegłe wypadki.

Oczy Deane'a stały się na nowo przytomne. Wysłuchawszy opowieści Billy'ego ruszył pędem na spotkanie tuziemców, niosąc w ramionach Maleńką Tajemnicę. Mac Veigh i Pelletier usłyszeli, jak z daleka woła na Eskimosów. Dwaj policjanci cofali się zresztą i dotarli już do skraju boru, gdy Deane znalazł się w gronie krajowców. Nastąpiła długa chwila oczekiwania, aż Maleńka Tajemnica i Deane ruszyli z powrotem, jadąc na eskimoskich sankach. Obok sań kroczył wódz, ten sam, którego raniono na cyplu Fullerton. Deane chwiał się, głowę miał zwieszoną na piersi, a wódz i drugi Eskimos podtrzymywali go. Chata, o której poprzednio była mowa, stała na skraju boru, wśród

pierwszych drzew.

Muskularni mieszkańcy Północy wnieśli chorego do wnętrza; Deane tulił w ramionach dziecko, oczyma dając znak Mac Veighowi, że chce z nim pomówić sam na sam. Złożono go na tapczanie; z cichym, ale straszliwym kaszlem skinął na Mac Veigha, aby ten się doń zbliżył. Billy wiedział, co oznacza ten kaszel... Scottie miał odmrożone płuca. Śmierć stała tuż przy nim; najbardziej męcząca śmierć północnych krain.

Deane leżał chwilę, dysząc ciężko i tuląc w swych dłoniach dłoń Billy'ego. Maleńka Tajemnica ześliznęła się na ziemię i zwiędła teraz wewnątrz chaty. Scottie uśmiechnął się szukając wzrokiem oczu Mac Veigha.

— Przybywasz znów w samą porę! Zabawne, prawda, Billy?

Po raz pierwszy wymówił imię druha tak, jakby je znał od dziecka. Billy ostrożnie przykrył chorego kocem. W oczach miał uparte pytanie. Scottie dostrzegł je.

— Nie ma jej ze mną — szepnął — została...

Zakaszłał ochryple i na wargach ukazała mu się krwawa piana. Billy uczył w sercu dojmujący ból.

— Powinieneś się zachowywać spokojnie — rzekł. — Nie mów teraz nic! Rozpalę ogień... Potem dam ci coś ciepłego.

Odchodził już, ale Deane powstrzymał go.

— Chcę ci najpierw coś powiedzieć, Billy — rzekł stanowczo. — Wiesz... widzisz dobrze, że ja umieram. Śmierć może przyjść lada moment. A przedtem muszę przecie wyjaśnić tyle... Powinieneś zrozumieć, nim odejdę. To nie potrwa długo. Zabiłem człowieka, ale nie żałuję tego wcale. Chciał znievažyc ją, moją żonę. I ty byś go również zabił! Policja zaczęła mnie ścigać, więc dla bezpieczeństwa uciekliśmy daleko na północ i tam między Eskimosami żyliśmy długo. Eskimosi kochali moją żonę i dziecko, szczególnie maleńką Izę. Myśleli, zdaje się, że to są jasne duchy...

Potem usłyszeliśmy, że idziesz mnie tropić między krajowcami, więc ruszyliśmy w podróż z tym pudłem... Pudło było dla niej, żeby ją ustrzec od straszliwego chłodu. Nie ośmieliliśmy się brać ze sobą dziecka, więc zostawiliśmy małą tam. Mieliśmy wrócić prędko, jak tylko ukończysz łowy. Gdy ujrzeliśmy twoje ognisko na skraju barren, ona namówiła mnie, bym się ukrył w pudle, i tak znalazłeś nas! Wiesz, co było potem...

Myślałeś, że to trumna, a ona ci powiedziała, że umarłem. Byłeś dla niej taki dobry... A teraz musisz odnaleźć ją i zawieźć jej maleńką Izę. Mieliśmy pójść za twoją radą i wyjechać do Południowej Ameryki. Ale trzeba było zabrać dziecko, więc wróciłem... Należało ci to wyznać. Zrozumieliśmy nasz błąd później... Ale na razie baliśmy się powierzyć swą tajemnicę nawet tobie...

Urwał dysząc i kaszłąc. Billy tulił w ręku jego zimne, chude dłonie. Nie mógł słowa wymówić. Czekał starając się zwalczyć łkanie, które mu rozsadzało pierś.

— Byłeś dla niej tak dobry... — szeptem powtórzył Deane. — Kochasz ją i nie ma w tym nic złego, bo wierzyłeś, że umarłem, a ona jest sama jedna i potrzebuje opieki. Rad jestem, że ją kochasz... Jesteś dobry i uczciwy i chcę, by taki właśnie człowiek kochał ją i o nią dbał. Sama jest na świecie; ma tylko mnie i maleńką Izę. Cieszę się, że natrafiliśmy na ciebie...

Uwolnił nagle dłonie z uścisku Billy'ego i ujął w obie ręce jego skupioną twarz, patrząc mu bystro wprost w oczy.

— Daję ją tobie — rzekł. — Jest czysta jak anioł, samotna i potrzebuje pomocy, a ty będziesz dla niej dobry. Musisz pójść do niej, do chaty Piotra Croisset, nad Little Beaver. I będziesz dla niej dobry... dobry...

— Pójdę do niej... — rzekł Billy miękko. — I przysięgam klęcząc przed wielkim, dobrym

Bogiem, że będę postępował tak, jak uczciwy człowiek postępować winien.

Deane opadł na poduszkę z westchnieniem ulgi.

— Martwiłem się o nią — rzekł. — Ale zawsze ufałem Bogu, chociaż mam mord na sumieniu, i

Bóg w porę ciebie tu zesłał.

W oczach jego błysnęło naraz zainteresowanie.

— Kim był ten, co ukradł małą Izę?

— Pelletier, policjant, który mi towarzyszy, zabił go, u nas w chacie — odparł Billy. — Nazywał

się Blake, Jim Blake.

Głos Scottie Deane od półgłosego szeptu przeszedł znowu nieomal w krzyk.

— Blake, mówisz? Wielki drab, marynarz, rudowłosy i rudobrody, z zębami żółtymi jak u morsa?

Blake! Blake!

Opadł w tył z obłąkanym uśmiechem.

— Więc... więc to wszystko była pomyłka! Zabawna pomyłka... — bełkotał przymykając oczy i

wymawiając słowa jak w malignie. Billy zrozumiał, że koniec się zbliża. Nachylił się chcąc pochwycić ostatnie słowa konającego druha. Ręce Deane'a były zimne jak lód. Wargi miał prawie białe. Wyszeptał cicho:

— Walczyliśmy... myślałem, że go zabiłem, i rzuciłem go w morze. Nazywał się właściwie

Samuelson. Policja go знаła pod tym nazwiskiem, ale miał także inne: Blake. Jim Blake! Więc... ja jednak nie jestem mordercą. Powiesz jej to, powiesz, prawda? Powiesz, że nie zabiłem! Powiesz i będziesz dobry... dobry...

Promieniał. Billy pochylił się niżej.

— Raz jeszcze przysięgam wobec Boga, że postąpię jak uczciwy człowiek — wyrzekł.

Deane nie odpowiedział nic. Nie słyszał. Uśmiech trwał wciąż na jego wargach, ale Billy

wiedział już, że w tej chwili śmierć weszła w drzwi chaty. Z jękiem rozpaczony porwał w swe dłonie sztywniejącą dłoń przyjaciela.

Małenka Iza przydreptała do jego boku. Śmiała się radośnie; nagle Billy odwrócił się, porwał ją w ramiona i skulony u łóża jedyne go brata, jakiego miał w życiu, zapłakał jak kobieta.

13. DWAJ BOGOWIE

Ze względu na dziecko Mac Veigh zwalczył ogarniające go przygnębienie. Po krótkiej chwili wstał trzymając maleńką w ramionach, a odwróciwszy jej uwagę, przykrył końcem dery twarz Deane'a. Potem ruszył do drzwi.

Eskimosi rozpalali ogniska. Pelletier siedział opodal na saniach i zbliżył się na wołanie Billy'ego.

— Jeśli chcesz, możesz ją zanieść do jednego z ognisk — rzekł Billy. — Scottie umarł... Postaraj się wytłumaczyć to wodzowi.

Nie dał koledze czasu na zadawanie jakichkolwiek pytań, tylko cicho zamknąwszy za sobą drzwi, wrócił do łóżka Deane. Odsunął derę i patrzył czas jakiś w milczącą, brodatą twarz.

— Mój Boże... A ona czeka na ciebie i wygląda, i myśli, że lada chwila wrócisz... — wyszeptał. — Że wrócicie razem, ty i dziecko...

Nabożnie zabrał się do pracy, którą miał wykonać. Jedną po drugiej przeglądał kieszenie Deane'a i wyjmował całą ich zawartość. Znalazł nożyk, parę naboji i pudełko zapalek. Wiedział, że Iza zachowa z pietyzmem te przedmioty, jako należące ongiś do jej męża, toteż wszystkie drobiazgi owinął starannie w chustkę.

Na ostatku w kieszeni na piersi Deane'a znalazł zmiętą i zniszczoną kopertę. Zajrzał do środka, nim ją do innych drobiazgów dołączył, i serce drgnęło w nim na widok płatków błękitnego kwiatu. Gdy skończył poszukiwania, skrzyżował zmarłemu ręce na piersi. Wiązał właśnie rogi chusteczki, gdy za jego plecami drzwi się naraz otwały.

Wszedł mały, ciemnolicy wódz. Czterej Eskimosi szli za nim. Broń pozostawili przed chatą. Uszeregowani w rząd spoglądali wszyscy na Scottie Deane'a; zdawali się ledwo oddychać. Żaden cień wzruszenia nie zamącił ich zastygłych twarzy; przez mgnienie oka nawet nie dostrzegłbyś w ich rysach jakiegokolwiek zmiany.

Niskimi, pełnymi monotonii głosami zaczęli przemawiać, a w tonie ich nie było znac najmniejszego żalu. Billy pojął jednak, że w sercach tych dzikusów Scottie Deane stoi na piedestale niemal boskim. Przyszli po to, by zanim ciało zmarłego ostygnie, wyśpiewać jego cnoty i czyny niewidzialnym duchom, które będą pilnowały trupa, aż do nadejścia nowego dnia.

Monotonna przemowa trwała około dziesięciu minut. Potem wojownicy odwrócili się i bez słowa, bez spojrzenia nawet w kierunku Mac Veigha wyszli z chaty. Billy ruszył za nimi, niepewny, czy Deane dostatecznie wyjaśnił Eskimosom, że on sam i Pelletier byli jego przyjaciółmi. Jeśli nie uczynił tego, należało się spodziewać, że wynikną nowe nieporozumienia z powodu małej Izy. Ucieszył się niezmiernie, widząc, że Pelletier usiłuje wytłumaczyć coś jednemu z krajowców.

— Znalazłem jegomościa, z którym jako tako mogą się dogadać! — krzyknął Pelletier. — Opowiedziałem mu najpierw, jak serdeczna przyjaźń łączyła nas ze zmarłym, a potem całą prawdę o Blake'u. Uścisnąłem parokrotnie ręce wszystkich i jesteśmy w jak najlepszej komitywie. Tylko trzeba obmyślić jakiś plan działania. Teraz, gdy Scottie umarł, nie mają wielkiej ochoty oddawać nam małej. Pytają przy tym o jego żonę.

W pół godziny potem Pelletier i Mac Veigh wrócili do chaty. Przez ten czas Billy nabrał przekonania, że Eskimosi nie przyczynią im już żadnych trosk i że zostawią im dziecko. Wódz jednak dał do zrozumienia, że chce się sam zająć pogrzebem Deane'a.

Billy czuł, że nadeszła pora, by choć częściowo opowiedzieć koledze wypadki zaszłe w

powrotnej drodze z fortu Churchilla. Doniósł przeciw władzom, że zgon Scottie Deane'a nastąpił już dawno, na skutek rany odniesionej w czasie ucieczki — i po przybyciu do Churchill będzie musiał to twierdzenie podtrzymać. Jeśli Pelletier nie dowie się o istnieniu Izy, o jego miłości ku niej, o przestępstwie, jakiego wobec prawa się dopuścił zwracając pojmanym wolność, gotów złożyć sprzeczne zeznania i zgubić go.

Wewnątrz chaty siedzieli obaj przy stole; Pelletier miał rękę na temblaku, podkrążone sińcami oczy, a twarz znużoną i czarną od prochu. Wyjął z futerału rewolwer, wyrzucił zeń naboje i dał go dziecku do zabawy. Wobec tuziemców udawał spokój ducha, ale teraz nie starał się nawet ukryć przygnębienia.

— Straciłem małą — rzekł patrząc w oczy Billy'ego. — Zabierzesz ją do matki.

— Tak.

— Boli! Nawet nie wiesz, jak to boli, że ją tracę...

Mac Veigh przechylił się przez stół i przemówił bardzo poważnie:

— Owszem, Pelly, wiem, co to znaczy. Wiem, jak to boli kochać kogoś i stracić go. Wiem..

Posłuchaj.

Opowiedział pokrótce swą wędrówkę przez barren i nadejście tamtej Izy. Opowiedział, jak pocałowała go i jak potem uciekła z mężem. Opowiedział o pogoni, pojmaniu i wreszcie o tym, jak zdjął stalowe kajdanki z rąk Scottie Deane'a. Raz zacząwszy, nie ominął żadnych ważniejszych szczegółów. Wspomniał nawet o podziale płatków błękitnego kwiatu i o paśmie włosów Izy.

Wyjął z kieszeni obie pamiątki i pokazał je koledze; głos mu drżał, a oczy Pelletiera zaszyły mgłą wilgotną. Gdy skończył, Pelletier wysunął zdrową rękę i ujął dłoń Billy'ego.

— To, co powiedziała o błękitnym kwiecie, sprawdza się, Billy — szepnął. — Kwiat ten daje ci radość, bo przecież idziesz teraz do niej.

Mac Veigh przerwał mu.

— Nie — wyrzekł miękko. — Ona kocha go tak bardzo, jak twoja dziewczyna, Pelly, kocha ciebie. Gdy powiem, co się stało, serce jej pęknie... To nie może mi dać szczęścia...

Ciężki był dla Mac Veigha ten dzień. Obaj koledzy ustalili plan dalszych poczynań. Część tuziemców zgodziła się towarzyszyć Pelletierowi aż do Cypla Eskimosów, skąd sam już miał się udać do fortu Churchilla. Billy ruszał na południe, ku Little Beaver, w poszukiwaniu chaty Piotra Croisset i Izy.

Mac Veigh był rad, gdy noc wreszcie zapadła. Podeszedł wtenczas do drzwi, otworzył je i wyrzwał na zewnątrz. Skraj boru znaczył się ponurą czernią nocy, pogłębianą jeszcze mrokiem gęsto rosnących jodeł i sosen. W ciemności błyskały światełka rzucane przez ogniska tuziemców; wokół ognisk leżąc lub siedząc zgromadziło się około pół setki wojowników.

Wszyscy czuwali. Jedyne psy, dwukrotnie od ludzi liczniejsze, zgonione do ostatka, z poobijanymi do krwi łapami, spoczywały zwinięte w kłębki, nieruchome, niby martwe. Dziwna cisza i dziwny, nienaturalny smutek panowały wokół; tylko wiatr huczał tęsknie ponad barren i szemrał w gałęziach drzew, a płomienie ognisk trzaskały głucho.

Dalej nieco, jak gwiazda lśniło w oknie chaty małe, nie gasnące światełko. Od dwu godzin nieruchomy tłum Eskimosów wpatrywał się w ten samotny płomyk. Od czasu do czasu spośród grona wojowników o kamiennych twarzach wstawał mały wódz, a za każdym razem jego klekoczący głos łączył się z wyciem wichru i trzaskiem ognisk. Nikt inny prócz niego nie ruszał się i nie odzywał. On działał i wysławiał się za wszystkich; wydawane przezeń dźwięki były mową na cześć człowieka, co tam w chacie leżał martwy.

Mac Veigh i Pelletier spoglądali kilkanaście razy to na zegarki, to na ogniska tuziemców.

Wreszcie Billy rzekł:

— Ruszają się, Pelly! Wstają i idą tutaj. Ponownie spojrzął na zegarek.

— I dobrze zgadli. Jest piętnaście po dwunastej. Gdy umrze wódz albo inny wielki człowiek, grzebią go o pierwszej godzinie następnego dnia. Przychodzą po Deane'a.

Otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Pelletier ruszył za nim. Eskimosi zbliżali się milcząc i o dwadzieścia kroków od chaty przystanęli zbici w ciemny kłęb. Pięciu małych, w skóry odzianych ludzi odłączyło się od reszty. Z wodzem na czele wkroczyli do chaty. Gdy schylali się nad Deane'em, zaczęli śpiewać monotonną pieśń, która zbudziła Iżę; dziecko usiadło na swym posłaniu, sennie spoglądając na tajemnicze widowisko. Billy podszedł do małej i wzięwszy ją na ręce, utulił mocno. Usnęła i spała, gdy składał ją ponownie w jej gniazdku. Eskimosi odeszli już, niosąc ponury ciężar. Słysząc było ich odległy śpiew.

— Znalazłem ją i myślałem, że należy do mnie... — zabrzmiał obok cichy głos Pelletiera. — Alem się mylił. Ona jest twoja, Billy...

Mac Veigh spojrzął na niego, jakby nie słysząc tych słów.

— Połóż się lepiej Pelly — doradzał miękko. — Twoja ręka wymaga spokoju. Ja pójdę zobaczyć, gdzie oni go pochowają.

Włożył czapę i futro i zbliżył się do drzwi. W progu raptem zawrócił. Ze swego plecaka wyjął siekiere i gwoździe.

Wiatr dał mocniej ponad barren i Mac Veigh nie słyszał już monotonnego lamentu Eskimosów. Szedł wprost na ich ogień, ale nie znalazł tam nikogo; w obozie pozostały jedynie psy, wciąż pogrążone w martwym uśpieniu. Rozejrzał się — i daleko na skraju boru dojrzał błysk światła.

W pięć minut później stał ukryty w głębokim cieniu, tuż obok tuziemców. Grób wykopano wczesnym wieczorem na śnieżnej przestrzeni wolnej zupełnie od drzew; w blasku ogniska, który padał na krągłe, ciemne lica Kogmolloków, Mac Veigh rozpoznał pięciu małych mężczyzn, tych samych, którzy zabrali Scottie Deane'a, chylących się nad wykopaną w zmarzłej ziemi jamą. Scottie już znikł. Ziemia, lód i zlodowaciały mech opadały na jego ciało, a dzicy grabarze milczeli teraz jak zakłęci.

W ciągu paru chwil prymitywny obrzęd się skończył i jak drobne czarne cienie tuziemcy odeszli ku swemu obozowisku. Został tylko jeden, siedząc w kucki u wezłowia mogiły, z długim dzirytem na plecach. Był to O-gluk-gluk, wódz Eskimosów, wartujący przy trupie, by odpędzić demony, które w ciągu paru pierwszych godzin po pogrzebie przychodzą wykradać ciało i duszę zmarłych.

Billy zagłębił się w las tak daleko, aż znalazł cienką, prostą sosnę, którą ściał siekiere. Odarł drzewo z kory, potem uciął mniej więcej trzecią część i przybił ją do pozostałej żerdzi. Wreszcie zaostrzył koniec i wrócił ku mogile, niosąc na ramieniu krzyż.

Odarte z kory godło męki lśniło w blasku ognia. Eskimoski wartownik patrzył na nie czas jakiś, a w jego tępych oczach zapłonęło dziwne światło; zrozumiał, że odtąd dwaj bogowie, nie jeden, staną na straży mogiły. Billy wcisnął w ziemię krzyż i podczas gdy go siekiere wbijał głębiej, tuziemiec cofnął się i cofał dopóty, aż znikł w mroku nocy. Skończywszy Mac Veigh zdjął czapkę z głowy. Ale nie miał zamiaru się modlić.

— Przykro mi, stary — przemówił do tego, co leżał pod krzyżem. — Bóg widzi, jak mi przykro... Chciałbym, żebyś żył... Chciałbym, żebyś zamiast mnie wrócił do niej razem z małą... Ale dotrzymam ci obietnicy. Przysiągłem i zrobię wszystko dla jej dobra...

Wszedł w głąb lasu i obejrzał się za siebie. Eskimos pełnił już znowu swą ponurą wartę. Na ciemnym tle barren krzyż jaśniał widmową bielą. Odwrócił twarz od tego widoku i ogarnęły go jednocześnie przerażenie i lęk.

Scottie Deane zmarł; leży w grobie.. Ale oto wydało mu się naraz, że trup ten obok niego stąpa. Czuł jego obecność... Mózg miał pełen dziwacznych myśli. Zawrócił do chaty. Cicho przestąpił próg. Pelletier spał. Małeńka Iza oddychała równym dziecięcym oddechem. Przystanął i ucałował jedwabiste kędziory, a potem długo tulił w palcach mięciutkie włosy. Myślał, że za parę lat nabiorą ciemniejszego połysku brązu i miedzi, tak jak włosy kobiety, którą kochał. Zwolna wielki spokój osnuwał jego duszę.

Prawdę mówiąc, widział przed sobą prawie ze nadzieją szczęścia. Ona, tamta Iza, wiedziała, że kocha ją bardziej, niż jakikolwiek człowiek na świecie mógłby kochać. Dał tego dowód. I oto teraz idzie ku niej.

14. BAŁWAN ZE ŚNIEGU

Billy rozebrał się, zgasił światło i wszedł do łóżka. Usnął prędko i sen miał pełen marzeń. Na razie były słodkie i radosne, przeżywał bowiem powtórnie swe pierwsze spotkanie z Izą; raz jeszcze znalazł się wobec jej czystości, urody, wiary i ufności w niego. Ale potem sny stały się przykre i męczące. Budził się dwukrotnie i za każdym razem siadał na tapczanie, odczuwając ten sam lęk, który chwycił go opodal mogiły Deane'a.

Przebudziwszy się po raz trzeci, zapalił zapałkę, by spojrzeć na zegarek. Dochodziła czwarta. Był wciąż jeszcze bardzo znużony. Bolały go wszystkie członki po szalonym, pięćdziesięciomilowym biegu przez barren, ale nie mógł dłużej spać. Coś, czego sam nie umiałby określić, pchało go do czynu. Wstał i ubrał się.

Gdy w dwie godziny później Pelletier się obudził, toboły i sanki Mac Veigha gotowe były do podróży na południe. Spożywając śniadanie obaj mężczyźni omawiali dalsze szczegóły powziętych planów. Kiedy godzina rozłąki nadeszła, Billy pozostawił kolegę w towarzystwie maleńkiej Izy, a sam wyszedł zaprzęgać psy. Gdy wrócił, oczy Pelletiera były mocno zaczerwienione i puszczał z fajki gęste kłęby dymu, mające mu osłonić twarz.

W ciągu następnych dni Mac Veigh niejednokrotnie wspominał ten odjazd. Pelletier stał na progu z takim wyrazem oczu, którego Billy stanowczo wolałby nie widzieć. On sam miał serce pełne żalu.

Długie godziny jeszcze nie mógł się otrząsnąć z przygnębienia. Przecierał szlak, a u jego pięt Kazan wiódł karną sforę. Podług kompasu kierowali się wprost na południe.

Gdy po raz trzeci cofnął się, aby spojrzeć na maleńką Izę, znalazł dziecko śpiące głęboko. Zbudziła się dopiero w południe,

— Pocałuj mnie... — prosił.

Iza zgodziła się łatwo, kładąc mu obie rączki na twarzy.

— Jesteś słodka dziewczynka — zawołał. — W ciągu całego dnia nie płakałaś ani razu. A teraz rozpalimy ogień. Ogromny ogień!

Zabrał się do pracy, gwiżdżąc po raz pierwszy od wyruszenia w drogę. Ustawił swój jedwabny, służbowy namiot, naciął łapek sosnowych, aż zawalił nimi wewnątrz na pół stopy wzwyż, a potem w ciągu pół godziny gromadził drzewo. Tymczasem zapadła noc. Wielkie ognisko rozmiękczyło śnieg na kilka jardów wokoło. Billy rozebrał Izę z otulającego ją futerka i śliczna twarzyczka dziecka poróżnowiała w blasku płomieni.

Światło kładło złote i purpurowe lśnienia na jej zwichrzone kędziory i podczas gdy jedli kolację, Billy widział przed sobą coraz to podobniejszy wizerunek tamtej Izy. Kiedy skończyli jeść, wyjął mały kieszonkowy grzebyk i przysunął dziewczynkę ku sobie. Jedne po drugich rozplątywał jej loki, a serce biło mu radośnie, gdy czuł pod palcami jedwabistą przedzę. Raz kiedyś kobiece włosy równie miękko musnęły jego twarz. Stało się to niemal przypadkowo, ale chwilę tę zachował w duszy niby skarb najdroższy.

Ponownie przeżył teraz ten moment.

Posadził dziecko na kocach, a sam wstał. Dorzucił paliwa do ognia i poczuł raptem, że rozgrzany śnieg lgnie mu do nóg. Odkrycie to nasunęło mu pewną myśl. Zaczął zbierać nartą miękki śnieg, zgarniając go w jedno miejsce; przed zdumionymi a pełnymi radości oczami Izy wyrósł i ukształtował się na wzór człowieka wspaniały bałwan.

Billy zrobił mu głowę i ramiona oraz oczy z kawałków węgla, a gdy skończył, wsadził bałwanowi na łeb własną czapę i własną fajkę do ust. Dziecko krzyczało z radości, a potem

wziąwszy się za ręce tańczyli oboje wokół bałwana, tak samo jak przed wieloma laty Mac Veigh tańczył w gronie rówieśników. Gdy zmęczyli się wreszcie, Iza aż płakała ze śmiechu i radości, a w oczach Mac Veigha lśniły inne łzy.

Bałwan śnieżny przywiódł mu na myśl dawne lata i stracone złudzenia. Osaczyły go te wspomnienia zewsząd, aż mu się nagle wydało, że to, co było, było wczoraj i że szczęście czeka zaraz za skrajem lasu. Iza dawno już spała, a on siedział i patrzył na bałwana ze śniegu; serce śpiewało mu weselną pieśń, że nie mógł już prawie wytrzymać ze szczęścia, ale chciał zerwać się i krzyknąć na cały świat, by wyładować wiarę w życie i radość, które w nim narastały.

Zdawało się, że bałwan śnieżny, topniejący wolno od żaru ogniska, ma serce i duszę, i głos. A głos ten woła nań i przynagla uparcie. Ma oto iść z powrotem do swego rodzinnego domu daleko na południu, do towarzyszy dzieciństwa, którzy stali się dorosłymi teraz. Przywitają go serdecznie i serdecznie przywitają tamtą Izę. Weźmie ją bowiem z sobą. Po raz pierwszy kazał sobie uwierzyć w to, że Iza z nim pójdzie. A tam, dłoń w dłoń, ruszą śladem jego dziecinnych stóp, poprzez wzgórza i łąki. Będzie zbierał dla niej kwiaty polne, tak jak kiedyś zbierał je dla zmarłej matki — i opowie jej wszystkie stare baśnie minionych dni...

A bałwan ze śniegu topniał.

15. IZA I „CZERWONA ŚMIERĆ”

Gdy Billy położył się wreszcie, śnił o bałwanie ze śniegu i o maleńkiej Izie. Śmiech i radość dziewczynki, gdy obudziwszy się nazajutrz ujrzała dziwną postać topniejącej kukły — wróciły mu znów młodzieńcze marzenia o szczęściu, te same które snuł nocy ubiegłej.

Kiedy po śniadaniu ruszyli w dalszą podróż, żartował i rozmawiał z dziewczynką, a raz po raz biorąc ją w ramiona, niósł idąc za sankami.

— Idziemy do domu — powtarzał jej bezustannie. — Idziemy do domu i do mamy! Do mamy! Do mamy!

Wymawiał to słowo z ogromnym przejęciem. A ilekroć posłuszne usteczka Izy powtarzały za nim „mama”, serce łomotało mu w piersi jak szalone. Pod koniec dnia nie znał już miłszego słowa. Próbował raz mówić „matka”, ale dziecko spojrzało nań zdziwione, a i jemu nie podobało się to również.

— Mama! Mama! Mama! — szeptał raz po raz, siedząc wieczorem przy ogniu.

Nawet gdy dziewczynka usnęła, a Billy czuwał samotnie, kurząc fajkę, powtarzał sam dla siebie tę najśłodsza w świecie nazwę i wyjąwszy z kieszeni lśniące w blasku ognia pasmo włosów, przyglądał mu się radośnie. Pod koniec drugiego dnia dziecko znało już na pamięć niemal cały pacierz, którego ongiś nauczyła go matka; było to tak dawno, przed tyloma laty, że gdy myślał o niej, zdawała mu się już nie kobietą, tylko cudnym, przejrzystym duchem. A czwartego dnia w południe Iza wyszczebiotała cały pacierz bez najmniejszej pomocy Billy'ego.

Nazajutrz rano dotarli do Grey Beaver i dziewczynka spoważniała widząc zmianę zaszłą w jej wielkim towarzyszu. Nie bawił się już z nią; gnał jedynie psy, a wciąż bacznie rozglądał się wokół, czy nie dojrzy przetartej ścieżki, smugi dymu lub ściętego drzewa. Serce miał pełne niepewności i trwogi. Im bliższe było spotkanie z Izą, tym silniejszy stawał się niepokój. Widział ciemności tam, gdzie przed godziną jeszcze lśnił jasny promień nadziei. Jedna okropna myśl usuwała teraz na bok wszystkie inne: przynosił wiadomość o śmierci... śmierci jej męża! Wiedział zaś, że największą radością życia Izy byli mąż i dziecko.

Zaparło mu niemal dech, gdy niespodziewanie u skraju niewielkiej polany ujrzał chatę. Zawahał się chwilę. Potem wziął dziecko na ręce i ruszył ku drzwiom. Były lekko uchylone, więc zapukał w nie, otworzył zupełnie i wszedł.

W pokoju, w którym się teraz znalazł, nie było nikogo, tylko w piecyku płonął ogień; w głębi jednak widniały drugie drzwi i te rozwarły się wolno. W następnej chwili stanęła w nich Iza. Nigdy jeszcze nie widział jej tak jak teraz. Światło dnia padało wprost na jej postać. Miała na sobie luźną suknię, a długie włosy opływały spletaną falą jej ramiona i piersi.

Mac Veigh chciał zawołać po imieniu... Tysiącrotnie obmyślał słowa, które ma jej powiedzieć, ale to, co ujrzał w tej twarzy, oszołomiło go i milczał utkwivszy w nią oczy. Policzki kobiety płonęły. Wargi barwił nienaturalny karmin. Żrenice lśniły ostrym blaskiem. Patrzyła na Mac Veigha przyciskając rękoma serce i zgarniając błyszczące pasma włosów. Gdy podał jej dziecko, skoczyła ku niemu krzycząc nieprzytomnie:

— Moje maleństwo! Moje maleństwo! Moje maleństwo!... Zatoczyła się i padła na krzesło, tuląc dziewczynkę do piersi. Przez chwilę Billy słyszał jedynie te dwa słowa, które kobieta powtarzała wśród przejmujących łkań, kryjąc płonąca twarz we włosach swego dziecka. Był pewien, że Iza jest chora, że to gorączka wywołała szkarłatny rumieniec na jej policzki. Z trudem przełknął ślinę i zbliżył się do niej. Drżąc wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. Podniosła nań oczy. W źrenicach jej

zamigotało światło bliźniaczo podobne do tego, które widział już raz, wtedy gdy w podzięce za jego dobroć dała mu pocałunek.

— Pan... — wyszeptała — pan mi je odniósł...

Ujęła jego dłoń. Wyczuł na ręku miękki dotyk jej rozpuszczonych włosów. Widział, jak prędko dyszy jej pierś.

— Tak... — wykrztusił z trudem.

W oczach kobiety, w wyrazie twarzy, w półrozchylonych wargach była niema prośba. Zaczął mówić, a palce Izabeli zaciskały się na jego dłoni coraz silniej, aż wyczuł niemal dygotanie jej serca. Nie przypuszczał nigdy, że zdoła opowiedzieć wszystko w tak krótkich słowach, jak to czynił teraz. Jasny płomień w oczach kobiety rósł i potężniał. Przestała oddychać, *gdy* odmalował walkę w chacie i śmierć człowieka, który ukradł maleńką Izę. Jeszcze setka słów i znalazł się na skraju boru.

Tu urwał, ale jej milczenie błagało o ciąg dalszy. Przysunęła się do niego tak blisko, że czuł jej oddech. W proszącym wyrazie oczu był niewymowny lęk. Starał się dobrać odpowiednie słowa i wykrztusić je, ale gardło miał ściśnięte. Zauważyła jego mękę.

— Proszę mówić — rzekła łagodnie.

— I wtenczas przyniosłem ją tutaj... — rzekł.

— Spotkał pan mego męża?

Tak go zaskoczyła tym pytaniem, że zdradził się mimo woli.

Dziecko zsunęło się na ziemię, a Iza wstała. Podeszła do Mac Veigha tak blisko jak owej cudnej nocy na skraju barren. W oczach jej malowała się prośba, kiedy położywszy mu na ramiona ręce, spojrzała prosto w twarz.

Myślał, że pójdzie łatwiej. Ale to było straszne! Nie poruszyła się. Żaden dźwięk nie wydobył się z zaciśniętych ust, gdy mówił o swym spotkaniu ze Scottie Deane'em i o jego chorobie. Odgadła, co dalej będzie, nim to wypowiedział. Gdy zaczął mówić o śmierci, odsunęła się odeń wolno, Nie krzyknęła. Tylko zajęczała głucho. Rękami zasłoniła twarz i w chwili tej, gdy stała tuż prawie, bezmierna fala miłości zalała duszę Mac Veigha.

Rozwarł ramiona pragnąc objąć ją i utulić, jakby tulił małe, biedne dziecko. Jakże chętnie padłby trupem u jej stóp, byle wrócić życie temu, którego straciła... Uniosła głowę, zobaczyła jego wyciągnięte ku niej ręce, zobaczyła miłość i błaganie w jego oczach — i w źrenicach jej błysnęła płomień nienawiści.

— Pan! Pan! — krzyknęła cofając się. — To pan go zabił! On nie uczynił nic złego! Chciał mnie jedynie osłonić przed zniewagami łajdaka. Ale prawo, pana prawo, kazało go ścigać, polować nań jak na dzikie zwierzę! Odegnaliście go od domu, od żony i dziecka... Pędziliście go, aż skonał, sam jeden... Pan, pan go zabił!

Z okropnym łkaniem porwała dziecko na ręce i wybiegła do drugiej izby. Nim się za nią drzwi zatrzasnęły, Billy słyszał wciąż słowa:

— To pan! To pan! To pan!

Jak ogłuszony fizycznym ciosem zatoczył się i cofnął do drzwi wejściowych. Obok swego zaprzęgu zastał Piotra Croisset, półkrwi Francuza, i jego żonę, powracających właśnie z linii sideł. Sam nie bardzo rozumiał, co odpowiedział Metysowi, podczas gdy ten pomagał mu ustawiać namiot. Kiedy Piotr kierował się już do chaty, przystanął naraz i rzekł:

— Ona jest chora, bardzo chora! I coraz z nią gorzej! *Mon Dieu*, moja żona boi się o nią!

Billy uciął parę jodłowych gałęzi i rozłożył swe dery, ale nie miał ochoty rozpalać ogniska. Gdy Metys powrócił, by zawiadomić go, że kolacja czeka, odparł, że wcale nie jest głodny i że idzie spać. Skulił się pod derą milczący, przybity, zaniedbawszy nawet nakarmić psy. Czuwał jeszcze, gdy

na niebie zapłonęły gwiazdy. Czuwał, gdy ukazał się księżyc. Czuwał w dalszym ciągu, gdy światło w oknie Piotra Croisset zgasło. Zapomniał o bałwanie ze śniegu; wiara w to, że załomy własny dom, odeszła w dal. Nigdy jeszcze nie przeżywał takiej męki. Czuwał, gdy księżyc zatoczył wielki łuk nad jego głową i znikł poza linią boru. Nadeszła zupełna ciemność. O świcie zapadł w niezdrowy półsen, z którego obudził go głos Piotra.

Gdy otworzył oczy, był już dzień, a Metys stał w drzwiach namiotu. Twarz miał pełną grozy. Krzychał prawie do Mac Veigha, który — ledwie zbudzony — siedział na swym pościeliu i słucał.

— Ojczy w niebiesiech! — wołał. — To „czerwona śmierć"! To ospa! Ona umiera!

Mac Veigh skoczył na równe nogi i ścisnął go za ramię. Ale Metys wyrwał się i pobiegł w kierunku chaty. Billy widział stojącą opodal niego zaprzężoną już sforę i żonę Piotra, która znośła do sań dery, tobołki i różne zapasy. Billy nie tracił czasu na próżne słowa, ale ruszył szybko do zadumionej chaty. Z drugiej izby dochodził cichy jęk; wpadł tam i runął na kolana przy łóżku Izy. Twarz jej, purpurową od gorączki, kryła niemal zupełnie gęstwa rozpuszczonych włosów. Poznała go i płomień obłąkania strzelił z jej źrenic.

— Proszę zabrać małą! — dyszała. — O, Boże, proszą uciec z nią!

Pełen niewysłowionej tkliwości wysunął rękę i odrzucił włosy z jej twarzy.

— Pani jest chora... Pani ma gorączkę! — rzekł łagodnie.

— Tak, tak, ja wiem! Na razie nie sądziłam, że to ospa! Pan... pan mnie kocha, więc proszę zabrać małą i odejść ...Odejść!

Wróciła mu cała dawna energia. Nie bał się już. Uśmiechnął się do niej, a jedwabisty dotyk jej włosów spowodował w jego sercu radosne drgnienie.

— Zabiorę ją stąd! — rzekł. — Nie bój się o nią, Izo! — wymówił jej imię niemal modlitewnie. — Będzie zdrowa... Nie zachoruje...

Wziął dziecko na ręce i wyniósł do sąsiedniej izby. Piotr stał w progu, w towarzystwie żony. Odziani byli jak do dalekiej podróży. Billy postawił dziecko na podłodze i skoczył ku nim.

— Co wy sobie myślicie! — krzyknał. — Nie możecie odejść! To niemożliwe! — ze wściekłością niemal zwrócił się do kobiety. — Ona umrze, jeśli nie będziesz jej pielęgnować! Nie uciekniesz chyba?

— To ospa! — uparcie burknał Piotr. — Kto zostanie — umrze!

— Zostaniecie jednak! — odparł Billy zwracając się wciąż do żony Piotra. — Jesteś jedyną kobietą na przestrzeni stu mil. Ona umrze bez was! Zostaniesz, choćbym miał was oboje związać!

Z niebywałą zręcznością Piotr uniósł trzymany w dłoni ciężki harap i z rozmachem spuścił drzewce na głowę Billy'ego. Gdy ten zataczał się po izbie, machając rękoma, nim upadł, usłyszał przeraźliwy krzyk i w otwartych drzwiach ujrzał bladą twarz Izabeli Deane. Potem zatonął w nieprzeniknionym mroku.

Kiedy otrząsnął się z zamroczenia, pierwszą rzeczą, którą zobaczył, była znowu twarz Izy. Nim otworzył oczy, wiedział już, że głos, który go woła, jest jej głosem. Wyczuł dotyk jej rąk, a gdy spojrział w górę, miękka fala włosów spłynęła mu na pierś. Głowę miał wysoko podpartą i twarz jej znajdowała się na jednym poziomie z jego twarzą. Wygląd jej przeraził go.

Zrozumiał teraz, co mówiła, gdy leżał półprzytomny.

— Pan musi wstać, pan musi odejść! Pan musi zabrać stąd moją małą! Pan musi odejść z nią!

Uniósł się trochę, a potem wstał zataczając się lekko. Zbliżył się do niej z tym samym wyrazem twarzy, co wówczas na barren, gdy mówił, że będzie jej towarzyszył w drodze.

— Nie, nie odejdę! — rzekł stanowczo, chociaż jak dawniej serdecznie. — Jeżeli odejdę, pani umrze! Więc zostanę!

Patrzała nań chwilę bez słowa.

— To niemożliwe! — zawołała wreszcie. — Czyż pan naprawdę tego nie rozumie! Ja jestem kobietą i pan nie może... Musi pan zabrać stąd dziecko i szukać pomocy!

— Nie znajdę nigdzie pomocy — odparł spokojnie Mac Veigh. — Za parę godzin straci pani przytomność. Zostanę i przysięgam, będę panią pielęgnował tak, jak on by to czynił. Kazał mi przecie przysiąc, że będę panią strzegł, że będę o pani pamiętał...

Spojrzała mu prosto w oczy. Widział drżenie jej warg i falowanie piersi. W następnej chwili byłaby upadła, gdyby jej nie podtrzymał ramieniem.

— Jeżeli umrę... — jęknęła z rozpaczą — zaopiekuje się pan dzieckiem?

— Tak, na pewno!

— A jeśli... jeśli ja wyzdrowieję...

Głowa jej zakołysała się nieprzytomnie i opadła na piersi.

— Jeśli... ja... wyzdrowieję...

— To co wtedy? — nalegał. — Co wtedy?

— Jeśli... ja...

Widział, jak stara się wykrztusić jeszcze parę słów, i źle odgadł znaczenie jej myśli.

— Tak! Wiem, rozumiem! — krzyknął prędko, czując, że cięży mu w ramionach coraz bardziej.

— Jeśli wyzdrowieje pani, odejdę! Nikt się nigdy nie dowie... Ale tymczasem będę się starał...

Urwał, odgarnął zwichrzone włosy i spojrzał w jej twarz. Potem zaniósł zemdloną do drugiej izby, a gdy wrócił, zastał małą Izę całą we łzach.

— Moje biedne maleństwo! — zawołał porywając ją na ręce. — Moje biedactwo!

Dziecko uśmiechnęło się ku niemu przez łzy; wciąż trzymając je w ramionach, usiadł na brzegu stołu.

— Byłaś dzielną dziewczynką od początku i nadal nią pozostaniesz! — rzekł ujmując w swe wielkie dłonie jej śliczną twarzyczkę. — Będiesz grzeczna bo, bo...

Odwrócił głowę i cicho kończył:

— Bo będziemy musieli przeżyć ciężkie chwile...

16. ZABÓJCZE PRAWO

Siedząc na stole maleńka Iza patrzyła radośnie w twarz Billy'ego i dopiero gdy śmiech jej zamienił się w płacz, Billy zauważył, że palce jego aż do bólu ściskają ramię dziewczynki. Rozwichrzył więc jej włoski, czym na nowo wprowadził małą w dobry humor, a potem postawił ją na podłodze. Wreszcie zbliżył się do półotwartych drzwi. W przyciemnionej izbie panowała zupełna cisza. Starał się pochwycić westchnienie lub płacz, ale nie usłyszał nic.

Jedyne okno było zasłonięte firanką, więc dość niejasno widział leżącą na łóżku postać Izy. Serce biło mu silnie, gdy półgłosem wymawiał jej imię. Odpowiedziało mu milczenie. Obejrzał się. Dziecko znalazło na podłodze coś ciekawego i bawiło się tym. Powtórzył wołanie i znów odpowiedź nie nadeszła. Groza zdławiła go. Chciał podejść do ciemnej postaci leżącej na łóżku, ale niewidzialna dłoń jakby go zatrzymywała.

I raptem niby cios sztyletu wpiły się weń bełkotane niskim głosem wyrazy:

— To pan! To pan! To pan!

W głosie jej odczuł nutę słyszana ongiś w głosie Pelletiera. Miała gorączkę. Bredziła. Cofnął się o krok i potarł dłonią czoło. Było wilgotne i lepkie od potu. Uczuł dojmujący ból w miejscu, gdzie trafił cios Piotra Croisset, i chwilowa słabość zachwiała nim. Straszliwym wysiłkiem zebrawszy resztki energii, zbliżył się do dziecka. Podczas gdy wynosił ją na świeże powietrze goniły za nim słowa Izy.

— To pan! To pan! To pan!

Świeży powiew dodał mu sił, toteż ruszył śpiesznie do namiotu, niosąc małą na rękę. Kiedy umieszczał ją wygodnie na skórze niedźwiedziej, przygniotła go w całej swej grozie beznadziejność sytuacji. Dziecko nie mogło pozostawać w chacie, ale i w namiocie nie było zabezpieczone zupełnie, bowiem część dnia musiał przecie z nią spędzać. Zadygotał na myśl o możliwych rezultatach tej konieczności.

O siebie samego nie obawiał się wcale, myśląc o ciężkiej chorobie, która dosięgła Izę. Zaraza ominęła go już parokrotnie. Ale dusza konała w nim z trwogi, gdy patrzył w wielkie błękitne oczy dziewczynki i pieścił jej jedwabiste loki. Gdyby chociaż Piotr i jego żona wzięli ją ze sobą! Na myśl o nich porwał się raptem na równe nogi.

— Posłuchaj, mała, zostaniesz tu! — mówił szybko. — Zrozumiano? Opuszczę skrzydło namiotu i nie wolno ci płakać! Złapię tego przekłętego mieszańca żywego lub martwego!

Zamknął namiot tak, by Iza nie mogła się wydostać, i zostawił ją samą, zdziwioną i milczącą. Samotność nie była dla niej zresztą rzeczą nową. Nie bała się pustki i czatując z uchem przy ścianie namiotu Billy usłyszał wkrótce, jak mała bawi się drobiazgami, które hojnie wokół niej rozrzucił.

Pobiegł po psy i zaprzął je do sań. Croisset i jego żona wyprzedzali go o pół godziny może, najwyżej o trzy kwadransy. Będzie gnał godzinę lub dwie, jakby szło o własne życie, dopędzi ich i przywiezie z powrotem pod groźbą rewolweru. Nie cofnie się, nawet gdyby musiał walczyć.

Gdy szlak skręcił w las, Billy zawahał się myśląc, czy nie będzie biegł prędzej, jeśli zostawi psy i sanie, a ruszy pieszo. Podniecenie sfory przeważało szalę. Psy węszyły trop pozostawiony na śniegu przez obcy zaprząg i drżąc z zapału oczekiwały rozkazu pogoni. Billy trzasnął z bicia ponad ich łbami.

— Chcecie walki, zuchy? — zawołał. — I ja także jej chcę! Naprzód więc! *M-hoosh! M-hoosh!*

Ukląkł na saniach, a psy z miejsca ruszyły cwałem. Nie potrzebował wcale kierować nimi, bowiem szły wytkniętym przez Piotra szlakiem. W pięć minut później wpadli w rzadsze zarośla, a

potem na wąskie pasmo łąki porosłej krzewami, pomiędzy którymi płynęła Grey Beaver. Śnieg był tu miękki i grząski, toteż Billy biegł za saniami, trzymając się rzemienia, by nie zostać w tyle, gdyby psy rozwinęły nagle niezwykłą szybkość.

Zauważył, że Croisset wyęczał wszystkie siły, byle oddalić się jak najbardziej od zarazonej chaty, i pomyślał naraz, że nie tylko groza „czerwonej śmierci” dodaje Metysowi skrzydeł. Najwidoczniej Piotra gnało wspomnienie ciosu wymierzonego harapem. Być może, obawiał się, że mimo woli popełnił morderstwo; Billy uśmiechnął się widząc w wyobraźni, jak wśród zasp śnieżnych Piotr batożył swoje psy. Mac Veigh, przeciwnie, pozwolił swemu zaprzęgowi iść krokiem, przekonany, że Metys oszalał i że jego sfora i on sam wyczerpią wszystkie siły w ciągu najbliższych paru mil. Pewien był teraz, że doścignie ich kędyś na równinie.

Wraz z tą myślą uczuł w głowie ból nagły i ostry. Ból ten ustąpił zresztą prędko, ale przez chwilę śnieg poczerniał mu w oczach i z trudem uchronił się od upadku. Rzemień wyśliznął mu się z rąk i gdy wreszcie zamroczenie minęło, sanie oddaliły się blisko o dwadzieścia jardów. Dognał je i położył się na derach dysząc, jak gdyby brał udział w długim wyścigu. Kiedy oprzytomniał, zaczął się sam ze siebie śmiać, patrząc na płowe grzbiety zaprzęgu, ale naraz śmiech zastygł mu na wargach.

Jak gdyby ostrze noża przebiegło mu od karku po mózg, aż runął twarzą na sanie, jęcząc głucho. Cios Croisseta zrobił swoje. Mac Veigh zrozumiał to i próbował zawołać na psy, by stanęły. Ale one szły naprzód, nie zważając na słabe okrzyki, które z trudem wydobywał z ogarniających go ciemności. Jednak gdy wreszcie zdołał się unieść i zobaczył biel śniegu, psy stały już. Były zaplątane w rzemienie uprzęży i obwąchiwały śnieg.

Billy siadł. Mrok i ból minęły równie szybko, jak przyszły. Widział przed sobą szlak Piotra. Potem spojrzął na psy. Skręciły pod prostym kątem do sań i obwąchiwały śnieżną zaspę. Rzucając ostrą komendę, przeciągnął po nich rzemieniem bicza i zbliżył się do przodownika. Sfora opadła na brzuchy, szczerząc lśniące kły.

— Co za diabeł... — zaczął i urwał.

Spojrzał na śnieg. Od tropu Piotra w bok płynął inny ślad — ślad nart. Na razie pomyślał, że to Metys lub jego żona z nie znanego bliżej powodu odeszli nieco na stronę. W następnej chwili uznał, że przypuszczenie to jest błędne. Croisset i jego żona nosili długie, wąskie narty używane w lasach, a ten nowy trop był odbiciem szerokich rakiet, noszonych przez Indian i traperów z barren. Poza tym trop był silnie ubity. Ten, co przeszedł nim, chodził już tędy niejednokrotnie. Billy wydał radosny okrzyk. Natrafił na linię siodła.

Chata traperów nie mogła się znajdować zbyt daleko, a i traper sam zaledwie przed chwilą przemknął tędy. Mac Veigh zbadał oba szlaki i znalazł miejsce, w którym okrążył koniec szerokiej narty zatarł ślady Metysa. Teraz Billy z obu dłoni uczynił tubę koło ust i wydał głośny, jękliwy zew mieszkańców leśnych. Podobny dźwięk niósł o milę. Powtórzył go dwukrotnie i za drugim razem nadeszła odpowiedź. Nie płynęła ze zbyt wielkiej odległości, więc nadzieja wstąpiła w jego serce. Raptem straszliwy ból pod czaszką odezwał się ponownie i Billy padł zemdłony na sanki.

Zbudziło go warczenie i skowyt sfory oraz głos człowieka. Gdy uniósł nieco głowę, zobaczył obok swego zaprzęgu ludzką postać. Spróbował wstać, ale udało mu się to tylko częściowo. Potem znowu opadł do tyłu i pochłonął go mrok gęstszy niż przedtem. Kiedy ponownie otworzył oczy, znajdował się w jakiejś izbie. Wyczuł panujące tu ciepło. Pierwszym dźwiękiem, który uderzył jego słuch, był trzask ognia. Potem dobiegł go czyjś głos.

— Daję słowo, to przecie Billy Mac Veigh!

Wlepił oczy w twarz pochylającą się nad nim. Było to oblicze białego człowieka, pokryte zjeżoną rudą brodą. Brody tej co prawda nie pamiętał, ale głos i oczy rozpoznałby wszędzie i

zawsze. W ciągu dwu lat jadał przy jednym stole z Rookie Mac Tabbem zarówno w Norway, jak i w Nelson House. Mac Tabb porzucił służbę z powodu chorej nogi.

— Rookie! — zawołał Billy.

Uniósł się na wprost, a dłonie Mac Tabba zacisnęły się na jego ramionach.

— Daję słowo, to przecie Billy Mac Veigh! — krzyknął ponownie, a głos jego i oczy były pełne zdumienia. — Joe przyniósł cię pięć minut temu, ale dopiero w tej chwili przyjrzałem ci się po raz pierwszy. Billy Mac Veigh, tak! Ja...

Urwał i spojrzął na czoło Mac Veigha, gdzie widniała smuga krwi.

— Ranny jesteś? — spytał ostro. — Czy może to ten przeklęty Metys?

Billy ścisnął teraz w dłoniach ręce Mac Tabba. Obok piecyka klęczał milcząc ciemnolicy Indianin.

— Tak, to Croisset! — zaczął Billy. — Trzasnął mię po łbie i od tej pory dzieją się ze mną dziwne rzeczy. Nim nadejdzie nowy atak, chcę ci powiedzieć, o co chodzi... O, Boże, szczęśliwa gwiazda przywiodła mię tutaj, Rookie! Słuchaj no, stary!

W krótkich słowach opowiedział o śmierci Scottie Deane'a, o ucieczce Piotra z żoną i obecnym stanie rzeczy.

— Nie ma chwili do stracenia! — kończył ściskając coraz silniej ręce Mac Tabba. — Tam jest dziecko i matka. Musisz ze mną pójść, Rookie, i musisz mi pomóc. Trzeba prędko znaleźć jaką kobietę. Bo jeżeli nie...

Zerwał się z łóżka i patrzył na Mac Tabba. Tamten skinął głową.

— Rozumiem! — rzekł. — Co za podła sytuacja... Najbliższa biała kobieta znajduje się opodal Du Brochet, czyli o dwieście mil stąd. Nie znajdziesz Indianki, która by się zgodziła podejść na ćwierć mili do chaty, gdzie panuje ospa, i wątpię, by biała kobieta, o której mówię, zechciała tu przybyć. Jedyne ratunek to posłać do fortu Churchilla lub do Nelson House i zażądać fachowej pielęgniarki. To zabierze dwa tygodnie czasu...

Billy uczynił gest rozpaczony. Indianin Joe słuchał dotąd pilnie rozmowy, a teraz opuścił swe stanowisko koło pieca.

— Jest obóz indiański nad jeziorem Arrow! — rzekł spoglądając na Billy'ego. Znam tam jedną *squaw*, co się nie będzie bała ospy!

— To prawda! — krzyknął porywczo Mac Tabb. — Joe ma tam matkę, która uczyni dlań wszystko, co tylko będzie mogła. Wczesną zimą w tym roku przewędrowała sama jedna sto pięćdziesiąt mil, by złożyć mu wizytę! Przybędzie i teraz! Jedź po nią, Joe! W imieniu Mac Veigha obiecuję jej pięć dolarów dziennie od chwili wyruszenia w drogę!

Tu znów zwrócił się do Billy'ego:

— A jak twoja głowa?

— Lepiej. Bieg mię zmęczył i dlatego osłabłem.

— W takim razie jedziemy z powrotem do chaty Piotra i co prędzej zabieram małą!

I podczas gdy Joe gotował się do drogi na południo-wschód, Mac Tabb wymógł na Billy'm, że pojedzie saniami, zamiast iść pieszo. Ruszyli w kierunku tropu Metysa, a gdy dotarli doń, Mac Tabb wybuchnął śmiechem.

— Wyobrażam sobie, że lecą jak zające! — rzekł. — I cóżeś myślał uczynić z nimi, Billy, gdybyś ich schwytał? Wlec babę z powrotem za włosy? Chwała Bogu, żeś się przewrócił w drodze! Walka z Piotrem Croisset to to samo co walka z rysiem! Ustrzeliliby cię spoza pierwszej zasy! —

Billy czuł, jak mu ustępuje z piersi wielki ciężar. Podczas gdy Mac Tabb kroczył naprzód, popędzając psy, on rozmyślał nad możliwością powrotu Joe z matką w ciągu tygodnia. Nim stara

Indianka przyjedzie, będzie sam na sam z Izą; mimo silnego strachu, który mu ścisnął serce, radowała go ta perspektywa. Dla niego i dla niej zaczną się dni męki; jednak kobieta, którą kocha, będzie tuż przy nim. A małeńka Iza zamieszka bezpiecznie w chacie Mac Tabba! Ale jeśli stanie się nieszczęście...

Straszna myśl przeszła mu mózg. Drgnął i oburącz ścisnął kurczowo krawędzie sań. Jeśli Iza umrze zostanie mu dziecko, zostanie na zawsze, na własność!...

Odrzucił od siebie tę możliwość jak zmorę okropną. Iza będzie żyła! On jej życie zachowa! Bo jeżeli nie...

Mac Tabb usłyszał dziki okrzyk, który wyrwał się z ust Billy'ego. Billy nie mógł tego okrzyku powstrzymać. O, Boże, jeśli ona odejdzie, jakże pusty będzie świat! Czy możliwe, że po nadchodzących dniach grozy nigdy więcej już jej nie ujrzy? Ale jeżeli wyżyje, a on będzie wiedział, że słońce świeci nadal nad jej śliczną głową, że jej błękitne oczy spoglądają nadal ku gwiazdom, że w słodkich modlitwach wspomina czasem jego imię obok imienia Deane'a, życie nie będzie już dlań tak samotne.

Mac Tabb pochylił się nad przyjacielem.

— Boli głowa? — spytał.

— Trochę — skłamał Mac Veigh. — Mamy przed sobą gładką ścieżkę, Rookie... Poganiaj psy!

W pół godziny później sanki zatrzymały się przed chatą Piotra Croisset. Billy wskazał ręką namiot.

— Mała jest tam — rzekł. — Wejdz i zawrzyj z nią znajomość, Rookie. Ja wstąpię do izby; zobaczę, co tam słyhać!

Cichutko wśliznął się do chaty. Wewnętrzne drzwi były lekko uchylone, tak jak je zostawił, więc z bijącym sercem zajrzał do drugiego pokoju. Nie mógł się dłużej wahać. Uczynił jeszcze krok naprzód i wymówił jej imię.

— Izo!

Postać na łóżku poruszyła się gwałtownie i chora tak nagle skoczyła na nogi, że Mac Veigh zdumiał się. Uniosła ciężką firankę zasłaniającą okno i stanęła w pełnym świetle. Patrzyła nań i Billy widział jej oczy płonące gorączką. Policzki miała szkarłatne i oddychała szybko przez uchylone wargi. Rozpuszczone włosy opływały ją lśniąca falą.

— Znalazłem chatę trapera, Izo! Zabieramy tam małą... — mówił Mac Veigh. — Będzie zupełnie bezpieczna... I posłaliśmy po jedną kobietę.

Urwał, oniemiały ze zgrozy. Wyraźnie dojrzał obłęd w jej źrenicach. Opuściła firankę i mrok zapadł wokół nich. Słyszał, jak szepece słowa o wiele straszliwsze niż wyraz jej oczu.

— Pan jej nie zabije? — błagała. — Pan oszczędzi moje dziecko!... Pan daruje małej życie?!

Cofała się chwiejnie w głąb pokoju, w kółko powtarzając te same wyrazy. Dopiero gdy padła na łóżko, Billy odzyskał zdolność ruchu. Miał wrażenie, że krew mu w żyłach zastygła. Runął na kolana tuż przy niej. Zatopił palce w gęstwie jedwabnych loków, ale nie czuł prawie ich dotyku. Chciał przemówić i słowa więzły mu w gardle. Aż kobieta raptownie odepchnęła go wstecz i oczy jej błysnęły w półmroku. Przez chwilę zdawało się, że na nowo odzyskała przytomność.

— To pan, to pan pomógł go zamordować! — dyszała. — Zabiło go prawo, a pan i prawo to jedno! Prawo zabija, morduje i nigdy nie zwraca swych ofiar, nawet gdy popełni błąd! Był niewinny, ale pan i prawo ścigaliście go, aż zginął. Mordercy!... Zabiliście i mnie również! A na was kary nie ma, bo prawo może zabijać!

Jęcząc opadła na łóżko, a Mac Veigh skulony trwał u jej boku, z palcami zatopionymi w gęstwie złotych włosów, i milczał, bo nie wiedział, co rzec. Po chwili zaczęła swobodniej oddychać. Jej

sztwyne ciało rozprężyło się nieco. Mac Veigh zdołał powstać i wyjść do drugiej izby, zamykając za sobą drzwi. Półprzytomna Iza mówiła prawdę. Pomiedzy nią a sobą wykopał raz na zawsze niezgłębioną przepaść. Prawo zabiło Scottie Deane'a, a Billy i prawo to jedno. I prawo nigdy nie podlega karze, nawet wówczas, gdy morduje niewinną istotę.

Wyszedł z chaty. Mac Tabb znajdował się w namiocie. Wieczorny zmierzch kładł się na pełnym melancholii krajobrazie. Ołowiane niebo zawisło nisko nad ziemią — i nagle z okropnym jękiem Mac Veigh wyciągnął w górę ręce i przeklął prawo, które mogło zabijać bezkarnie, prawo, którego ofiarą padł Scottie Deane.

17. IZA NAD PRZEPAŚCIĄ

Twarz, którą były konstabl Rookie Mac Tabb ujrzał w chwilę potem, nie była twarzą dawnego Mac Veigha. Nawet długotrwała choroba nie mogłaby go bardziej zmienić niż te parę minut spędzonych we wnętrzu przyciemnionej izby. Był blady i znużony. W kącikach ust widniały ostre bruzdy, a oczy kryły dziwny i pełen niepokoju wyraz. Mac Tabb zauważył *tą* zmianę dopiero wówczas, gdy wyszedł z namiotu niosąc w ramionach maleńką Izę. Wtenczas osłupiał.

— Uderzenie Piotra bardzo ci zaszkodziło — rzekł pełen niepokoju. — Wyglądasz na chorego. Może lepiej będzie, jeśli zostanę z tobą przez dzisiejszą noc.

— Nie — zaprzeczył Billy starając się jednocześnie otrząsnąć z przygnębienia. — Zabieraj dziecko do siebie. Po dobrze przespanej nocy będę zdrow jak ryba. Nim odjedziesz, zaszczepi? małej ospę.

Wszedł do namiotu i znalazł ceratową torebkę, w której chował trochę lekarstw i paczkę higroskopijnej waty. W małej flaszcze miał trzy szczepionki ospy. Zabrał szczepionki oraz watę i wyszedł.

— Pilnuj jej dobrze — mówił zawijając wysoko rękaw dziewczynki. — Dam ci jedną szczepionkę i jeśli dzisiejsze nie podziałają w ciągu siedmiu, ośmiu dni, będziesz musiał raz jeszcze wykonać ten zabieg.

Ostrzem noża jął delikatnie trzeć różową skórę dziecka. Był pewien, że się rozplacze. Ale nie bała się wcale; jej wielkie, błękitne oczy z zaciekawieniem śledziły każdy jego ruch. Wreszcie uczuła ból i wargi jej drgnęły. Nie krzyknęła jednak, tylko ciche łzy wybiegły jej spod powiek. Billy rzucił nóż i przycisnął małą mocno do piersi.

— Niech cię Bóg strzeże, kruszynko! — zawołał tuląc twarz do jej miękkich loków. — Tyle wycierpiałaś... Byłaś głodna, marzłaś i nie skarżyłaś się nigdy. Mój skarbie najmilszy...

Mac Tabb słyszał go, jak szeptał jeszcze jakieś słowa, i widział, jak dziewczynka mocno opasuje mu szyję ramionkami. W chwilę potem Billy podał dziecko przyjacielowi, a twarz jego miała już bardziej normalny wyraz.

— Nic nie będzie boleć — mówił wcierając szczepionkę. — A chorować nie chcesz, prawda? To właśnie uchroni cię od choroby. No, gotowe.

Obandażował jej rączkę i podał Mac Tabbowi resztę waty. Potem znów wziął dziecko w ramiona, ucałował ciepłą twarzyczkę i jedwabiste kędziory, zawinął małą w futra i usadowił na sankach. Podczas gdy Rookie równał zaprzęg, Billy szybko uciął nożem pasmo jasnych włosów. Iza roześmiała się radośnie. Nim się Mac Tabb na ten śmiech odwrócił, włosy znikły w kieszeni Mac Veigha.

— Nieprędko ją teraz zobaczę — rzekł starając się pokonać nagłą chrypkę. — To jest, chciałem powiedzieć, że nieprędko będę się mógł do niej zbliżyć. Przyjadę do was od czasu do czasu i spojrzę na nią z daleka. Wyniesiesz ją z chaty, Rookie, i nic nie powiesz, że przyszedłem. Biedactwo nie mogłoby pojąć, dlaczego się do niej nie zbliżam.

Patrzył za nimi, gdy chłonał ich mrok nocy, a kiedy znikli zupełnie, uczuł w sobie przyływ żalu. Wiedział przecie, że na zawsze traci małą Izę. Ujrzy ją znowu z daleka tylko, ale nigdy już nie weźmie jej na ręce ani ona nie obejmie go za szyję ciepłymi łapkami. Nawet gdy choroba wygaśnie, jego już tu nie będzie. Bowiem Iza, matka, prosiła go o to, a on jej prośbę spełni. Nie dowie się nigdy, czym były dni jej maligny. Nie będzie zmuszona w twarz mu spojrzeć... Wiedział już nawet,

jak i kiedy odejdzie.

Gdy przybędzie stara Indianka, on wymknie się nocą i zginie w głuszy leśnej. Plan powstał samorzutnie, bez udziału myśli niemal. Pójdzie do fortu Churchilla i złoży zeznania w sprawie Bucky Smitha. Potem porzuci służbę. Umowa jego kończy się za miesiąc i nie odnowi jej już...

„Zabiło go prawo, a pan i prawo to jedno! Prawo zabija, morduje i nigdy nie zwraca swych ofiar, nawet gdy popełni błąd!” Pod mrocznym niebem słowa te bezustannie brzmiały mu w uszach i z każdą chwilą rosła w nim nienawiść do tego, c ego składową częścią był od tylu lat.

Wicher zawodził głucho wśród szczytów jodeł i sosen, a jemu się zdawało, że to głos Izy ponownie go oskarża. Słowa jej ciągle huczały mu w mózgu, aż czuł pod czaszką niby smugę żaru.

„Zabija, morduje i nigdy nie zwraca swych ofiar...”

Kurczowo zaciskając wargi spojrzał w kierunku chaty. Przypomniał sobie teraz niejedną wypadek, gdy prawo zabiło niewinną istotę. Omyłki nieodzownie zdarzały się w czasie ludzkich łowów. Ale dotychczas nigdy nie zastanawiał się nad tym.

Głównie przed nim i przed Pelletierem Iza i jej mąż musieli się ukrywać wśród Eskimosów. Z cypla Fullerton polowali na niego i ścigali go, jakby szło o dzikiego zwierza. Spojrzał na siebie tak, jak Iza patrzyła nań zapewne jako na mordercę Scottie Deane'a. Wracając do chaty cieszył się prawie, że przybył tu już w drugim lub trzecim dniu choroby. Wolał gorączkę i malignę niż zarzuty czynione w pełni władz umysłowych.

Zapalił małą lampkę i nasłuchiwał czas jakiś u wewnętrznych drzwi. Iza zachowywała się spokojnie. Po raz pierwszy bacznie rozejrzał się po izbie. Croisset i jego żona pozostawili moc żywności. Zauważył uprzednio wędzone mięso uwieszone zewnątrz chaty; wyszedł więc i odkroił parę plasterów. Nie czuł głodu, ale włożył mięso do garnka i postawił na piecyku, by mieć na wszelki wypadek zupę dla chorej.

Chodząc po izbie odkrywał jeden po drugim ślady jej obecności tutaj. Na kołku, wbitym w ścianę, wisiał szal stanowiący, jak wiedział, jej własność. Na podłodze stały jej trzewiki, na stole leżała spora ilość kobiecych drobiazgów. Znajdowały się tu igły i nici, parę sztuk ubrania, rękawice i strzęp czerwonej wstążki, używany jako krawat. Uderzyły go w oczy dwa pakiety listów przewiązane jedwabnymi wstążkami oraz trzecia paczka rozproszona po stole.

W świetle lampy zauważył, że na wszystkich kopertach widnieje ten sam charakter pisma. Górna koperta pierwszej paczki była adresowana do pani Izabeli Deane, Prince Albert, Saskatchewan; górna koperta drugiej — do panny Izabeli Rowland, Montreal, Kanada. Serce biło mocno w piersi Billy'ego, gdy zbierał rozproszone po stole listy czyniąc z nich trzeci pakiet. Wiedział, że to są również listy Deane'a i że Iza czytała je w gorączce i samotności, gdy przyniósł jej wieść o śmierci męża.

Miał właśnie zgarnąć ze stołu resztę drobiazgów, gdy spod rękawic wyjrzał wycinek gazety. Było to pół stronicy dziennika z Montrealu, a pomiędzy kolumn druku patrzyła twarz Izabeli Deane. Twarz ta była młodsza, dziewczęca jeszcze, ale dla niego o wiele mniej piękna niż twarz kobiety spotkanej w pustce barren. Ręce mu drżały i oddychał szybko, gdy trzymając gazetę bliżej światła, czytał parę wierszy umieszczonych pod fotografią:

Izabela Rowland, jedna z ostatnich „Cór Północy” w Montrealu, która poświęciła majątek z miłości do młodego inżyniera.

Wbrew ogarniającemu go uczuciu wstydu, że wdziera się samowolnie w świętą dla Izy przeszłość, jej i człowieka, który umarł, Billy odnalazł datę. Gazeta wyszła przed ośmiu laty. Czytał potem ciąg dalszy. W czasie tych paru minut, gdy niewzruszony czarny druk odkrywał mu tajniki życia Izy i Scottie Deane'a, Billy zapomniał, że znajduje się w chacie i że tuż obok oddycha ta, której

pogodna miłość zakończyła się tragedią.

Stąpił obok Deane'a tego dnia, gdy młody inżynier zajął po raz pierwszy w oczy Izy na małym, starym cmentarzu wśród grobów Indian i bezimiennych; słyszał bicie wiekowego dzwonu kościołka, co stał na wzgórzu od przeszło dwustu pięćdziesięciu lat, i słyszał, jak Deane opowiada Izie dzieje tego dzwonu, który dawnymi czasy zwoływał osiedleńców na bój z Indianami. Czytał dalej i czuł, jak pulsuje krew w żyłach Deane'a na wieść, kim jest Iza, na wieść, że Piotr Radisson, jeden z pierwszych kolonizatorów Północy, był jej prapradziadkiem, że nosił ofiary do starego kościołka, walczył tu i tu właśnie zginął, a ciało jego spoczywa kędyś wśród tych bezimiennych grobów.

Była to piękna opowieść, a Mac Veigh wyczytał jeszcze między wierszami dużo rzeczy, o których nie wiedział nikt inny. Był kiedyś w St. Anne de Beaupre, by napatrzeć się pielgrzymkom i cudom, i teraz zobaczył nagle w wyobraźni rozświetlone zbocze, gdzie później spotykali się Deane i Iza, gdzie ona wyznała mu, jak wielką rolę w jej życiu odegrał maleńki, stary, pęknięty dzwon, wiekowy kościółek i cmentarz bezimiennych. Krew zawrzała w nim, gdy czytał dalszy ciąg miłosnej epepei.

Zgodnie z relacjami pisma, Iza była zupełną sierotą. Wychowywał ją wuj, człowiek starej daty. Zamieszkiwał sam w towarzystwie siostrzenicy duży, biały dom, opasany kamiennym murem i żelazną kratą, położony na szczycie wzgórza, a patrzył na cały świat z chłodną wyniosłością feudalnego lorda. Od dnia, w którym usłyszał po raz pierwszy o Dawidzie Deane, stał się jego zaciętym wrogiem; przede wszystkim dlatego, że Dawid był tylko młodym, początkującym inżynierem, po drugie, że był Amerykaninem, przybyszem z dalekiego kraju. Kamień i żelazo ogrodowych murów tworzyły zamknięte kolisko, do którego Deane nie miał dostępu. Ciężka furta nie stała dlań nigdy otworem. Wreszcie nastąpiła katastrofa. Iza, uczciwa w swej miłości, odeszła z Dawidem. Na tym kończyły się relacje pisma.

Billy stał chwilę, trzymając w ręku gazetę, a w oczach miał wilgotną mgłę. Wydało mu się, że widzi stary dom Izy w Montrealu. Położony był przy stromej, cienistej ulicy, wiodącej ku Mont Royal. Billy przyglądał się kiedyś, jak długi zaprząg konny ciągnął pracowicie pod tę górę wyładowany węglem dwukolny wóz.

Przypomniał sobie, jak ogromny urok miała dlań ta ulica z masywną wstęgą swych murów, starymi francuskimi domami i dziwną atmosferą Montrealu sprzed stu lat, która panowała wciąż w tym zakątku miasta. Przed dwunastu laty szedł tamtędy po raz pierwszy i wyrył swe nazwisko na drewnianej poręczy wiodących na szczyt góry schodków. Iza mieszkała wtenczas w Montrealu. Być może jej śpiew właśnie słyszał płynący z któregoś ogrodu.

Zanotował nazwisko i adres jej wuja i dołączył gazetę do paczki listów. Jeżeli stanie się nieszczęście, jego obowiązkiem będzie chyba powiadomić o tym krewnego. Jednak po chwili namysłu podarł skrawek papieru, na którym zapisał te dane. Henryk Lecours wyrzekł się swej siostrzenicy. Jeśli ta umrze, po cóż zawiadamiać go o istnieniu maleńkiej Izy. Od chwili gdy Izabela Deane tak surowo potępiła wobec niego nakazy prawa, sierżant Billy Mac Veigh zasadniczo zmienił swój pogląd na tak zwane obowiązki.

W ciągu następnych paru godzin Billy niejednokrotnie nasłuchiwał u drzwi. Wreszcie przyrządził herbatę, odgrzał suchary oraz zdjął zupę z piecyka. Wszystko to zostawił blisko ognia, by nie przestygło zbyt, i wszedł do pokoju Izy. Słyszał, jak chora się porusza, a gdy zbliżył się do niej, wydała krótki, radosny okrzyk.

— Dawid! Dawid! — wołała. — To ty! Och, tak się cieszę, że wróciłeś!

Billy stał nad nią. Twarz miał szarą jak popiół, bowiem błyskawicznie pojął, co się stało. Gorączka i wstrząs uczyniły swoje. Półprzytomna Iza uwierzyła, że to mąż wszedł do jej izby. W półmroku dojrzał, jak wyciąga ku niemu ręce.

— Dawid... — szepnęła, a w głosie jej było tyle szczęścia i miłości, że dreszcz targnął nim do głębi.

18. SPEŁNIENIE OBIETNICY

W ciszy, która nastąpiła po szepcie Izy, Billy objął jednym rzutem myśli trudne położenie, w jakim się znajdował. Pierwotna chęć biernego poddania się biegowi wypadków i zajęcia miejsca Deane'a przy gorączkującej Izie przepoiła go naraz takim obrzydzeniem, że się o krok od łóżka cofnął zaciskając pięści, aż mu paznokcie weszły w ciało.

— Nie, nie jestem Dawidem... — zaczął, ale słowa skonały mu w gardle.

Przypomnienie śmierci męża mogło teraz Izę zabić. Wiara w jego istnienie, fikcyjna chociażby obecność przy niej kochanego człowieka mogły ją do życia powrócić. Opanował to wszystko myślą o wiele prędzej, niżby się dało wypowiedzieć w słowach. Uprzytomnił sobie, jak to Pelletier pozapominał wszystko, co mu się przytrafiło w czasie ataków gorączki. Jeśli nawet Iza zachowa w głębi mózgu niejasne jakieś obrazy, osądzi później, iż była to tylko maligna. Wystarczy parę zręcznych słów, by ją w tym przekonaniu utwierdzić. W razie potrzeby powie, że mówiła dużo o Dawidzie, a wciąż się jej zdawało, że mąż jest przy niej. Nie zachowa wtenczas żadnych podejrzeń.

Iza Wyczekała chwilę, potem, jak gdyby wystraszona milczeniem, zagadnęła ponownie:

— Dawid! To ty, Dawidzie?...

Przysunął się bliżej do łóżka i trafił dłońmi na jej wyciągnięte ku niemu ręce. Były rozpalone i suche. Palce kobiety zacisnęły się na jego dłoniach, więc przyciągnął je do swej piersi. Iza odetchnęła głęboko, jak gdyby to dotknięcie przynosiło jej ulgę.

— Przynajmniej dla ciebie zupełne... — rzekł jak najciszej, bojąc się podnieść głos. — Czy zjesz troszkę, Izo? Powinnaś się posilić i usnąć potem.

Wyczuł silniejszy uścisk jej palców; przemówiła doń tak spokojnie, iż na chwilę sądził, że majaczenie minęło i że jest przytomna.

— Nie lubię ciemności, Dawidzie. Nie widzę ciebie... Poza tym chcę spleść warkocz. Zapal, proszę, światło...

— Na razie nie można — odszepnął. — Dopiero gdy się będziesz lepiej czuła... Światło zmęczyłoby ci oczy... Zostanę z tobą... przy tobie...

Uniosła dłoń i w mroku dotknęła jego twarzy. W dotknięciu tym zawarła całą miłość i tkliwość. Dopiero dla człowieka, który był ongiś jej mężem; pieszczota ta szarpnęła sercem Billy'ego tak boleśnie, że o mało nie wybuchnął łkaniem. Nagle dłoń jej opadła i poruszyła się niespokojnie.

— Moje włosy, Dawidzie!...

Wyciągnął rękę i trafił na wspaniałe bogactwo jej splotów. Jedwabiste pasma osnuły twarz i szyję Izy, toteż uniósł ją nieco, oswobadzając z tej miękkiej sieci. Nie śmiał się odezwać, gdy zgarniał włosy, rozczesywał je i splatał w gruby warkocz. Gdy skończył, Iza odetchnęła z ulgą.

— Teraz zjem zupełne... — rzekła.

Przeszedł do drugiego pokoju, gdzie paliła się lampa. Dopiero gdy ujął garnczek z zupą, wyczuł, jak silnie drżą mu ręce. Zrzucił suchar i rozlał trochę zupy. I on także wraz z Izabelą Deane odbywał krzyżową drogę.

Wrócił do drugiej izby i siadłszy obok Izy uniósł ją tak, że głowa jej wsparła się o jego ramię, a ciepło jej włosów owiało mu twarz i szyję. Posłusznie zjadła kawałek rozmoczonego w zupie sucharka i wypła parę łyków płynu. Zostałaby potem chętnie w tej samej pozycji, z twarzą tuż u jego twarzy — i Billy wiedział, że usnęłaby wnet. Jednak troskliwie ułożył ją na pościeli.

— A teraz zaśniesz... — namawiał łagodnie. — Dobranoc...

— Dawidzie...

— Słucham...

— Nie pocałowałaś mnie jeszcze...

W głosie jej brzmiała dziecięca skarga i z jękiem prawie Mac Veigh pochylił się nad nią. Ramiona Izy opasały na chwilę jego szyję. Uczuł słodką, drżącą pieśczętę jej ciepłych warg — i podczas gdy gonili za nim jej słowa: „Dobranoc, Dawidzie” — cofnął się do drugiej izby. Tam z rozdzierającym łkaniem padł na tapczan Piotra.

Dopiero w godzinę później uniósł twarz znad kołder. Nie spał jednak ani chwili. Godzina ta i godziny poprzednie, gdy wahał się, czy ma wejść do pokoju Izy, czy nie — bruzdami poorwały jego twarz i postarzały go ogromnie. Pierwszy pocałunek Izy był najśłodszym wspomnieniem jego życia. Nocy dzisiejszej dała mu więcej niż wtenczas, bowiem w drzeniu jej warg, w pieśczęcie rąk była miłość, a nie wdzięczność tylko. Ale radości nie dała mu ani krzty.

Zmożony bólem wstał i spojrzął na drzwi wiodące do jej izby. Pomimo iż dobrze wiedział, że nie wolno mu postępować inaczej, czuł się gorszy od złodzieja. Wyzyskiwał jej malignę i to napawało go ogromnym wstrętem do samego siebie; modlił się prawie, by Iza co prędzej odzyskała przytomność, choć wtedy miały przyjść dla niej dni rozpacz i smutku.

Na Dalekiej Północy „czerwona śmierć” grasuje zawsze to tu, to tam i Billy dobrze znał przebieg tej choroby. Przypuszczał, że Iza zapadła na nią przed trzema lub czterema dniami i że jeszcze trzy lub cztery dni potrwa silna gorączka. Potem nastąpi reakcja. Iza odzyska przytomność i stanie wobec niewątpliwego faktu śmierci męża oraz zrozumie, że przez cały czas swej niemocy była sama jedna z Billy'm.

Nasłuchiwał chwilę u jej drzwi. Leżała cicho, więc nie czyniąc najmniejszego szmeru wyszedł z chaty. Noc stała się bardziej jeszcze ponura i ciemna. Żadna jaśniejsza smuga nie lśniła na mrocznym niebie. Z północo-wschodu powiał wiatr i wył wśród gałęzi, napełniając świat wokół przejmującymi dźwiękami. Billy podszedł do namiotu, gdzie znajdowała się przedtem maleńka Iza, i wstrząsnął nim nieokreślony dreszcz. Pożałował nawet, że odesłał z Mac Tabbem wszystkie swoje psy. Zaciążyła nad nim straszliwa samotność. Jak, gdyby ciężka dłoń gniotła mu serce, aż uczuł prawie fizyczny ból. Odwrócił się i spojrzął na połyskujące w chacie światełko. Tam była Iza; myślał ongiś, że gdzie ona jest, nie może istnieć samotność. Ale oto legła między nimi niezgłębiona przepaść.

Zadygotał, bo wydało mu się nagle, że Dawid Deane stoi przy nim tak samo jak owej nocy, gdy stawał krzyż nad jego grobem. Powoli obecność ta zmniejszała ciężar gniotący mu serce. Wiedział, że Deane rozumie wszystko, i to dodało mu sił.

Zbliżył się do namiotu i zajrzał w jego głąb, choć nie było tam nic do zobaczenia. Potem wrócił do chaty. Wspomnienie mogiły tamtego przywiodło mu na myśl obowiązek względem wdowy. Z gumowego woreczka wyjął notes i ołówek.

Pracował później wytrwale przeszło godzinę przy słabym świetle lampy. Wiedział, że Iza zechce odwiedzić Dawida. Mogło się to stać zaraz lub później. Pielgrzymkę tę odbędzie na pewno. Toteż krok za krokiem niemal wyrysował drogę wiodącą do małej chatki na skraju barren. Wreszcie napisał słowa, które mu płynęły wprost z serca:

Niech Cię Bóg strzeże aż do końca dni! Dałbym życie własne, byle Jemu życie wrócić. Nie zapomną o Jego mogile. Wrócą tam kiedyś i posadzą na niej błękitny kwiat. Zdaje mi się, że nie zrozumiesz nigdy, co bym dał, żebyś miała znów Dawida i była szczęśliwa.

Wiedział, że dotrzyma obietnicy. Wróci do samotnej mogiły na skraju barren. Jest coś, co woła go tam; coś czego nie może pojąć, ale co wypływa z jego własnej niedoli.

Złożył zapisane arkusze, owinął w czysty papier i napisał jej imię na tej improwizowanej kopercie. Potem położył swój list na stole, obok listów Dawida. Wiedział, że ona znajdzie go razem z tamtymi.

Następny tydzień był dla Billy'ego Mac Veigha walką niezwykle trudną a nieustanną, której wspomnienie miało przetrwać w jego pamięci do końca życia. Bezsenne noce i dni bez wypoczynku. Ciężka walka — bez chwili wytchnienia — z ponurym widmem, które snuło się wciąż po izbie. Walka wyżłobiła mu policzki i wyrzyła na twarzy głębokie bruzdy.

Głos Izy rozlegał się często, raz pieszczotliwy i słodki, to znów ostry i pełni żalu. Billy doznawał pieszczoty jej rąk. Niejednokrotnie czuł na wargach drżące pocałunki, do których skłaniała go sama. A potem, w chwilach furii, zarzucała mu, że zagnał na śmierć człowieka spoczywającego snem wiecznym na skraju barren.

Trzeciego, piątego i siódmego dnia tej męczarni Billy odwiedzał chatę Mac Tabb'a, a Rookie wychodził na jego spotkanie i rozmawiał z nim przez tubę z kory brzoźowej. Po tygodniu wciąż jeszcze nie było żadnych wieści od Indianina Joe i jego matki. Dnia tego Billy po raz ostatni grał rolę Scottie Deane'a.

Rankiem wszedł do pokoju Izy niosąc zupę, suchary i miskę z wodą, a gdy zjadła, uniósł chorą nieco i oparł o poduszki, chcąc na nowo uczesać i spleść jej cudne włosy. W pokoju było dość jasno, choć Billy nadal nie odsłaniał firanki. Na zewnątrz lśniło wspaniałe słońce i promienie jego padając przez zasłonę oświetlały gęstwę rozpuszczonych warkoczy.

Gdy Mac Veigh skończył, ułożył znów chorą delikatnie na poduszce. Patrzyła nań jakoś niezwykajnie. I raptem uczuł okropny dreszcz; spojrzenie Izy było zupełnie przytomne. W błękitnych źrenicach rósł zwolna dawny lęk i żal. Czekał dygocąc, ale nie usłyszał ani słowa, więc jak tyle razy poprzednio, odwrócił się i wyszedł do drugiej izby.

Tam stał parę minut milczący, gromadząc siły na przetrwanie bliskich już tortur. Tak czy inaczej nadchodził kres. Otrząsnął się z przelotnej słabości i po chwili zawrócił do drzwi. Ale nie wchodził zwyczajnie, jak przedtem. Zapukał. Głos Izy pozwolił mu wejść. Uczuł w sercu nagły ból, widząc, że leży teraz zwrócona do ściany, tak by nie mógł dojrzeć jej twarzy. Pochylił się nad nią i rzekł miękko:

— Jest już lepiej... Niebezpieczeństwo minęło.

— Lepiej i wszystko minęło?... — usłyszał jej pytający szept.

— Tak.

— A dziecko?

— Zdrowe.

Zapadła krótka cisza. Potem ona rzekła półgłosem:

— Pan był tu sam ze mną?

— Tak, sam... siedem dni.

Zwróciła na niego oczy. Widział, jak lśnią w pól.

— To pan! To pan! To pan!

— Tak, tak, wiem!... Rozumiem... — mówił, a w sercu czuł piekący ból. — Pani musi teraz zachować spokój... Obiecałem, że gdy pani wyzdrowieje, odejdę... I uczynię to... Nikt się nigdy nie dowie...

— I nigdy pan do mnie nie wróci? — Głos jej był spokojny i zimny.

— Nigdy! — rzekł. — Przysięgam...

Przytuliła się teraz do ściany tak, że widział jedynie jej warkocz lśniący w miejscach, gdzie padały nań błyski światła.

Odszedł tak cicho, że nie zauważyła prawie, jak opuszcza pokój. Zamknął drzwi za sobą. Zewnętrzne drzwi były otwarte i raptem usłyszał dźwięki, których wyczekiwał od dawna: ostry szczek sfory i głosy ludzkie.

Parę szybkich kroków i znalazł się poi gołym niebem. W połowie polanki Indianin Joe zatrzymywał swój zaprząg. Jeden rzut oka przekonał Mac Veigha, że stara Indianka nie odmówiła prośbie syna. Szczupła staruszka o wyglądzie wiedźmy gramoliła się ze stosu niedźwiedzich skór. Głęboko zapadłymi oczyma patrzyła na zbliżającego się białego, a jej obnażone dłonie były tak chude, że przypominały szpony ptasie. Ale bez względu na odpychającą powierzchowność Billy objął ją prawie z radości, że jednak przybyła.

Zwała się Maballa — wiedział o tym od Mac Tabba — a rozumiała język angielski i wysławiała się nim lepiej niż syn. Billy opowiedział jej, co się dzieje w chacie, a gdy skończył mówić, stara rzuciła w stronę Joe parę klekoczących wyrazów, wzięła z sań małe zawiniątko i bez chwili wahania poszła w ślad za Mac Veighem.

Billy uspokoił się zupełnie, widząc, że Indianka nie obawia się zarazy. Gdy tylko zdjęła kaptur i ciepłe okrycie, ruszyła odważnie do drugiego pokoju i w chwilę potem Billy usłyszał, jak rozmawia z Izą.

Zgromadzenie i spakowanie znikomej ilości własnych drobiazgów zabrało mu zaledwie parę minut. Potem poszedł zwinąć namiot. Joe ruszył właśnie w drogę, więc podążył jego śladem. W godzinę później na głośnie wołanie Billy'ego Mac Tabb stanął na progu swej chaty. Zataczając półkole, zbliżył się od strony wiatru, aż znalazł się o pięćdziesiąt kroków od Mac Veigha.

Billy opowiedział mu swoje projekty. Rusza do fortu Churchilla, a dziecko i Izę powierza jego pieczy; z fortu przyśle eskortę, która zabierze tych dwoje i bezpiecznie odstawi do jakiegoś miasta. Prosi o czystą odzież — byle jaką! To co ma na sobie, musi spalić. O ile Joe ma zapasowe ubranie, zadowolony się tym najzupełniej.

Mac Tabb wysłuchał wszystkiego, znikł w głębi chaty i ukazał się wnet ponownie, mając pełne ramiona ubrania.

— Tu jest wszystko, czego możesz potrzebować, z wyjątkiem bielizny — rzekł kładąc rzeczy na śniegu. — Poczekam trochę, nim się przebierzesz... Spal prędko, co masz na sobie. Wiatr może się zmienić, a nie chcę, żeby powiał w moją stronę.

Oddalił się na bezpieczną odległość, a Billy tymczasem wzięwszy z sobą ubranie, zagłębił się w leśnej gęstwie. Tam odarł nieco kory brzozy, rozpałił ogień i rzucił ubranie na stos. Mac Tabb słyszał jeszcze trzask ognia, gdy Billy ukazał się już ubrany w indiańskie spodnie z jeleniej skóry, w zniszczoną futrzaną kurtkę, w kaptur z wydry i w zbyt ciasne mokasyny.

Rozmawiali potem dobry kwadrans, oddaleni jednak wciąż od siebie o pięćdziesiąt kroków. Potem Mac Tabb odszedł i wrócił wiodąc psy i sanki Billy'ego.

— Chciałbym ci uścisnąć dłoń, Billy... — tłumaczył się. — Ale mam wrażenie, że lepiej będzie, gdy tego poniecham. I sądzę, że nie warto wynosić małej...

— Tak będzie bezpieczniej — zawyrokował Billy. — Do widzenia, Mac! Zobaczymy się pewno kiedyś... Weź tylko małą na rękę i stań z nią w progu. Nie chcę, by wiedziała, że tu jestem, więc spojrzę na nią z daleka. Inaczej nie mogłaby zrozumieć, dlaczego nie wolno jej podejść do mnie...

Zaszył się w gęstwę jodeł, podczas gdy Mac Tabb wchodził do chaty. Po chwili ukazał się we drzwiach. Trzymał na ręku Izę, a Billy uczył w gardle nagły skurcz. Dziewczynka patrzyła jakiś czas w jego kierunku i pokazywała coś paluszkami, a Rookie przemawiał do niej. Wtem na mgnienie oka słońce zapaliło w jej kędziorach złote błyski, jak wówczas gdy zobaczył ją po raz pierwszy na cyplu Fullerton. Chciał krzyknąć ku niej, zawołać jedno słowo, ostatnie, ale zamiast tego płacz tak długo

zwalczany wyrwał mu się z piersi.

Zwrócił się w stronę gęstwy leśnej, wiedząc, że odchodzi na zawsze.

19. PIELGRZYMKI

Na czwarty dzień po opuszczeniu nawiedzonej zarazą chaty Billy obozował nad potokiem Lane Otter, oddalony jeszcze od fortu Churchilla o sto osiemdziesiąt mil. Zjadł kolację i zapalił fajkę.

Noc księżycowej pełni była czarująco piękna i jasna, niebo usiane gwiazdami. Billy spoglądał niejednokrotnie w górę. Zjawisko, którego był świadkiem, nosiło w gwarze tuziemców miano krwawego księżyca; istotnie, świetlany dysk zdawał się ociekać świeżą posoką. Według krajowego przesądu była to zła wróżba dla wędrowców, którzy w czasie drogi mieli go przed sobą. W ciężkim roku, gdy czwarta część leśnych mieszkańców Północy wymarła na ospę, księżyc tydzień cały znaczył na niebie krwawą plamę. Od tej pory zwano go również księżycem zarazy.

Billy, jedynie dwa razy przedtem widział podobne zjawisko. Nie należał do ludzi przesądnych, a jednak tej nocy ogarnął go mimowolny niepokój. Roześmiał się nieszczerze, patrząc w złoty chaos ogniska i myśląc, co za niedola może go jeszcze spotkać. A potem zwolna coś przyszło ku niemu z głębi tej cudnej nocy i niby dłoń kojąca legło mu na zranionym sercu. Nareszcie był znowu w domu! Zamiatane wichrem barren i milczący las stały się bowiem jego domem i niejednokrotnie rozważał, że życie z dala od nich byłoby dla niego niepodobieństwem. Zrozumiał tej nocy ową wielką prawdę jaśniej niż kiedykolwiek.

Stał się częścią składową Dalekiej Północy, ona weszła mu w mózg i krew. I gdy raz jeszcze spojrzął na szkarłatny księżyc, widok ten zamiast niepokoju sprawił mu dziwną radość. Godzinę całą siedział bez ruchu, a u stóp jego ogień zamierał zwolna. Wokoło szelesty i szmery nocne zbliżały się i rosły. To był jego świat; nasłuchiwał oddychając głębiej. Samotny i zbolący, czuł nawiązaną pomiędzy sobą a nim trwałą nić. Świat ten radował się jego radością i dodawał mu sił w chwilach wątplenia. Niejednokrotnie gdy ciążyła mu okropna pustka, bawił się jak dziecko, przypisując życie i półludzkie kształty promieniom gwiazd, ceniom wyniosłych sosen, karłowatym jodłom, złomom skał i gór.

Teraz nie była to już zabawa. Z każdą godziną upływającej nocy, z każdą następną nocą i dniem zjawy te — gra wyobraźni — stawały się żywsze i bardziej realne. Ogniska rozpalane w ciemnościach nocy blaskiem płomieni malowały mu obrazy tak plastyczne jak nigdy. Drzewa, krzaki i chaszcze pocieszały go, dając mu w samotności obraz życia, to ruchami gałęzi, to znów zmiennym kształtem swych cieni. Wszędzie odnajdywał dawnych przyjaciół — nie zmienionych i niezmiennych. Cień modrzewia, kiwający nań w jego samotnej wędrownicy, był ten sam co wczoraj, ten sam co przed upływem stu nocy. Te same co dawniej były gwiazdy, te same wichry szeptały w konarach drzew — wszystko takie jak wczoraj i jak przed laty. Wiedział, że jedynie tutaj myśl Izy wiecznie mu będzie towarzyszyć. Gdy wróci bowiem do cywilizacji, w zmiennym korowodzie tamtejszych wrażeń zapomni o nim wkrótce.

Ale w tym jego świecie nie zajdą żadne zmiany. Za dziesięć lat może pójść swym dawnym szlakiem i znajdzie jeszcze szczątki ognia, który rozpalał dla Izy na skraju barren. Północ zachowa wspomnienie o niej tak długo, jak długo on sam stanowić będzie jej część składową. Im bardziej zbliżał się do fortu Churchilla, tym lepiej rozumiał, że nigdy na stałe nie porzuci tych stron.

W trzy tygodnie po opuszczeniu chaty Piotra Croisset Billy przybył do fortu. Ostatni miesiąc zmienił go tak dalece, że w pierwszej chwili komendant go nie poznał. Przyglądał mu się długo, nim wykrzyknął:

— O Boże! Czy to doprawdy ty, Mac Veigh!

Jedynie Pelletier, niecierpliwie wyglądający przyjaciela, dowiedział się o wszystkim, co zaszło

nad Little Beaver i Grey Beaver. Znalazło się też parę listów adresowanych do Mac Veigha i w jednym w nich Billy wyczytał, że kopalnia srebra w Cobalt, gdzie miał pewien udział, rozwinęła się dobrze, a jego część wynosi obecnie przeszło dziesięć tysięcy dolarów.

To mu posłużyło za pretekst, gdy oświadczył dowódcy, że nie chce się na nowo do służby zaciągać.

W tydzień po przybyciu Mac Veigha do fortu Churchilla Bucky Smith został w sposób hańbiący usunięty z kadr policji. Billy znajdował się w gronie kolegów, gdy Bucky zbliżył się doń, wyciągając prawicę na zgodę.

— Nie podejrzewam cię o złą wolę — rzekł tak głośno, by wszyscy mogli to słyszeć. — Ale pomyliłeś się grubo.

A potem dodał szeptem, jedynie dla Billy'ego:

— Pamiętaj, com ci obiecał, Mac Veigh! Zginiesz z mojej ręki, choćbym miał gnać za tobą na koniec świata.

W parę dni później Pelletier odjechał po śniegu już miejscami błotnistym, starając się dotrzeć do Nelson House przed końcem sanny.

— Chciałbym, żebyś pojechał ze mną, Billy — namawiał go po raz setny. — Moja dziewczyna marzy o tym, by cię poznać. A co do mnie, wiesz, jak chętnie widziałbym cię u nas.

Ale Billy nie dał się wzruszyć.

— Przyjadę was odwiedzić, gdy już będziecie mieli bębna — obiecywał próbując się uśmiechnąć i po raz ostatni potrząsając dłoń starego druha.

Po odjeździe Pelletiera Billy pozostał w forcie jeszcze trzy dni. Rankiem czwartego dnia, bez psów i sanek, z plecakiem tylko, ruszył na północo-zachód.

— Zdaje mi się, że następną zimę spędzę w Fond du Lac — rzekł do inspektora. — Gdyby się znalazł dla' mnie jaki list, proszę go tam odesłać. Jeżeli będzie okazja, oczywiście. Może zresztą wrócę do fortu Churchilla...

Wymienił Fond du Lac, bowiem grób Deane'a leżał pomiędzy fortem Churchilla a starą osadą Towarzystwa Zatoki Hudsona w Atabasce. Barren go wzywało i chętnie odpowiadał na ten ponury zew. Dotrzyma obietnicy danej Izie i odwiedzi grób Dawida. Wmawiał w siebie przynajmniej, że chodzi przede wszystkim o dotrzymanie obietnicy. Ale w głębi duszy miał pełno uczuć, z których nie umiał zdać sobie sprawy.

Czasem zdawało mu się, że jakiś duch kroczy obok niego w czasie wędrówki dziennej i nocą pochyla się nad ogniskiem. Gdy Billy zastanawiał się nad tym, dochodził do przekonania, iż jest to duch Dawida Deane'a. Mac Veigh wierzył w przyjaźń, ale nie przypuszczał, że między dwoma mężczyznami może istnieć miłość, chyba tylko między synem i ojcem. W snach i marzeniach alfą i omegą miłości była dlań kobieta. Po raz pierwszy pojął teraz, co znaczy kochać mężczyznę, pamięć mężczyzny.

Coś powstrzymało go od wyjawienia, nawet wobec Pelletiera, właściwego celu swej wędrówki. Ruszając w drogę zabrał ze sobą topór i wnet znalazł dlań odpowiednią robotę.

Ujrzał z dala wyniosłą brzozę, mającą najmniej osiemnaście cali w przekroju, i o pięćdziesiąt stóp od jej pnia ustawił swój namiot. Ściął drzewo przed pójściem na spoczynek. Następnego dnia zrębał wierzchołek, a nim druga noc zapadła, wyciosał deseczkę na dwa cale grubą, szeroką na stopę i długą na trzy. Gdy rankiem powędrował dalej, pozostawił zbyteczny już topór.

Czwartej nocy pracował posługując się nożem i małą siekierką. Wygladzał deskę i nadawał jej prawidłowy kształt. Piątą i szóstą noc spędził przy tym samym zajęciu, a szóstego ranka zakończył pracę rysując na drzewie rozpalonym gwoździem pierwsze słowa nekrologu Deane'a. Wahał się

chwile, jakie imię ma wybrać: *Scottie* czy *Dawid*. Zdecydował się wreszcie na to drugie.

Nie śpieszył zbyt. Ze wszystkich pór roku w głuszy północnej najbardziej lubił wiosnę. We wgłębieniach i parowach topniejący śnieg tworzył niezliczone kałuże i strugi. Pąki topoli nabrzmiały już tak bardzo, że lada chwila miały się rozwinąć, a dzikie pnące, pełne nowej energii, czerwieniały jak świeża krew.

Przeszło dwa tygodnie po opuszczeniu fortu *Churchilla Mac Veigh* przybył na skraj wielkiego *barren*. Dwa dni wędrował jeszcze w kierunku zachodnim, aż wczesnym rankiem trzeciego dnia objął wzrokiem bezkresną równinę, przez którą on i *Pelletier*, uwożąc małą *Izę*, uciekali przed pościgiem tuziemców. Wstąpił potem do chaty. Najwidoczniej nikt w niej od owej pory nie był. Na tapczanie, na którym *Deane* zmarł, znalazł małą, dziecienną rękawiczkę. Wtedy zachodził w głowę, gdzie mógł ją zgubić, i w drodze do chaty *Piotra Croisset* uszył nową ze skóry rysia.

Łóżeczko, usłane przezeń dla *Izy* na podłodze, stało jeszcze nie tknięte; na kocu, który służył jako poduszka, zachował się niemal odcisk jej główki. Na ścianie wisiała stara kurta *Dawida*.

Billy patrzył na to wszystko milcząc, z plecakiem złożonym u stóp. Atmosfera chaty przygniatała go; próbował się wyzwolić z tego uczucia gwizdząc. Ale wargi miał jakby obrzękłe. Podniósł się wreszcie i ruszył ku mogile.

Odwiedziły już ją poprzednio lisy i zryły nieco ziemię u stóp jodłowego krzyża. Poza tym nie zaszły żadne zmiany. W ciągu reszty przedpołudnia *Billy* ściał grubszą jodłę i wbił ją na trzy stopy głęboko w zmarzłą ziemię u wezglowia *Deane'a*. Potem parą przyniesionych ze sobą gwoździ przymocował do słupa deseczkę. Wierzył, że nikt prócz niego i duszy *Scottie Deane'a* nie pojmie znaczenia wypisanych na niej wyrazów:

DAWID DEANE

zmarł 27 lutego 1908 roku

*ukochany przez Izę i przez człowieka, który
pragnąłby zastąpić go jej.*

15 kwietnia 1908 roku.

Nie przerwał pracy, gdy nadeszła pora obiadu, ale z rumowiska oddalonego o paręset jardów naznosił złomów skalnych i zbudował wokół jedliny mur na cztery stopy wysoki, tak by ani wichur, ani dziki zwierz nie mogły słupa obalić. Potem zaczął szperać w najcichszych i najbardziej słonecznych zakątkach boru, gdzie zielone pędy wyglądały już spod ziemi. Znalazł pierwiosnki oraz sporo dzikich pnączy i wykopał je delikatnie wraz z korzeniami. Wreszcie spomiędzy dwu skał wyjrzała ku niemu prosta jak strzała łodyga błękitnego kwiatu. Pnącze zasadził wokół muru, a błękitny kwiat na samym grobie, tam gdzie spoczywała głowa *Dawida*. Południe dawno już minęło, gdy wrócił do chaty, i ponownie zatrwożyła go straszliwa pustka jej wnętrza. Wszystko było inaczej, niż sobie poprzednio wyobrażał. Wspomnienie *Deane'a* i jego przyjaźń podtrzymywały go lepiej w głębi boru i u obozowych ognisk. Zagotował kolację na żelaznym piecyku, ale trzask płomieni dziwnie go drażnił w tej pustej izbie.

Nawet powietrze, którym oddychał, było tak ciężkie, jak gdyby unosiła się w nim śmierć i stracone złudzenia. Mimo że od rana nie jadł nic, z trudem zdołał przełknąć trochę jedzenia. Gdy skończył się posilać, spojrzął na zegarek. Dochodziła czwarta. Słońce gasło za daleką linią boru i gęstniał coraz bardziej wczesny zmierzch północnych krain. *Billy* stał długą chwilę bez ruchu na progu chaty. Sowa wyciągała kędyś ponurą nutę wieczornej pieśni. W górze świergotały wróble.

Billy zacisnął ręce i słuchał. Z głuszy i mroków nocy coś wołało nań, coś kazało mu iść dalej. Wrócił do chaty i spakował swoje rzeczy; zabrał też dziecienną rękawiczkę. Potem wyszedł na próg i starannie zamknął drzwi za sobą. Z bliska mijając grób, spojrzął po raz ostatni na wyniosłość, gdzie

leżał Deane.

— Żegnaj, stary! — szepnął. — Żegnaj!

Sowa zawodziła głośniej, gdy zwracał twarz ku zachodowi. Dreszcz go przeszedł i przyśpieszył kroku wkraczając w dziewiczą głuszę, która setkami mil dzieliła go od fortu Fond du Lac.

20. LIST

Mijały dni, tygodnie i miesiące w samotności, jakiej Billy nie zaznał nigdy przedtem. Zwykła samotność nie była mu przecie obca; odczuwał nieraz żrącą tęsknotę i pustkę; omal nie oszalał w niej i widział, jak Pelletier był bliski śmierci, bo brakowało mu dźwięku mowy ludzkiej i słonecznego promienia.

To było co innego! Gryzło duszę i serce z każdym dniem głębiej i boleśniej. Wierzył poprzednio, że myśl o Izie i wspomnienie o niej przysporzą mu szczęścia, choć nigdy już nie miał jej ujrzeć. Omylił się. Głusza i puszcza nie dały mu zapomnienia. Co dnia głos jej wyraźniej dźwięczał mu w uszach i zdawał się bliższy; co dnia wyraźniej ogarniał ją marzeniem. Nie było godziny, aby nie spytał sam siebie, gdzie ona jest!

Miał nadzieję, że wróciła wraz z dzieckiem do starego domu w Montrealu, gdzie znaleźli się przyjaciele, którzy otoczyli ją opieką. Ale czasem bał się, że została gdzieś na Północy, skąd nie pozwalała jej odejść miłość do męża, i że wyszukała sobie jakąś pracę w jednym z fortów na skraju barren.

Ogarniała go nieraz nieprzeparta chęć, by wrócić do chaty Mac Tabba i tam wywiedzieć się o jej losie. Ale walczył zaciekle z tym pragnieniem. Wiedział, że gdy się raz podda pokusie, straci resztki spokoju zdobytego nadludzkim trudem w chacie Piotra Croisset.

Toteż uparcie wędrował na zachód, chociaż niewidzialne dłonie zdawały się go zatrzymywać. Nie poszedł prosto do Fond du Lac, lecz spędził około trzech tygodni w towarzystwie pewnego trapera, z którym zwiedzał wybrzeże rzeki Pipestone. W czerwcu dotarł do Fond du Lac i przesiedział tam miesiąc. Zamierzał uprzednio spędzić tam zimę, ale miejscowy agent okazał się niesympatycznym człowiekiem, a i okolica nie podobała mu się wcale. Zatem w początkach lipca ruszył w krainę Atabaska na zachód, okrążył północny brzeg wielkiego jeziora i w dwa miesiące później przybył do fortu Chipewyan położonego u ujścia rzeki Niewolniczej.

Trafił do Chipewyan w szczęśliwą godzinę. Rządowa ekspedycja geograficzno-geologiczna wyruszała właśnie stamtąd do nieznannej krainy pomiędzy jeziorami Wielkim Niewolniczym i Wielkim Niedźwiedzim, a trzech przewodnicy z Ottawy namówili Mac Veigha, by im towarzyszył. Zgodził się skwapliwie i włączył się z nimi tak długo, aż ekspedycja w pięć miesięcy później wróciła ku rzece Mackenzie drogą na fort Providence. Zatrzymał się w tym forcie aż do późnej wiosny, a potem powędrował do Wrigley, gdzie miał paru przyjaciół.

Piętnastomiesięczna włóczęga pozostawiła na nim niezatarte piętno. Nie umiał się już oprzeć porywom włóczęgotwa. Nosił go też z miejsca na miejsce i coraz silniej rosło w nim pragnienie powrotu do swoich dawnych stron, na wybrzeże wielkiej zatoki położonej daleko na wschód. Snuł niewyraźne projekty przyłączenia się do robotników budujących kolej w górach Kolumbii Brytyjskiej. Ale sierpień, zamiast w Edmonton lub Tete Jaune Cache, zastał go w Prince Albert, o trzysta pięćdziesiąt mil dalej na wschód.

Stamtąd powędrował na północ, do krainy Lac La Ronge, w towarzystwie pracowników kompanii handlowej, a w październiku ruszył znów na wschód, sam jeden, drogą wodną przez Sisipuk i Burntwood do Nelson House. Odpoczął tydzień i powlókł się na północ, a osiemnastego grudnia pierwsza z dwóch wielkich zamieci, które uczyniły zimę roku 1909—1910 jedną z najtragiczniejszych w dziejach Dalekiej Północy, kłapała go trzydzieści mil od faktorii York. Zużył całe pięć dni na dotarcie do faktorii i tam zamieć uwięziła go na szereg tygodni.

Był to początek straszliwego głodu i piekielnych mrozów, w czasie których przeszło półtora tysiąca ludzi w północnym kraju przeniosło się na tamten świat. Ziemię skrył całun śniegu, gruby na cztery do sześciu stóp, a od połowy grudnia aż do końca stycznia temperatura utrzymywała się poniżej czterdziestu stopni, wahając się zazwyczaj między pięćdziesięcioma i sześćdziesięcioma stopniami.

Do fortu ze wszystkich stron nadchodziły wieści o głodzie i licznych zgonach. Z powodu niezwykle silnych mrozów nie podobna było obchodzić zastawionych sideł. Jelenie, łosie, a nawet reny siedziały ukryte pod śniegiem. Indianie i Metysi gromadnie napływali do fortów. W faktorii York Billy dwukrotnie widział matki z martwymi dziećmi w ramionach. Pewnego dnia przybył biały traper wiodąc sanie z zaprzęgiem psów, a na saniach owinięta w niedźwiedzie futro leżała jego żona, która skonała o pięćdziesiąt mil w głębi boru.

W czasie tych ciężkich tygodni Billy nie mógł ani na chwilę zapomnieć o Izie i jej dziecku. Rosła w nim obawa, że kędyś w głuszy i one cierpią podobnie, jak cierpią inni. Myśl ta tkwiła w nim tak uparcie, że którejs nocy miał okropny sen: ujrzał maleńką Izę, wychudzoną i wybladłą, prawie konającą z głodu na rękach matki.

Koszmar ten pchnął go do czynu. Postanowił iść do fortu Churchilla, a jeśli nie znajdzie tam Mac Tabba — wędrować do jego chaty nad Little Beaver i zasięgnąć wieści o Izie i jej dziecku. W parę dni później, dwudziestego siódmego stycznia, temperatura podniosła się nagle, więc Billy zdecydował się natychmiast skorzystać z okazji. Wraz z Metysem, który udawał się do Churchill, wyruszyli w drogę następnego ranka. Dwudziestego marca stanęli w forcie.

Billy poszedł natychmiast do koszar. W ciągu dwu lat zaszły tam pewne zmiany i znalazł tylko jednego dawnego kolegę. Spytał przede wszystkim o Mac Tabba i o Izabelę Deane. Żadne z nich nie przebywało obecnie w obrębie fortu i od czasu objęcia dowództwa przez nowego oficera nikt tu o nich nie słyszał.

Była za to poczta dla Mac Veigha: trzy listy. Przyszło podobno kiedyś pół tuzina innych, ale te wędrowały szlakami jego włóczęgi po głuszy leśnej i barren. Te, które otrzymał, zwrócono niedawno z Fond du Lac. Jeden list był od Pelletiera — czwarty wysłany, jak pisze, bez otrzymania słowa odpowiedzi. Donosił mu, że mają już bębna, dziewczynkę, i zapytywał, czy Billy żyje jeszcze. Drugi list był od współnika z Cobalt.

Billy długo obracał w dłoni trzeci list, nim go wreszcie otworzył. Było to w ogóle mało podobne do listu: poszarpane, pomięte, a tak brudne i wymokłe, że adres z trudem dał się odczytać. List ten wędrował do Fond du Lac, a stamtąd do fortu Chipewyan. Otworzył go przekonał się, że pismo wewnątrz było również niemal zupełnie zatarte. Jedynie ostatnie słowa znaczyły się wyraźnie i Billy krzyknął widząc podpis Rookie Mac Tabba.

Podszedł do okna i sylabizował z trudem. Tu i ówdzie, gdzie wilgoć nie zmyła liter, mógł odczytać parę wyrazów albo zdanie. Z wyjątkiem zresztą końcowych, linijek zamazane było niemal wszystko; ale czytając to, co pozostało, Billy czuł, jak serce w nim zamiera, a oczy prawie ślepnątki. Wyławiał jednak słowo po słowie, a gdy skończył, zwrócił skamieniałą twarz ku białej kurtawie, która kłębiła się za oknem, a wargi miał spieczzone jak w gorączce.

Wiele słów było nieczytelnych, ale to, co pojął, wystarczało najzupełniej do przedstawienia sobie wypadków zaszłych nad Little Beaver. Mac Tabb pisał:

Zdawało się, że się poprawia... znów gorzej... Robiliśmy, co było można, nic nie pomogło... Umarła akurat w pięć tygodni po twym odejściu. Pochowaliśmy ją tuż za chatą... O Boże... to dziecko... Nie masz pojęcia, Billy, jak ją pokochałem... zapomnieć o niej...

Następowało jeszcze parę linijek, ale tak splukanych wodą, że nic nie dało się rozpoznać.

Billy zmiął list w dłoni i na oślep wybiegł z chaty w objęcia zawiei śnieżnej. Nowy komendant na próżno próbował odgadnąć, co za straszne nowiny otrzymał ten człowiek.

21. INSTYNKT ŻYCIA

Billy pędził półprzytomny w otoku białych tumanów. Nie wiedział nawet, w jakim gna kierunku; znalazł się jednak wreszcie pod osłoną drzew i tam przystanął, szepcząc bez końca imię Izy.

— Umarła!... Umarła! — zajęczał raptem. — Ona umarła!... Lecz nagle zjawiała się myśl o dziecku, usuwając wstecz

pierwszą rozpacz. Dziewczynka znajdowała się wciąż jeszcze wraz z Mac Tabbem nad Little Beaver. W mroku śnieżycy jął ponownie odcyfrowywać słowa listu. Naraz wstrząsnął nim śmiertelny strach.

„O Boże... to dziecko... Nie masz pojęcia, Billy, jak ją pokochałem... zapomnieć o niej...”

Co to znaczy? Co powiedział Mac Tabb w zniszczonej części pisma...

Gwałtownie nadeszła reakcja. Wsunął list do kieszeni i szybko zawrócił do koszar.

— Idę nad Little Beaver! — rzekł do komendanta. — Dziś wyruszam... Czy jest ktoś w Churchill, kogo bym mógł wziąć z sobą?

W dwie godziny później Mac Veigh gotów był do drogi; towarzyszył mu pewien Indianin. Nie można było dostać zaprzęgu, toteż wyruszyli na nartach, niosąc dwutygodniowe racje żywności i kierując się wprost na południo-wschód. Resztę tego dnia i cały dzień następny szli prawie bez wytchnienia. Z każdą chwilą podniecenie Billy'ego rosło.

Trzeciego dnia rankiem rozpoczęła się druga z tych okropnych zamieci, które owej zimy pustoszyły Północ. Wbrew radom Indianina, by rozłożyć prowizoryczne obozowisko i przeczekać gwałtowne chłody, Billy uparł się iść dalej. Piątej nocy, w dzikiej pustce barren, na wschód od Etawney, Indianin zaniedbał dorzucić paliwa do ognia, a gdy Billy jął badać przyczynę tego, znalazł towarzysza prawie bez życia, ogarniętego dziwną niemocą. Zabezpieczył więc staranniejszą szalą od śniegu i wichru, narąbał drzewa i czekał, co będzie dalej. Mróz stawał się coraz silniejszy. Zapasy żywności zmniejszały się z dniem każdym i wreszcie nadeszła chwila, gdy Billy pojął, że . stoi w obliczu strasznej śmierci. Zataczał wokół obozu coraz szersze kolisko w poszukiwaniu zwierzyny. Na próżno! Nawet wróble i jastrzębie znikły.

Przemknęła mu myśl, że mógłby zabrać resztę żywności i spróbować ocalić chociaż siebie. Ale myśl ta nie stała się nigdy nawet zamiarem. Dwunastego dnia choroby Indianin zmarł. Żywności pozostało na dobę.

Billy spakował ją wraz ze swymi kocami i parą blaszanek. Zastanowił się chwilę nad tym, czy choroba, na którą umarł Indianin, jest zaraźliwa. W każdym razie postanowił przestrzec ewentualnych wędrowców. Obok szalasu postawił wysoką tykę, a u jej szczytu umocował skrawek czerwonej materii, co na Północy oznacza zarazę.

Potem ruszył w dal, poprzez zasypy śnieżne i kurzawę, wiedząc, że istnieje jedna szansa na tysiąc wyjścia cało z tej opresji, i żeby tę szansę wykorzystać, należy posuwać się z wiatrem.

Ku końcowi pierwszego dnia Billy urządził obóz w sosnowym lasku, który był właściwie tylko małą kępą drzew. Zauważył, że każdy krzak i każde drzewo są popękane i martwe od strony północnej. Nazajutrz odgrzał i zjadł resztę swych zapasów, po czym ruszył w dalszą podróż. Rzadkie drzewa zmieniły się w zarośla, a zarośla w bezbrzeżną równinę, po której bezlitośnie hulał mroźny wichur.

Od rana do wieczora wyglądał jakiejkolwiek zwierzyny, choćby ptaszynki najmniejszej; żuł korę brzożową, a po południu zjadł parę korzonków, po czym gardło spuchło mu tak silnie, że ledwo mógł oddychać. O zmroku przyrządził herbatę, ale nie miał nic do jedzenia. Głód odzywał się bez ustanku,

ostrzy i bolesny. Następnego dnia przeżywał już prawdziwą mękę; kurcze głodowe przychodzą szybko w tym kraju, gdzie właściwie należy się posilać cztery do pięciu razy dziennie.

O zmroku rozniecił mały ogieniek, rozesał dery i usnął. Następnego ranka wstał z trudem, a gdy chwając się na nogach, uczył na twarzy smaganie wichru i posłyszał świst zawiei nad barren, zrozumiał, że nadeszła jego ostatnia godzina i że znalazł się oto w obliczu Boga.

Nie bał się zresztą. Z wysiłkiem sunął naprzód, nawet w najłatwiejszych miejscach ledwo wlokąc nogi. Ale już się tym nie martwił. Szedł czując z godziny na godzinę większą słabość. Rozumował spokojnie, że jeśli śmierć ma nadejść, to raczej nie będzie ona straszna. Skona zapewne łagodnie, bez cierpień. Ostre, żrące porywy głodu, które niby nożami darły mu wnętrzności, ustąpiły już. Nie odczuwał także nadmiernego zimna. Wydawało mu się, że oto mógłby lec w zaspie śnieżnej i spokojnie usnąć.

Wiedział, że będzie to sen ostatni i że lisy rozwloką potem jego kości — więc zwalczał pokusę i włókł się coraz dalej. Wicher dał wciąż od Zatoki Hudsona, niosąc tumany śnieżynek drobnych i twardych jak śrut; biły go po twarzy, jak gdyby chcąc się poprzez skórę przedrzeć, podcinały mu nogi i tworzyły na drodze zasy i wzgórza. Gdyby mógł chociaż znaleźć kępę drzew, kryjówkę jakąś... Tego tylko pragnął teraz.

Kiedy po raz ostatni spoglądał na zegarek, była dziewiąta rano; teraz zbliżał się wieczór. Równie dobrze mogła być noc. Szalejący huragan od dawna już go oślepił. Nie widział nawet na dwanaście kroków przed sobą. Ale instynkt życia tlił się w nim jeszcze i dzięki temu trzymał się dzielnie. Rozumował, że jeśli natrafi na jaką osłonę, to wyczuje ją, chociaż jej nawet nie dojrzy. Plecak nie ciążył mu wcale; nie czuł nawet, że go niesie. Mógł iść szybko, mógł się wlec jak żółw — i tego już nie wyczuwał w obecnym stanie.

Niemal każdy na jego miejscu zakopałby się w śniegu i umarł spokojnie, snując błogie sny, które stanowią niejako rekompensatę dla biedaków konających z głodu i zimna. Ale instynkt samozachowawczy kazał Billy'emu oczekiwać śmierci stojąc. I oto dotarł wreszcie do gęstwiny drzew na tyle zwartej, że osłoniła go przed śniegiem i wichrem. Iskra życia zapłonęła teraz raźniej. Rozgrzała go i dodała mu energii. Częściowo nawet odzyskał wzrok.

I oto zauważył raptem, że musi już być noc, bowiem wszystko wokoło jest ciemne, a w dali płonie światło. Pomyślał najpierw, że jest to obozowy ogień odległy o wiele mil stąd. Potem, w miarę jak kroczył naprzód, poznał, że światło lśni w oknie chaty. Dowłókł się bliżej ostatkiem sił i stojąc u zamkniętych drzwi, próbował krzyknąć, ale najmniejszy dźwięk nie wydobył się z jego opuchłych warg. Wydało mu się, że minęła godzina, nim oswobodził stopy z nart. Potem namacał klamkę, nacisnął ją i wszedł.

W izbie znajdowało się czterech ludzi. Dwaj siedzieli przy stole na wprost drzwi. Jeden trzymał w ręku kostki; gdy Billy wszedł, ręka zastygła mu w powietrzu i zwrócił brodatą twarz ku wchodzącemu. Drugi był to prawie młodzik; w tej chwili Billy zauważył przede wszystkim puszkę fasoli, którą młody gracz trzymał w dłoniach. Trzeci mężczyzna stał obok stołu; drgnął podnosząc oczy na niespodziewanego gościa; w palcach miał flaszkę do połowy napełnioną alkoholem. Czwarty wreszcie siedział na brzegu tapczana, z twarzą bladą i wychudłą tak, że można go było wziąć za trupa, gdyby nie ostry błysk zapadłych źrenic. Billy zwęszył woń whisky i woń jedzenia. W twarzach, które zwracały się ku niemu, nie było śladu zachęty; nikt go nie witał; postąpił jednak naprzód, coś niezrozumiale bełkocząc. I raptem iskra życia przygasła w nim; runął na podłogę. Usłyszał głos dochodzący z daleka, głos, który mówił:

— Co to za jeden, u diabła?

I znów po chwili, która wydała mu się wiecznością, ten sam głos rzekł:

— Wyrzucicie go z powrotem w śnieg!...

Potem stracił przytomność. Ale w ostatnim mgnieniu pomiędzy jasnością a mrokiem uczuł niesamowity dreszcz i o mało się na nogi nie porwał, wydało mu się bowiem, że poznaje ten brutalny głos, który mówił:

— Wyrzucicie go z powrotem w śnieg!...

22. GŁÓD

Na długą chwilę przedtem, nim Billy się zbudził, wiedział już, że nie leży w śniegu, i że gorący płyn leci mu przez gardło. Gdy otworzył oczy, światło w izbie już zgasło. Był dzień. Billy odczuwał ogromne osłabienie, ale w chacie znajdowało się coś, co targnęło nim raptem do głębi. Woń smażonej wędzonki!... Głód powrócił z dawną siłą. Radość życia błysnęła na jego wynędzniałej twarzy, gdy poruszył się usiłując wstać. Wówczas jakaś twarz, brodata, czerwonooka, zwierzęca, pochyliła się nad nim badawczo.

— A gdzie twoja żywność, kolego?...

Pytanie padło ostre jak cios noża. Billy nie słyszał własnego głosu, gdy odpowiadał:

— Nie mam nic!...

Głos brodacza zabrzmiał prawie jak ryk, kiedy zwrócony ku innym obwieścił:

— On nie ma żywności!

W tej chwili Mac Veigh z trudem powstrzymał okrzyk, który gwałtem mu się z ust wydierał. Już wiedział, kim jest ów człowiek. To był Bucky Smith! Uniósł się nieco i znowu opadł do tyłu. Bucky go nie poznał... Od dawna nie golony zarost i wymizerowana twarz zrobiły swoje.

— Podzielimy się z nim, Bucky — ozwał się słaby głos. Mówił chudy człowiek, który w nocy siedział na krawędzi tapczana.

— Podzielcie się piekłem! — burknął tamten. — Po co było go cucić! Ty i Sweedy obaj jesteście winni...

Słowa te zbudziły w Billy'm dreszcz grozy. Więc w chacie panował głód! Trafił nie między ludzi, ale między zwierzęta... Dojrzał szczupłego mężczyznę, który ujął się za nim, siedzącego jak poprzednio na krawędzi łóżka. Milcząc jął szukać wzrokiem reszty, by dowiedzieć się, jak wygląda Sweedy. Był to ów młodzik, który tulił wtedy puszkę fasoli. Teraz smażył wędzonkę na żelaznym piecyku.

— Henryk i ja podzielimy się z nim — rzekł do Bucky Smitha. — Już ci to mówiłem dziś w nocy. — Spojrzał na Billy'ego. — Cieszę się, że ci lepiej... Trafiłeś do nas w złą porę. Gonimy ostatkiem! Dwaj nasi Indianie wyszli przed tygodniem na łowy i nie wrócili. Umarli albo uciekli. A i my pomrzemy tutaj, jeśli zamieć prędko nie ustanie... Ale tymczasem ja i Henryk podzielimy się z tobą zapasami.

Mówił chłodno, bez najmniejszej sympatii i Billy czuł, że nawet ten człowiek wolałby go widzieć martwego. A jednak był to ludzki chłop! Nie przyłączył się przecie do tego, który radził wyrzucić w śnieg natręta; toteż Billy starał się okazać mu swą wdzięczność, jak również ukryć dojmujący głód.

Zobaczył na patelni trzy cieniutkie plasterki wędzonki i pomyślał, że byłoby nie na miejscu wyjawić ludożerczy apetyt wobec takiej nędzy. Gdy z trudem stawał na nogi, Bucky przyglądał mu się uparcie i Mac Veigh nabrał bezwzględnej pewności, że człowiek wyrzucony przezeń ze służby nie pozna go. Billy zbliżył się do Sweedy'ego.

— Uratowałeś mi życie — rzekł wyciągając ku niemu rękę. — Chciałbym ci dłoń uścisnąć...

Sweedy ujął jego prawicę dość obojętnie.

— Do diabła — burknął półgłosem. — Mielibyśmy fasolę na śniadanie, gdybym dziś w nocy nie grał z nim w kości. — Wskazał Bucky Smitha, który właśnie otwierał blaszaną puszkę. — On wygrał.

— O Boże... — zaczął Billy.

Nie skończył. Sweedy obrócił wędzonkę i mówił dalej:

— Wczoraj wygrał ode mnie cały obiad. Ćwierć funta mięsa!... Dzień przedtem wygrał od Henryka ostatnią puszkę fasoli. Chowa swe zapasy tam, pod kocem, i klnie się na wszystko, że strzeli do tego, kto będzie oglądał jego łóżko zbyt ciekawie. Dlatego lepiej trzymaj się z daleka, radzę. Thompson, który obecnie jeszcze śpi, gdy dzieliliśmy między siebie zapasy — wybrał whisky. Od niego także trzymaj się lepiej z daleka. Ja i Henryk podzielimy się z tobą.

— Dziękuję... — rzekł Billy, a to jedyne słowo z trudem przeszło mu przez gardło.

Henryk zwlókł się właśnie ze swego tapczana, skulony i jęczący. Wyglądał tak, jakby lada chwila miał skonać, i Billy po raz pierwszy zauważył, że ma siwe włosy. Był małego wzrostu i drobne jego ręce drżały, gdy skinieniem głowy witając się z Billy'm ogrzewał je nad piecykiem. Bucky Smith otworzył już swą puszkę i z garnczkiem wody zbliżył się do ognia, nie zwracając na Billy'ego najmniejszej uwagi. Przyniósł ze sobą silną woń tytoniu i whisky.

Postawił wodę na piecyku, zawrócił do jednego z tapczanów i stekiem przekleństw zbudził Thompsona, który siadł wreszcie na posłaniu, ogłupiały i półtrzeźwy. Henryk podszedł do stołu, a Sweedy podążył za nim, niosąc wędzonkę. Billy nie ruszał się z miejsca. Chwilowo zapomniał o głodzie. Puls jego bił nierównym tempem. Czy to możliwe, by ci, których ma przed oczyma, byli podobnymi doń ludźmi? Czy obłąd jaki wygnał z nich wszelkie człowiecze instynkty? Widział wlepione w siebie kaprawe oczy Thompsona i odwrócił głowę, by uniknąć ich tępej badawczości. Bucky wysypywał do garneczka wygraną fasolę. Huragan szarpnął drzwiami i zawył głośnie.

— Przysuń no się, kolego — usłyszał Billy głos Sweedy'ego. — Oto twoja porcja...

Na blaszanym talerzu leżał jeden z cienkich plasterków wędzonki i jeden twardy suchar. Billy zjadł to równie łapczywie jak Henryk i Sweedy i wypił kubek gorącej herbaty. W dwie minuty posiłek się skończył. Było tego przerażająco mało. Parę kęsów strawy, zda się, bardziej jeszcze pobudziło głód, tak że Billy nie mógł oderwać oczu od Bucky Smitha i fasoli. Z całego towarzystwa Bucky jedynie wydawał się syty i wstręt Mac Veigha wzrósł, gdy Henryk pochyliwszy się nad nim, wyszeptał cicho:

— On nieuczciwie wygrał moją fasolę. Miałem trzy asy i dwie dwójki, a on trzy piątki i dwie szóstki. Gdy zaprotestowałem, nazwał mnie kłamcą i uderzył. Ale to moja fasola...

Coś niby chęć mordy lśniło w zaczerwienionych oczach mówiącego.

Billy milczał. Nie chciało mu się ani pytać, ani odpowiadać. Nikt zresztą nie interesował się, kim on jest i skąd się tu wziął, a i jego również nie obchodziło wcale, kim byli ludzie, do których trafił. Bucky skończył jeść, otarł dłonią usta i spojrzał przez izbę na Mac Veigha.

— Poszedłbyś ze mną po drzewo? — spytał.

— Pójdę — odparł Billy.

Po raz pierwszy pomyślał o stanie swego zdrowia. Był zeszywniały i niezmiernie słaby, ale poza tym nie doznał, zda się, żadnych obrażeń. Nie odmroził uszu ani nóg. Wdział grube mokasyny, ciepłe okrycie i futrzany kaptur, po czym ruszył za Bucky'm do drzwi. Czuł się dziwnie nieswojo. Był pewien, że wróg go jeszcze nie poznał, ale wiedział, że lada chwila może to nastąpić. A jeśli Bucky pozna go, gdy będą na dworze sami...

Nie bał się, a jednak uczył nerwowy dreszcz. Był zbyt słaby, żeby walczyć. Nie zauważył wstrętnego grymasu, jakim Bucky porozumiał się z Thompsonem. Ale Henryk go dostrzegł i kaprawe oczy ściemniały mu, kryjąc się głębiej pod osłoną powiek.

Wdziali narty i znaleźli się wśród zamieci. Bucky niósł topór. Kierował się poprzez rzadkie zarośla, potem przez otwartą równinę, po której wiatr hulał z taką siłą, że natychmiast po ich przejściu zacierał ślady.

Billy osądził, że zrobili już ze ćwierć mili, gdy znaleźli się nad brzegiem parowu o zboczach tak

stromych, że wydawał się prawie przepaścią. Wtenczas Bucky po raz pierwszy dotknął Mac Veigha. Ujął go za ramię i gdy przemówił, w głosie jego brzmiała nuta ohydneho triumfu.

— Myślałeś, że cię nie poznał, prawda, Billy? — zagadnął. — Tymczasem poznałem cię od razu i szło mi o to, by znaleźć się z tobą sam na sam. Pamiętasz moją obietnicę, Billy? Od tej pory zresztą zmieniłem zdanie. Nie zabiję ciebie. To zbyt wielkie ryzyko. Lepiej, byś zdechł sam, a zdechniesz bezwzględnie w ciągu dzisiejszego dnia lub nocy. Jeżeli wrócisz do chaty, strzelę ci w łeb!

Ruchem tak szybkim, że Billy nie zdążył się zastawić, Bucky pchnął go i rzucił głową na dół w głąb parowu. Zaspą śnieżną złagodziła upadek. Mac Veigh leżał jednak długą chwilę ogłuszony zupełnie. Potem uniósł się z trudem i spojrzął w górę. Bucky odszedł. Pierwszą jego myślą było: wrócić do chaty. Mógł ją z łatwością odnaleźć i rozmówić się z Bucky'm w obecności innych. Ale nie ruszył się z miejsca.

Coraz mniej chciało mu się wracać i po chwili namysłu postanowił walczyć nadal o życie sam jeden. Prawdę mówiąc, sytuacja jego nie była o wiele gorsza niż sytuacja pozostałych w chacie. Zapiął szczelniej kurtę, sprawdził rzemienie nart i jął się gramolić na przeciwległy brzeg parowu.

Chaszcze kończyły się; Billy odważnie wszedł między rzadziwą pojedynczych krzewów. Idąc myślał, jaki będzie epilog tragedii w chacie. Osądził, że spośród czterech jej mieszkańców Henryk umrze pierwszy, a Bucky bezwzględnie przeżyje. Dopiero następnej wiosny dowiedział się o tym, jak Henryk w napadzie szaleństwa zemścił się na Bucky'm, pakując mu nóż między zębra.

Billy mógł teraz dokładnie ocenić, ile energii przydaje plasterek wędzonki i kawałek twardego suchara. Stwierdził, że niewiele. Na długo przed południem ogarnęła go dawna niemoc. Odczuwał bodaj większą niż poprzednio trudność w chodzeniu i zdawało się, że opuściła go wszelka dzielność. a iskra życia przygasła. Postanowił brnąć przed siebie do zmroku, potem zatrzymać się, rozpalic ogień i w cieple jego płomieni zasnąć.

Po południu skończyły się zarośla, a zaczęły wyrastać wzgórza i pogórki. Billy posuwał się naprzód z większym trudem, ale wygodniej, bo wiatr cichł coraz bardziej poza wyższym zboczem. Zmierzch głębszy niż mrok zawiei opadał już w krąg, gdy dotarł, jak mu się zdawało, do krańca barren. Ziemia umykała mu spod nóg stromą pochyłością, a głęboko w dali, na dnie doliny osłonionej od wichru i śnieżycy, ujrzał czarne szczyty gęstych jodeł. Zaczął pełznąć w dół. Oczy jego nie były już zdolne do trafego oceniania odległości lub zmian terenu, toteż potknął się raptem. Potykał się potem raz po raz, aż w pewnej chwili, nie mogąc już się powstrzymać, jak kamień potoczył się głową naprzód w dół zbocza. Zatrzymał się doznając okropnego wstrząsu i po raz pierwszy od chwili upadku w parowie, chciał krzyknąć z bólu. Jednak krzyk, który w następnej chwili usłyszał, nie pochodził z jego własnych ust. Był to obcy głos, do którego przyłączyły się wnet inne, coraz liczniejsze. Zamglone źrenice Mac Veigha widziały niejasno szereg ruchliwych postaci, kręcących się wkoło po śniegu. Dalej nieco stało parę ośnieżonych kopców, ustawionych w półkrąg, jak namioty.

Wiedział już, gdzie się znajduje. Wpadł w środek obozowiska Indian. Pełen radości próbował krzyknąć słowa powitania, ale nie mógł poruszyć językiem. Potem ciemne postacie ujęły go i poniosły w obręb koliska namiotów. Ostatnim uczuciem, jakiego doznał, było ciepło przenikające płuca.

Gdy się ocknął z omdlenia, zobaczył twarz wolno wynurzającą się z mroku i zbliżającą się coraz bardziej, twarz młodej dziewczyny o ciemnych, lśniących oczach. Odzyskiwał już zdolność rozumowania i pomyślał, że umiera i że twarz ta stanowi fragment rozkosznych złudzeń.

Potem szerzej otworzył oczy i poruszył głową, a twarz cofnęła się. Ruch jak gdyby przyspieszył

powrót życia i zaraz pojaśniało mu w mózgu.

Przebiegł wspomnieniem to wszystko, co zaszło aż do chwili upadku w dół zbocza. Tuż nad sobą widział podobny do leja szczyt namiotu, a w ścianie z brzozonej kory czerniał spory otwór, przez który odpływał błękitny dym ogniska. Znajdował się w wigwamie tuziemców. Było mu ciepło i bardzo wygodnie. Ciekaw, czy ma jaką ranę wykonał całym ciałem słaby ruch i wnet wydał ostry krzyk bólu.

Był to pierwszy wydany przezeń dźwięk od chwili, gdy odzyskał przytomność; twarz młodej dziewczyny ponownie schyliła się nad nim. Ujrzał tym razem zupełnie wyraźnie jej wielkie oczy i łagodną linię policzków. Chłodną ręką delikatnie dotknęła jego czoła, a cichy głos wyszeptał parę melodyjnych wyrazów. Dziewczyna należała do plemienia Cree. Na dźwięk jej głosu z mroku wyszła starsza kobieta, schyliła się nad chorym, chwilę spoglądała nań i wreszcie cofnąwszy się ku wejściu, jęła mówić półgłosem do kogoś, kto znajdował się na zewnątrz.

Po chwili wróciła do tapczana, na którym leżał Mac Veigh; za nią przyszedł jakiś człowiek. Był stary, zgarbiony i miał wynędzniałą twarz. Pod napiętą skórą rysowały się ostro kości policzkowe. Z tyłu kroczył młodzieniec, prosty jak sosna, o szerokich barach i głowie przypominającej rzeźbę z brązu. W rękę niósł zmarłą rybę, którą wnet podał kobiecie. Czyniąc to przemówił parę słów w języku Cree; Billy zrozumiał ich treść.

— To ostatnia ryba...

Serce Mac Veigha przestało na chwilę bić. Widział, jak kobieta, wzięwszy rybę, nożem przecięła ją na dwie równe części, jak potem jedną połowę wrzuciła do garnka z wrzącą wodą, uwieszonego nad ogniskiem pośrodku wigwamu.

Dziękuję więc z nim ostatnią rybą!...

Zrobił ogromny wysiłek i siadł. Młodzieniec zbliżył się wnet ku niemu i podparł mu plecy złożoną w kilkoro skórą niedźwiedzią. Potem przemówił płacząc wyrazy francuskie i angielskie:

— Ty chory... ranny... głodny... Ty zaraz jeść!

Ręką wskazał na wrzącą w garnku zupę. Piękna jego twarz nie zdradzała żadnego podniecenia. Był olimpijsko spokojny.. Siedział milcząc; tymczasem dziewczyna przyniosła rybę i dopiero gdy Billy przestał jeść dręczony wyrzutami sumienia, że zabiera tym ludziom ostatnią żywność, młody Indianin przemówił nagłąc go do dalszego posiłku.

Przełknąwszy ostatni kęs, Billy odezwał się w narzeczu Cree; wojownik rozplómił się wnet i ochoczo wyciągnął dłoń do białego człowieka. Wymienił swoje imię: Mukoki; później opowiedział o sytuacji. Obozowali tu w liczbie dwudziestu dwóch; obecnie pozostało ich piętnaście osób. Siedem zmarło: czterech mężczyzn, dwie kobiety i jedno dziecko. Każdego dnia, nawet w czasie największej zawiei, mężczyźni wychodzili na łowy bez rezultatu i każdego dnia jeden z nich nie wracał. W ten sposób zginęło czterech. Psy zostały zjedzone. Zboże i ryby skończyły się. Pozostało nieco mąki, którą chowano dla kobiet i dzieci. Od pięciu dni mężczyźni żywili się wyłącznie korą i korzeniami; znikąd nie było widać ratunku. Śmierć czyhała tuż poza obrębem obozu. Dzisiejszego ranka dwaj wojownicy wyruszyli do najbliższego fortu, ale Mukoki z całym spokojem twierdził, że nigdy tam nie dotrą.

Tę noc i dzień następny, i noc i dzień, co przyszły po nich, wypełniły okropne godziny, których Billy nigdy nie mógł zapomnieć. Padając zwichnął sobie kość biodrową i to zmuszało go do leżenia. Mukoki siadywał przy nim często, a oczy lśniły mu gorączką i twarz miał coraz chudsza. Drugiego dnia pod wieczór w jednym z wigwamów ozwało się ponure wycie — niski, żaloszny głos, który tak się zlał ze świstem wichru, iż obu dźwięków nie podobna było rozróżnić. Umarło dziecko, a matka zawodziła nad jego ciałem.

O zmroku znowu jeden z łowców nie wrócił. Ale nazajutrz skończyły się jednocześnie głód i zamieć. O świcie błysnęło słońce, a wczesnym rankiem nadbiegł z boru myśliwiec półobłąkany z radości. Zabrnął dalej niż inni i natrafił na stado jeleni. Ubił dwa rogacze i przyniósł ze sobą część mięsa na pierwszą ucztę.

Po ostatniej ze straszliwych zamieci 1910 roku przyszła odwilż, a z chwilą gdy temperatura zaczęła się podnosić, zmiana nastąpiła niezwykle szybko. Nie upłynął tydzień, a już śnieg pod stopami zmiękł. W dwa dni potem Billy po raz pierwszy zwłókł się z tapczana. A później w ciągu jednej doby północna wiosna rozpostarła uroczy płaszcz nad krajem. Słońce stało się ciepłe i złote. Ze zboczy dolin, ze szczytów gór woda poczęła spływać w tanecznych, radosnych skrętach.

Purpurowe pnącze ustroiły nagie skały. Sójki i drozdy leśne polatywały nad obozem, a powietrze przesyciła cudna woń nowego życia, płynąca z ziemi, drzew i krzewów.

W miarę, jak powracało zdrowie i siły, Billy niecierpliwiał się coraz bardziej, chcąc co prędzej ruszać na poszukiwanie chaty Mac Tabba. Gdyby nie Mukoki, puściłby się w podróż nawet przed zupełnym powrotem do zdrowia.

Nadszedł wreszcie dzień, gdy pożegnawszy swych przyjaciół, powędrował przed siebie na południe.

23. IZA

Długie dni i noce przymusowej bezczynności w obozowisku Indian pozwoliły Mac Veighowi zastanowić się spokojniej nad dramatem, który wszedł w jego życie; wraz z powrotem do zdrowia udało mu się częściowo otrząsnąć z rozpacz, w którą popadł był uprzednio.

Deane umarł, Iza umarła. Ale maleńka Iza wciąż żyła. Pełen nadziei, że odnajdzie ją i zachowa dla siebie, Billy snuł już marzenia o przyszłości.

Wierzył, że w chacie zastanie Mac Tabba i dziewczynkę wraz z nim. Tak daleka była odeń w swoim czasie myśl o śmierci Izy, że nie powiadomił nawet Mac Tabba o istnieniu jej wuja z Montrealu. Cieszyło go to obecnie. Mało było bowiem prawdopodobne, by Rookie bez żadnych wskazówek odnalazł jakichkolwiek krewnych dziecka. A Mac Veigh postanowił, że dziewczynki nie odda. Zostawi ją przy sobie na zawsze.

Będzie miał teraz dla kogo żyć. Wraz z nią powróci do cywilizacji. Zbuduje dla niej dom; będą tam psy, ptaki, dużo kwiatów... Jego udział w kopalni srebra wynosi okrągłe piętnaście tysięcy dolarów, więc dziecko nigdy nie zazna biedy. Wykształci ją, kupi jej fortepian, ubierze jak wielką damę. Będą wciąż razem, nierozdzielni, a gdy wyrośnie (modlił się o to w głębi duszy), stanie się podobna do swojej matki, tamtej Izy.

Dręczył go niezmierny smutek. Wiedział, że bolesne wspomnienie pustyni śnieżnej i kobiety, którą kochał, towarzyszyć mu będzie zawsze. Ale myśli i plany dotyczące wychowania małej łagodziły jego żal.

Po południu pewnego dnia pełnego ciepła i słońca Billy dotarł do Little Beaver, opodal chaty Mac Tabba. Pędem niemal biegł teraz ku polanie. Słońce zapadało właśnie za lasy, gdy przystanął wśród ostatnich drzew gęstwiny, ujrzawszy chatę. Z tego oto miejsca widział po raz ostatni małą Izę. O dwanaście kroków zaledwie rósł krzak, za którym się wówczas ukrył. Zauważył to, a potem kolejno dostrzegał inne szczegóły i serce kołatało w nim coraz mocniej.

Od chaty do lasu wiodła dawniej ścieżka, przechodząca w tym właśnie miejscu, gdzie w tej chwili stał. Teraz ścieżka była ledwo widoczna pod plataniną traw i zeszłorocznych igieł. Billy pomyślał, że tego lata Rookie musiał chyba wydeptać inny szlak.

Poprzez polanę lękliwie spojrział ku chacie. Wszystko wskazywało na ruinę i opuszczenie. Z komina nie bił dym.

Drzwi były zamknięte. Nigdzie śladu życia. W martwej ciszy nie ozwał się ani śmiech, ani dźwięk mowy, ani szczekanie psa...

Billy ledwo dysząc posuwał się naprzód, a serce biło w nim pełne trwogi. Drzwi chaty nie były zamknięte na zasuwę. Otworzył je. Wnętrze ziało pustką. Stary piec był zwalony. Nagie tapczany stały nie używane od miesięcy, może nawet od lat. Gdy stąpił krok naprzód, soból wyrwał mu się spod nóg. W chwilę potem spod podłogi usłyszał cieniutki pisk małych. Zawrócił do drzwi i stanął w progu.

— O Boże!... — jęknął.

Spojrział w kierunku chaty Piotra Croisset, gdzie umarła Iza. Czy mógł się tam czego dowiedzieć? Wątpliwe. Miał mało nadziei, jednak szybko ruszył dawnym śladem. Wokół niego zapadał wieczorny mrok. Panowała już niemal zupełna ciemność, gdy dotarł do drugiej polany. I tu również wydał głuchy okrzyk. Z chaty nie pozostało ani śladu. Najwidoczniej po przejściu zarazy Mac Tabb spalił ją.

Na miejscu gdzie wznosiła się dawniej, leżało parę osmolonych belek pokrytych bujną roślinnością. Billy zacisnął zęby i w poszukiwaniu jakichkolwiek wskazówek jął zataczać kręgi wokół zgliszczy. O parę kroków dalej znalazł to, o czym Mac Tabb wspominał w swoim liście: mogiłę i sosnowy krzyż na niej. Wówczas Mac Veigh padł na kolana z okropnym, rozdzierającym łkaniem.

Kiedy po dłuższym czasie uniósł głowę, na niebie lśniły gwiazdy. Noc była piękna i cicha, szemrały jedynie wezbrane wody Little Beaver. Mac Veigh powoli wstał i milcząc, nieruchomy jak posąg, spoglądał jeszcze długo na mogiłę Izy. Potem zawrócił i ruszył starym tropem, a ze skraju polany obejrzał się i wyszeptał do siebie i do niej:

— Wróć tutaj, Izo! Wróć...

Przy zgliszczach chaty zostawił poprzednio swój plecak. Teraz na nowo umocował rzemienie i ruszył bez zwłoki na południe. Miał przed sobą jedno tylko wyjście. W Le Pas Mac Tabb był dobrze znany; tam kupował swe zapasy, a sprzedawał futra. Może kto z mieszkańców wie cokolwiek o nim i o dziecku?

Dopiero pozostawiwszy daleko za sobą krainę śmierci i straconych złudzeń, Mac Veigh rozesał dery na spoczynek nocny. Świt zastał go już na nogach. Czwartego dnia dotarł do maleńkiej osady, końcowego punktu kolei. Wystarczyła mu godzina czasu, by nabrać niezbitego przekonania, że Rookie Mac Tabb nie odwiedził Le Pas ani razu w ciągu prawie dwu lat. Nikt go tu nie widywał z dzieckiem.

Tejże nocy pociąg robotniczy wyruszał do Etomani; Billy nie zastanawiał się ani chwili nad tym, co ma dalej czynić. Pojedzie do Montrealu. Jeśli nie znajdzie tam maleńkiej Izy, będzie to oznaczać, że dziewczynka z Mac Tabbem żyje wciąż jeszcze gdzieś w głuszy leśnej. Wtenczas wróci na Północ i odszuka ją, choćby miał temu poświęcić całe życie.

Mijały dni i noce w ciągłej podróży, a Billy modlił się bez ustanku, by nie znaleźć dziecka w Montrealu. Jeśli jakimś cudem Mac Tabb odszukał jej krewnych, jeśli Iza przed śmiercią wyznała mu wszystko — ostatnia nadzieja musiała zgasnąć.

Nie chciał nawet tracić czasu na kupno nowego ubrania. To by opóźniło podróż. Nosił więc nadal swój północny strój, włącznie z futrzaną kapuzą. Im dalej na południe, tym ciekawiej oglądali się nań ludzie. Zgolił sobie brodę, ale włosy spadały mu na ramiona. Mokasyny były spękane i podarte, a w jego skórzanej kurcie i ciepłym swetrze widniały dziury. Na twarzy pozostały ślady ciężkich przeżyć. Gdy wreszcie pociąg zatrzymał się na wielkiej stacji w centrum Montrealu, Billy Mac Veigh ruszył wprost pod górę Mont Royal.

Nadeszło południe, a on od rana nie miał nic w ustach. Nie czuł jednak głodu. Po dwudziestominutowej wędrówce znalazł się u wylotu ulicy, na której ongiś mieszkała Iza. Jeden po drugim mijał stare domy z kamienia i cegły, ukryte za potężnymi murami. Od czasu gdy był tu po raz ostatni, nie zaszły na pozór żadne zmiany. W połowie drogi wiodącej w dół zбочa ujrzał starego ogrodnika przycinającego bluszcz.

Przystanął na chwilę i spytał:

— Czy może mi pan powiedzieć, gdzie mieszka Henryk Lecours?

Stary spojrzał nań ciekawie, a potem rzekł:

— Lecours?... Henryk Lecours? To ten dom za murem z czerwonego piaskowca... Czy o dom panu idzie, czy o pana Lecours?

— I o to, i o to! — odparł Billy.

— Henryk Lecours zmarł przed trzema laty! — tłumaczył ogrodnik. — Czy pan go znał?

— Nie! Nie! — zawołał Billy starając się opanować wzruszenie. — Czy mieszka tam kto

obecnie i kto mianowicie?

Stary potrząsnął głową.

— Nie wiem.

— Czy jest tam mała dziewczynka, cztero- lub pięcioletnia, o złotych włosach?...

— Bawiła się w ogrodzie przed paroma minutami, gdy szedłem tutaj! — odparł ogrodnik. — Słyszałem ją i psa.

Billy nie zwlekał dłużej. Podziękowawszy staremu, ruszył szybko ku domowi opasanemu murem z czerwonego piaskowca. Nim dotarł do zardzewiałej żelaznej bramy, usłyszał dziecinny śmiech i serce załopotало mu w piersi jak szalone; wparł koniec mokasyna w szczerbę między kamieniami i wspiał się do góry. Ujrzał przed sobą duży ogród, a parę kroków dalej, obok kępy krzewów, dostrzegł dziewczynkę bawiącą się z małym pieskiem. Słońce płonęło w jej złotych lokach. Usłyszał znowu jej radosny śmiech, a potem na chwilę zwróciła twarz w jego stronę.

Zapomniał wtenczas o świecie całym i z głośnym okrzykiem szczęścia przesadziwszy mur, znalazł się w ogrodzie.

— Iza! Moja maleńka Iza!

Kłęczał obok i tulił ją do siebie, a dziecko, przerażone, milczące, patrzyło nań wielkimi oczami.

— Czy napomniałaś już o mnie? Czy wcale nie pamiętasz — łkał prawie. — Iza! Maleńka Tajemnica!

Usłyszał głuchy, zdławiony krzyk i podniósł głowę. Spoza kępy krzaków wyszła kobieta z twarzą białą jak kreda i wpatrywała się w Billy'ego. Chwiejnie powstał na nogi, myśląc, że traci rozum. Kobieta bowiem, którą widział przed sobą, była wiernym odbiciem Izabeli Deane, a jej błękitne oczy lśniły tym samym światłem, które oglądał kiedyś na skraju barren.

Nie mógł wydać głosu. Zataczając się jak pijany, stąpił wstecz i nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, wyciągnął ku niej wynędzniałe ręce, szepcząc jej imię tak, jak setki razy szeptał nocami u samotnych obozowych ognisk. Głód, choroba i nadludzkie trudy podróży do chaty Mac Tabba, a stamtąd do Montrealu, podcięły jego siły. Tygodniami czerpał energię w nerwowym podnieceniu, które opuściło go raptem, więc osłabł zupełnie. Starał się zwalczyć niemoc ogarniającą jego ciało, ale mimo wysiłku słoneczny ogród pociemniał mu naraz w oczach.

Oparł się o mur, lecz w tej chwili marzenie stało się rzeczywistością, gdyż Izabela Deane przemówiła doń po imieniu i kurczowo ujęła go za ramię. Niemoc ustąpiła błyskawicznie, ale jednocześnie owładnęła nim myśl, że teraz musi co prędzej odejść.

— Nie przyszedłbym, tylko... uwierzyłem, że pani umarła! — rzekł głucho. — Powiedziano mi, że pani umarła. Jestem szczęśliwy, ogromnie szczęśliwy, ale nie przyszedłbym tu nigdy...

Zachwiał się i przez chwilę wsparł się na jej ramieniu. Widziała na jego twarzy ślady przebytej gorączki, głodu, męki. Billy nie zauważył łagodnego blasku jej źrenic.

— To umarła matka Indianina Joe! — słyszał drogi głos. — A maleńka Iza i ja czekałyśmy, czekałyśmy pana!... Byłam na mogile Dawida i widziałam ślady bytności pana i to, co pan napisał! Wiedziałam, że kiedyś wróci pan do mnie, i czekałam...

Mówiła szeptem. Ale on słyszał każde słowo i widział już lśnienia słońca na jej włosach i wyraz jej twarzy i oczu.

— Tak mi przykro — szeptała — że powiedziałam, że to pan go zabił! I pamięta pan, mówiłam jeszcze, że gdy wyzdrowieję...

— Pamiętam!...

— Pan myślał, że chodzi o to, by pan odszedł i nie wracał : nigdy!... Pan obiecał i dotrzymał obietnicy. A ja... ja nie skończyłam przecie wtenczas tego, co chciałam powiedzieć... Nie mogłam...

Ale myślałam, że gdy wyzdrowieję, to może pan kiedyś przyjść...

— Izo!

— A teraz może mi pan powtórzyć to, co mówił pan kiedyś na barren...

— Izo! Izo!

— Pan rozumie — rzekła miękko — to nie mogło się stać zaraz ani prawdopodobnie nawet za rok! Ale teraz...

Przysunęła się bliżej.

— Możesz mnie pocałować! A potem musisz pocałować małą. I nie wolno ci teraz porzucić nas na długo! Bardzo nam było smutno samym w tym dużym mieście i bardzo cieszymy się, że przyszedłeś...

Głos jej załamał się w cichym łkaniu, a gdy Billy rozwarłszy ramiona tulił ją do piersi, słyszał znowu urywany szept:

— Tak się cieszymy, tak bardzo, że znowu wróciłeś do nas...

— Czy... mogę zostać?

Uniosła ku niemu promieniejącą twarz.

— Jeżeli mnie jeszcze kochasz — odrzekła — możesz zostać.

Uwierzył wreszcie. Ale nie mógł słowa wymówić. Schylił głowę ku niej i trwali tak chwilę milcząc, a spoza kępy krzewów brzmiał radosny śmiech małej Izy.

Przygotowano na podstawie bookini.pl